

Margit Sandemo

Dom hańby

Saga o czarnoksiężniku tom 11

STRESZCZENIE

Są lata czterdzieste osiemnastego stulecia.

Od wielu lat islandzki czarnoksiężnik Móri i jego norweska żona, Tiril, cierpią z powodu prześladowań ze strony Zakonu Świętego Słońca, bardzo starego, przenikniętego złem zakonu rycerskiego. Móri i jego rodzina posiadają nowe wiadomości na temat zagadki Świętego Słońca, ogromnej, złocistej kuli o magicznej sile. Kula zaginęła przed tysiącami lat.

Istnieją ponadto jeszcze dwa ogromne kamienie szlachetne, którymi rycerski zakon pragnie nade wszystko zawładnąć. Najstarszy syn Tiril i Móriego, obdarzony niezwykłymi zdolnościami młodzieniec imieniem Dolg o urodzie przypominającej elfa, znalazł wiele lat temu przepięknej urody szafir. Teraz Dolg jest już dorosły i właśnie niedawno zdobył również czerwony kamień, który rodzina nazywa granatem. Tajemniczy duch opiekuńczy Dolga, Cień, pomógł mu znaleźć ten klejnot na Islandii, sam Cień bowiem jest również osobiście zainteresowany wszystkimi trzema kamieniami Słońca.

Niegdyś, bardzo dawno temu, kiedy czarnoksiężnik Móri przekraczał granicę pomiędzy światem realnym a zakazanym światem równoległym, przyprowadził ze sobą na ziemię grupę duchów, które od tej pory wspierają rodzinę w jej walce ze złym zakonem.

Ostatnio zakon poniósł straszliwą porażkę. Na Islandii zostało unicestwionych siedmiu rycerzy, w Norwegii padli kolejni dwaj bracia zakonni, gdy próbowali pojmać w charakterze zakładniczki siostrę Dolga, Taran, za którą mogliby potem żądać wydania zakonowi wielkiego szafiru. Owi zakonnicy zostali zabici przez śmiertelnie niebezpieczną istotę, pozostającą na ziemi od czasów Świętego Słońca. Był to Sigillion, człowiek jaszczur, również pragnący pojmać Taran. W walce z tym potworem Taran otrzymała pomoc ze strony Sol z Ludzi Lodu.

Drugim obrońcą Taran był jej anioł stróż, Uriel, który się w niej zakochał i otrzymał pozwolenie, by żyć na ziemi, właśnie ze względu na Taran.

Pozostali członkowie rodu to matka Tiril, księżna Theresa, i jej mąż Erling Miffler, oraz ich dwoje przybranych dzieci, Rafael i Danielle.

Wciąż towarzyszy rodzinie pies Nero. W podziękę za życzliwość Tiril duchy przedłużyły mu życie. Ma on teraz blisko trzydzieści lat, ale jest sprawny i silny niczym młody szczeniak.

Obecnie Móri, Tiril i ich dwaj synowie, Dolg oraz Villemann, są w drodze powrotnej z Islandii. Rodzina ma się połączyć w Bergen, by opowiedzieć sobie nawzajem o swoich przygodach.

Do tej pory historia czarnoksiężnika dotyczyła przede wszystkim walki z zakonem rycerskim i bardzo niekiedy ponurych przygód, przeżywanych często na granicy światów, naszego i równoległego świata duchów. Romantycznych spraw było w niej stosunkowo niewiele. Teraz jednak dwie pary rodzeństwa są prawie dorosłe, wszyscy czworo doświadczają smutnych i radosnych przeżyć miłosnych, nie stronią także od erotyki. Taran podjęła już intensywne uwodzicielskie zabiegi wobec Uriela, i nie są to wcale zabiegi beznadziejne!

Móri i jego najbliżsi mieli okazję wysłuchać historii o obcych krajach i światach, powzięli więc podejrzenie, że - być może - istnieją też na ziemi jakieś zapomniane, żywe istoty z dawno minionego czasu.

Są to jedynie niejasne przypuszczenia, ale jeśli legenda o Sigillonie została zrozumiana właściwie, to można przyjąć, że tego rodzaju nieszczęsne istoty naprawdę żyją w naszym świecie. Daleko, daleko poza wszelkimi horyzontami, w ukrytej twierdzy, cztery samotne istoty prowadzą być może żalną egzystencję.

Rodzina Móriego pragnie je odnaleźć i uratować, ma przy tym nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o Świętym Słońcu.

Przede wszystkim jednak muszą wrócić do domu, przebyć drogę z Norwegii do Theresenhof w Austrii. Zwyczajna, nieskomplikowana podróż - tak im się przynajmniej wydaje.

CZEŚĆ PIERWSZA

FRANCUSKA WIEDŹMA

1

Bergen, podczas oczekiwania a na statek z Islandii

Okazało się, że będzie dużo trudniej niż sądzono nadać pięknemu blondynowi, eks-aniolowi stróżowi, nową tożsamość i przygotować go do życia wśród ludzi. Pojawił się przecież jako dorosły mężczyzna, a przybył dosłownie znikąd. Już samo znalezienie dla niego nazwiska nastęrczało problemów. Minęło bardzo, bardzo wiele czasu od tamtej pory, kiedy prowadził ziemski żywot, i nazwisko, którego wówczas używał, było obecnie po prostu nie do przyjęcia. Wtedy bowiem był kobietą i jego ówczesne imię można by teraz przetłumaczyć jako Gustawa.

On sam zresztą pragnął nosić jakieś wspaniałe imię i cała rodzina przyznawała mu rację.

- No bo nie możemy się do niego zwracać per Kalle czy Sune, czy jakimś podobnym, równie współczesnym imieniem - dowodziła Taran, która w tej sprawie była bardzo ważną stroną. - To po prostu do niego nie pasuje.

Uriel siedział na skrzyni przywiezionej z Christianie, której jeszcze nie zdążył rozpakować. Powtarzał nieustannie, że podobają mu się wyłącznie wspaniałe imiona z czasów króla Artura. Galahad, Gawain, Lancelot, Tristan, Parsifal...

Taran jednak miała powyżej uszu wszelkiego rodzaju rycerzy i ich spraw, protestowała więc stanowczo.

- A dlaczego nie Adalbert? - zaproponowała babcia Theresa i Uriel spojrział na nią z zainteresowaniem, Taran się to nie podobało.

- Nic! A poza tym dzisiaj nikt nie używa formy Adalbert, najwyżej Albert, a to już brzmi zupełnie inaczej. Nie, wujku Erlingu, Genzeryk także nie! [W języku norweskim genser oznacza sweter wkładany przez głowę, pulower (przyp. tłum.)] To było piękne imię dla wodza Wandalów, ale posłuchajcie, jak to brzmi we współczesnym języku norweskim. Ludzie zaczną go pytać, jak mu się nosi pulower. Czy nie moglibyśmy mu znaleźć jakiegoś bardziej norweskiego imienia?

- Fjodolf brzmi bardzo norwesko - zaproponował Rafael z szelmowskim błyskiem w oku i Taran cisnęła w niego podrózną poduszką.

By dotrzeć na czas do Bergen i nie spóźnić się na powitanie statku płynącego z Islandii., musieli odłożyć na bok wszystko, co się w jakikolwiek sposób wiązało z weselem. Babcia Theresa prosiła Taran, by pamiętała o swoim panieńskim honorze i mogła z podniesionym czołem stanąć w bergeńskim kościele przystrojona w

dziewiczy wianek. Dobrze znała swoją wnuczkę i nie miała wątpliwości, że takie napomnienia są jak najbardziej na miejscu.

Ponadto Uriel i Taran powinni lepiej się nawzajem poznać, zanim zdecydują się na tak poważny krok, jak małżeństwo zawierane na życie. Podróż miała być dla nich czasem prawdziwej próby.

I rzeczywiście, była to próba. Ale przeszli przez nią śpiewająco. No, może czasami pojawiały się mniej czyste tony, ale jednak. Zdarzyło się kiedyś, że mówili sobie dobranoc przed drzwiami pokoju Taran w gospodzie... Ale wszystko skończyło się bardzo dobrze. Jeśli tak można określić błyskawiczną ucieczkę Uriela do swego pokoju. Podobnie jak wiele młodych panien Taran wypróbowała swoje uwodzicielskie sztuczki, by widzieć, jak jej ukochany traci panowanie nad sobą. Niebezpieczeństwo, polega tu na tym, że dziewczyna sama poddaje się czarowi chwili i dość łatwo przekracza wyznaczone granice. .

Taran również kilkakrotnie przeżyła szok, gdy posunęła się zbyt daleko. Nie miała pojęcia, jakie erotyczne siły w niej drzemią, trwała w przekonaniu, że zawsze i wszystko jest w stanie kontrolować.

A to, niestety, nieprawda. Kiedy Uriel tamtego wieczora opuścił ją pośpiesznie, długo w noc siedziała w pokoju, zdumiona intensywnością ognia, trawiącego jej ciało.

Ostatecznie pod koniec podróży nieustannie trzymała go co najmniej na odległość ramienia od siebie. W obawie, że to ona sama doprowadzi do skandalu.

Początkowo Uriel czuł się zraniony. Później jednak okazywał zrozumienie. Erling twierdził, że Uriel krąży z nieustannym uśmiechem na wargach i z miną zadowolonego kota.

Ale dotarli na miejsce bez przeszkód i cnota nie została narażona na szwank.

Wciąż jednak pozostawało najtrudniejsze, a mianowicie jak ulokować Uriela we współczesnym społeczeństwie. Musiał w końcu odłożyć na bok anielskie maniery i stać się istotą materialną. Wszystko jedno jakim sposobem.

Zadni z tych nowych spraw, imię, zawód ani status społeczny, nie została rozstrzygnięta, gdy znaleźli się w końcu na nabrzeżu bergeńskiego portu, by witać płynący z Islandii szkuner. Villemann machał im radośnie z pokładu, oni odpowiadali tym samym.

- Na szczęście wszyscy są - westchnęła Theresa z ulgą.

- Nie widzę tylko Nera - szepnęła Taran zaniepokojona. W tej samej chwili olbrzymi psi łeb oraz dwie czarne łapy ukazały się na relingu tuż obok Dolga.

- Jakby cię usłyszał - mruknął Erling. - Co by mnie zresztą wcale nie zdziwiło.

Statek podszedł do nabrzeża. Po obu stronach, i wśród powracających, i wśród oczekujących, wyczuwało się niepokój. Taran zastanawiała się, jak też ojciec i mama przyjmą Uriela, kiedy usłyszą, że jest aniołem naprawdę, a nie tylko w przenośni. Uriel również się niepokoił czekającym go spotkaniem z najbliższą rodziną Taran. Villemann szukał wzrokiem Danielle i doznał ukłucia w sercu, gdy stwierdził ponownie, jaka jest drobna i maleńka, jaka bezradna i cudownie urodziwa. Danielle natomiast próbowała pochwycić wzrok Dolga, on jednak wołał coś do Erlinga i dla niej nie miał czasu. Był taki nieprawdopodobnie przystojny, kiedy się uśmiechał. Na ten widok Danielle ogarniała jakaś nieokreślona tęsknota i serce zaczynało jej bić mocniej. Ale on uśmiechał się tak rzadko...

Danielle ubóstwiała Dolga od czasu, kiedy uratował ją i Rafach z więzienia Virneburgów, co miało miejsce mniej więcej dziesięć lat temu. Wtedy go podziwiała. Teraz jej ubóstwienie przerodziło się w smutną, bolesną, budzącą poczucie pustki miłość. Czuli tę pustkę dlatego, że on nigdy nawet najmniejszym gestem nie dał do zrozumienia, iż byłby skłonny jej uczucia dzielić, że byłby zdolny do czegoś więcej niż tylko siostrzane-braterskie przywiązanie. A to sprawiało ból, czasami trudny do zniesienia.

Miłość Danielle do Dolga była czysto platoniczna. Dziewczyna marzyła o tym, by mieszkać z nim razem, towarzyszyć mu zawsze, by obejmował ją i przytulał i by mogła mu kłaść głowę na piersi. On gładziłby ją delikatnie po głowie i szeptał pełne miłości słowa.

Dalej w swoich romantycznych marzeniach się nie posuwała. Danielle prowadziła życie spokojne, nie miała wiele kontaktów ze światem i wciąż mało co wiedziała o sprawach dorosłych ludzi. Jeden jedyny raz nadarzyła się okazja, by dowiedziała się, że istnieje coś więcej. Było to w ciągu tych kilku krótkich chwil, gdy w lesie spotkała Sigiliona. Wszystko trwało wprawdzie zbyt krótko, by zdążyła zobaczyć jego ogromny męski organ, ale promieniująca z niego zmysłowość wywołała w niej nieznane dotychczas drżenie całego ciała. Gdyby wtedy została nieco dłużej i przyjrzała się uważniej... Może by potrafiła zrozumieć.

Ale wszystko wydarzyło się tylko ten jeden raz i nigdy więcej. Może więc sprawy miały się tak, że Danielle nieświadomie pragnęła być z Dolgiem, bowiem on w tych akurat sprawach oznaczał całkowite bezpieczeństwo? Dolg był bohaterem, o którym romantyczne dziewczyny mogły marzyć i niczym to nie groziło. Jeśli chodzi o stronę życia, która młode damy przyprawia o drżenie, o to nieznane, czego istnienie tylko czasami się przeczuwa, to bliskość Dolga nie stanowiła żadnego zagrożenia.

Danielle spoglądała teraz na niego w pełnym podziwieniu. Był tak cudownie zbudowany, z tą twarzą jak wyrzeźbioną ze złocistej kości słoniowej, od której wspaniale odbijały się czarne jak smoła, wielkie, lekko skośne oczy. Usta, niebywale

kształtne, uśmiechały się do oczekującej rodziny, która nie widziała go od tak dawna. Uśmiechały się również do niej, Danielle, ale Dolg nikogo nie wyróżniał. Danielle nie była dla niego nikim specjalnym. Och, mogłaby umrzeć ze szczęścia, i z rozczarowania!

Tiril przyglądała się swojej matce, zatroskana, czy Theresa się zbyt mocno nie postarzała, jakby chciała sprawdzić, ile jeszcze czasu zostało im razem. Za nic nie chciałyby jej utracić. Ale Theresa wyglądała dokładnie tak jak zawsze, szczęśliwa ze swoim Erlingiem i przybranymi dziećmi, Danielle i Rafaelem. Nic w jej wyglądzie nie budziło niepokoju.

Móri, który wiedział, że podczas ich nieobecności Taran przeżyła w Norwegii nieprzyjemne przygody, odetchnął z ulgą, na widok rozpromienionej twarzy córki.

Rafael zmarszczył brwi.

- Co jest z Dolgiem? - zastanawiał się głośno.

- Właśnie myślałam o tym samym - powiedziała Theresa. - Wydaje się jakiś jakby niepodobny do siebie.

Uriel na nic takiego nie zwrócił uwagi, ale on przecież nigdy jeszcze Dolga nie widział. Wszyscy pozostali zaś byli wyraźnie zaniepokojeni.

- Nie wydaje mi się, żeby coś w nim przygasło - mówiła Taran w zamyśleniu. - W dalszym ciągu sprawia niezmiernie dziwne wrażenie. Powiedziałabym raczej, że pojawiły się jakieś nowe cechy, choć nie umiem tego określić.

- Tak jest - poparła ją Theresa. - Stał się jakby wyraźnie władczy.

- Masz rację. - Erling też zauważył to samo. - Ale to nie jest złe pragnienie władzy, raczej... autorytet. Rafael kiwał głową.

- To wprost z niego promieniuje. Siła i władza. Zastanawiam się, jak do tego doszła. I dlaczego.

Statek przybił do brzegu. Villemann wyskoczył, zanim jeszcze ustawiono trap. Nero poszedł za jego przykładem. Na szczęście obaj wylądowali na kei.

Kiedy już wszyscy wysiedli i wielka ceremonia powitalna dobiegła powoli końca, Theresa szepnęła do Móriego:

- Co się stało z Dolgiem? Wszyscy się nad tym zastanawiamy.

- Zauważyliście? Wy także? Po raz pierwszy zwróciliśmy na to uwagę na morzu, podczas podróży. „To jakaś niezwykła władczość w jego zachowaniu, w wyglądzie, prawda?

- Właśnie.

- Ale nie ma w tym ani odrobiny zła - szepnął Móri. - To po prostu siła.

Theresa zgadzała się z nim, mimo to nie mogła przestać się dziwić.

- O wszystkim opowiemy wam później - zakończył Móri uspokajająco.

Tiril przyglądała się uważnie Urielowi. Zauważyła, że wargi młodzieńca poruszają się w bezgłośnej modlitwie, po łacinie, co pewnie musi bardzo cieszyć jej matkę. Gdzież to Taran go wynalazła?

Wszyscy nowo przybyli słyszeli już sporo na temat Uriela od pani powietrza, ale żeby to miał być prawdziwy anioł stróż? Na myśl o tym uśmiechali się ukradkiem. Znowu fantazja i dziwne marzenia Taran, to oczywiste!

Już tutaj, na nabrzeżu bergeńskiego portu, wszyscy witali go serdecznie jako nowego członka rodziny, a jeśli żywili jakieś wątpliwości, to się one powoli rozwiewały. Anioł? Głupstwa! To po prostu wspaniały młody mężczyzna, nic więcej. Widzieli oto jego zgrabną sylwetkę o długich do ramion włosach i niebieskich, ufnych oczach. Jego ogromne zauroczenie Taran miało najzupełniej ziemski charakter.

Bądź dla niego dobra, Taran, myślał Móri.

- No, córeczko, tym razem miałaś szczęście - powiedziała Tiril ze śmiechem. - Witaj w rodzinie, Urielu, mój zięciu!

On uśmiechnął się także, uszczęśliwiony, choć skrępowany. Wszyscy okazywali mu tyle sympatii.

I tylko brat Taran, Dolg, wpatrywał się w Uriela z wyrazem powagi w oczach.

On wie, pomyślał anioł lekko przestraszony. On wie, że nie jestem całkiem z tego świata. Ale czy rozumie, kim jestem tak naprawdę? Czy domyśla się, że ma do czynienia, w najdosłowniejszym sensie, z zabłąkanym aniołem stróżem?

A poza tym ty, mój przyszły szwagrze, też nie jesteś całkiem ziemski, trzeba powiedzieć. Kimkolwiek jednak jesteś, to nie należysz do rodu aniołów. Do przeciwnej strony zresztą także nie. Czy to prawda, co mówi Taran, że w twoich żyłach płynie krew jakiejś wymarłej rasy? Gotów jestem uwierzyć, że mówi prawdę.

Villemann, gdy tylko się znalazł na łądzie, szukał wzroku Danielle. Tak bardzo chciałby się przekonać, czy do niego tęskniła. Ona jednak widziała wyłącznie Dolga. Villemann czuł, że serce przygniata mu bardzo ciężki kamień. Tyle tęsknoty! Tyle marzeń! A Dolg nawet nie spojrzy w jej stronę. Villemann widział, że nadzieja gaśnie również w oczach Danielle.

To sprawiało mu ból. Podwójny. Cierpiał za siebie i za nią również.

Villemann bowiem miał dobrą i szczerą duszę, w której nie było miejsca na zazdrość. Odczuwał jedynie żal na myśl o ukochanej Danielle.

Opanował się jakoś i bardzo serdecznie uściskał babcię. Jakby ona właśnie najlepiej go rozumiała.

- Jak dobrze znowu was wszystkich widzieć - powtarzała Theresa.

- Och, i tyle mamy do opowiedzenia! - zapewniał Villemann.

- My również - wtrąciła jego siostra bliźniaczka. - Chodźmy już stąd, jak najdalej od tego portu, gdzie wszystko cuchnie smołą i dziegciem. Znajdźmy jakieś przytulne miejsce, żeby spokojnie porozmawiać!

W jakiś czas potem siedzieli w domu Erlinga syci i zadowoleni z pysznego obiadu, ożywieni licznymi opowieściami, które obie strony przekazywały sobie nawzajem, oraz tym, że udało się, w końcu rozwiązać dwa poważne problemy.

Pierwszym było imię dla Uriela.

- To w ogóle nie jest żaden problem - stwierdziła Tiril stanowczo. - Michał, Gabriel i Rafael to również imiona archaniołów, a dzisiaj nikogo nie dziwi, że noszą je ludzie. Znamy Uriela jako Uriela. Dlaczego nie miałyby przy tym imieniu pozostać?

Takie rozwiązanie rzeczywiście tym z rodziny, którzy czekali w Norwegii, jakoś nie przyszło do głowy. Być może żywili zbyt wielki respekt dla tego najmniej znanego z czterech potężnych archaniołów?

- Najprostsze rozwiązania są zawsze najbardziej genialne - stwierdził Erling. - Co ty na to powiesz, Urielu?

Ten zdążył się już oswoić z nową propozycją i z zapałem kiwał głową.

- No, no, mieć archanioła za zięcia - westchnęła Tiril wzruszona, bo teraz już wszyscy poznali przeszłość narzeczonego Taran. - Czy to nie Uriel doprowadził do całkowitego zaciemnienia Słońca podczas ukrzyżowania dzięki przesunięciu planety Adamida i ulokowaniu jej pomiędzy Ziemią i Słońcem?

- Uriel nie jest archaniołem, mamó - przypomniała jej Taran. - Tak samo jak nie jest nim Rafael. Uriel zaledwie trochę powąchał anielskiego królestwa...

- Taran, na miłość boską! - krzyknęła Theresa. - Jak ty się wyrażasz? I dość już na ten temat! Teraz chcielibyśmy zobaczyć czerwony kamień. Granat, jak go nazywacie. Ale czy naprawdę jesteście pewni, że to nie rubin?

Właśnie ciebie chcieliśmy o to zapytać, Thereso - rzekł Móri. Jego słowa bardzo księżnej pochlebiły. Znaczyć cokolwiek w tej niebywale pod wszelkimi względami uzdolnionej rodzinie to nie byle co.

Pod pojęciem „uzdolnieni” rozumiała nie tyle inteligencję i geniusz, ale właśnie to, co to słowo w najściślejszym sensie oznacza: Ze jej bliscy przynieśli na świat liczne i wyjątkowe uzdolnienia w najbardziej nieoczekiwanych kierunkach.

Kiedy Dolg wypakowywał czerwony kamień, w pokoju panowała kompletna cisza. Napięcie rosło, Dolg ostrożnie rozwijał kamień, ciemne meble połyskiwały w półmroku. Szafirem opiekował się teraz Villemann, a Taran zapewniała, że ten wspaniały kamień uczynił go dużo sympatyczniejszym. Villemann wykrzywił się do niej paskudnie, w głębi duszy jednak wiedział, że siostra po prostu mu zazdrości. Najchętniej sama by się zajęła klejnotem.

Nareszcie czerwona kula ukazała się zebrany w całej swojej okazałości. W blasku woskowych świec płonęła i mieniła się cudownymi refleksami. Wszyscy westchnęli głośno z podziwu.

- Ale to przecież nie jest granat! - zawołała Theresa. - Dolg, czy mogłabym potrzymać?

- Bardzo proszę, babciu. Kamień nie wyrządzi ci najmniejszej krzywdy, może tylko przyda ci jeszcze trochę więcej autorytetu.

- Tak jak tobie, rozumiem. Nie mam nic przeciwko temu - mruknęła, ujmując ostrożnie kamień w drżące dłonie.

Kula natychmiast zaczęła wysyłać na pokój piękne, tęczkowe fale chybliwego światła. Theresa nie czuła się tym zaszczycona, raczej odczuwała lęk. Odłożyła kamień, lecz on nie przestawał się mienić, na pokrytych boazerią ścianach tańczyły czerwone refleksy.

- Dolg, ten kamień jest przecież niebezpieczny!

- Władza nie jest niebezpieczna.

- No, nie wiem. Pomyśl, co mogłoby się stać, gdyby klejnot dostał się w nieodpowiednie ręce! Widzimy przecież, że na tobie zdążył już odcisnąć piętno.

- I ja to wiem - odparł Dolg krótko. - Ufam jednak, że potrafię panować nad siłą, jaka z niego na mnie spływa.

- Jestem pewna, że potrafisz.

Dolg był teraz taki dorosły i stanowczy, taki poważny i mądry, budzący zaufanie, choć przecież jeszcze taki młody. Nikt by nie pomyślał, że ma niewiele ponad dwadzieścia lat.

Theresa ponownie ujęła kamień. Wszyscy czekali w milczeniu, gdy obracała go powoli i oglądała, unosząc w górę ku światłu wielkiego żyrandola. Ciepły blask kamienia pulsował w pokoju tak mocno, że Theresa przestraszyła się i chciała go ponownie odłożyć. Móri ją jednak powstrzymał.

- Nie przejmuj się tym promieniowaniem, Thereso! Odwróciła się do niego.

- Ale ja odbieram je jako ostrzeżenie.

- Obserwowaliśmy to już przedtem i nic złego się nie stało. Nie przeszkadzaj sobie.

Bardzo niepewnie podjęła oględziny kamienia. Po chwili rzekła z wahaniem:

- Nie jest to też rubin. Zbyt ciemny jak na to. A więc ani granat, ani rubin. I absolutnie nie karneol. To jest korund, należący do tej samej grupy, co rubiny i szafiry. Ale nigdy nie widziałam niczego podobnego.

Opuściła ogromną kulę i wpatrywała się w nią uważnie.

- Drodzy przyjaciele! Mnie się wydaje, że mamy oto do czynienia z kamieniem szlachetnym, jakiego ludzkość do tej pory nie знаła. Nie wiemy więc również, jakie są jego właściwości.

Zaległa głęboka cisza. Ci wszyscy, którzy jeździli na Islandię, sami już wcześniej doszli to takiego wniosku.

- Myśli mama, że pochodzi on z innej gwiazdy? - zapytała Tiril.

- Albo z głębin ziemi - odparła księżna. - Urielu, a co ty na to powiesz? Wiesz może coś na ten temat? Z żalem potrząsnął głową.

- Nie, on wie tylko co nieco o Blitildzie - wtrąciła Taran złośliwie, ale zaraz dodała: - Wybacz, Uriel, skończyliśmy już z nią.

- Ostatecznie!

Theresa zwróciła kamień Dolgowi i tęczowe promieniowanie ustało.

- Żałuję, ale nie jestem w stanie nadać mu imienia. Myślę, że możemy go nazywać po prostu „czerwony kamień”. Taran natychmiast wystąpiła z własną propozycją. - Czy nie moglibyśmy go nazywać grabinen? - zapytała.

- Albo runaten - wtrącił Villemann, który zawsze podążał myślami za rozumowaniem siostry. - Myślę zresztą, że Cień powinien coś w tej sprawie wiedzieć.

Dolg uśmiechnął się krzywo.

- Cień mówi wyłącznie to, co sam chce. A akurat w tym przypadku nie chce powiedzieć nic. Pytałem go już, ale on zaciska wargi i milczy. To zaś oznacza, że sam muszę sobie poradzić z problemem. Niekiedy pomaga mi w różnych sprawach, najczęściej jednak znalezienie odpowiedzi jest moim zadaniem.

Villemann kiwał głową z miną, która miała wyrażać głęboką powagę i zadumę.

Móri rzekł, jakby podążając tropem własnych myśli:

- Niebieski kamień ma właściwości uzdrawiające, on sprzyja budowaniu, czynieniu dobra. Czerwony natomiast jest rujnujący.

Tego bym nie powiedziała - zaprotestowała Tiril.

- Zgoda, nie jest, ale tylko do czasu, dopóki znajduje się w dobrych rękach - stwierdził Móri. - Widziałaś przecież, co uczynił rycerzom zakonnym. To było groteskowe, ale też w najwyższym stopniu przerażające. Myślę, że powinniśmy go oddać pod wyłączną opiekę Dolga. A ty, mój synu, pilnuj, by kamień nie dostał się w niepowołane ręce!

- Nigdy nie zamierzałem do tego dopuścić.

Theresa poczuła ciepło w sercu. Jej przecież Dolg oddał klejnot bez zastrzeżeń.

Chociaż tylko na krótką chwilę. Theresa próbowała ustalić, czy wywarł jakiś wpływ na jej osobowość. Jakoś nie mogła niczego zauważyć. W każdym razie nie stało się nic takiego jak wtedy, kiedy brała do rąk niebieską kulę. Tamten kamień sprawiał, że przenikały ją gorące dreszcze. To było cudowne uczucie.

A czerwony?

Trudno powiedzieć.

- Teraz nadeszła już chyba pora, by wrócić do domu - powiedział Erling. - Do Theresenhof.

- Owszem - przytaknęła Theresa. - Tym razem popłyniemy statkiem.

- No, no - wtrąciła Taran. - Statkiem? Jeśli chodzi o porty morskie, to z tym w Austrii chyba nietęgo... - zaśmiała się.

- Statkiem popłyniemy do Antwerpii - odparła Theresa z powagą. - Stamtąd przez środkową Europę przejedziemy dylizansem.

Móri wciąż o czymś myślał.

- Dobrze będzie wrócić do domu - rzekł po chwili. - Przedtem jednak powinniśmy chyba porozmawiać o czymś zupełnie innym.

- Wiem, co masz na myśli - oznajmił Dolg.

- I ja - potwierdziła Tiril, a razem z nią Villemann i Taran.

- Ale dzisiaj już nie będziemy o niczym dyskutować- postanowił Móri. - Dzisiaj wszyscy potrzebują odpoczynku. Erlingu, czy możemy spotkać się tutaj jutro po śniadaniu? .Wszyscy. To bardzo ważne.

_ Ależ' oczywiście! Zwłaszcza że teraz, jestem naprawdę ciekaw, o co chodzi.

- Ojczy, czy my sobie z tym poradzimy? - zapytała Taran. - Nie, nie chodzi mi o jutrzejsze spotkanie. Chodzi mi o sprawę, o której ty myślisz. Ta przecież zabierze nam potwornie dużo czasu!

- Właśnie o tym powinniśmy pomówić - oznajmił Móri i tymi słowy zakończył wieczorne spotkanie.

2

Następnego dnia Bergen ukazało się z jak najgorszej strony, nie było im więc smutno, że muszą opuścić to piękne miasto. Gasnące lato, deszcz, zwiędłe kwiaty w ogrodach i przejmujący wiatr, który hulał po ulicach.

Po śniadaniu ponownie zebrała się cała rodzina. Nero również. On był chyba najbardziej szczęśliwy, że państwo są znowu razem. Dużo łatwiej utrzymać porządek w gromadzie i strzec bezpieczeństwa wszystkich. Nero uznał też nowego członka rodziny w osobie Uriela, który co prawda pachniał nieco inaczej niż dotychczasowi podopieczni, ale przekupił stare psisko smakowitymi kąskami podawanymi mu ukradkiem przy stole.

Uriel pochodził z innego czasu, gdy zwierzęta były „istotami pozbawionymi duszy”. Ale miłość rodziny Móriego do zwierząt, a do Nera w szczególności, bardzo mu zaimponowała. Poza tym dobrze było odkryć, że ten stary kudłaty ulubieniec rodu zaakceptował go bez żadnych zastrzeżeń. Ze jest po jego stronie.

Móri zaczął od słów:

- W waszym długim opowiadaniu o Sigilionie znalazł się pewien szczegół, który nas wszystkich, podróżujących na Islandię, poruszył do głębi.

- Rozumiemy - odparła Taran z uśmiechem. - Tego się właśnie spodziewaliśmy. Madragowie i ich los, prawda?

- No właśnie! Madragowie, bawole plemię. Tak, my też często o tym dyskutowaliśmy - ciągnęła Taran. - Rozmawialiśmy na temat, czy nie moglibyśmy im jakoś pomóc. Uratować ich przed starym Sigge.

Łatwo jest mówić z lekceważeniem o Sigilionie, kiedy ten znajduje się tak daleko.

Mimo to zadrżała na jego wspomnienie. Człowiek jaszczur...

- Jesteście pewni, że Madragowie naprawdę istnieją? - zapytała Tiril z powątpiewaniem. - Może to tylko taka legenda?

Taran odwróciła się gwałtownie do matki.

- Czy Sigilion był legendą? Wierz mi, my, którzyśmy go widzieli, możemy zaświadczyć, że i on, i jego ród, Silinowie, naprawdę istnieją. Co więcej, on nadal egzystuje!

Ci wszyscy, którzy spędzili ostatni okres w Norwegii, z zapalem kiwali głowami. Potworny Sigilion wciąż żył w ich pamięci.

- Lemurowie także istnieli - oznajmił Rafael. - I nadal istnieją, chociaż w nieco innej postaci. Cień jest jednym z nich. Dolg należy do ich potomków i to właśnie on widział wiele tych istot. Strażników, ogniki, światełka elfów...

- Owszem - potwierdził Dolg w zamyśleniu. - Danielle, pytałaś mnie dziś wcześniej rano, jakim sposobem mogłem wybrać właściwe drzwi, a potem właściwą szkatułkę w grotach Gjain. Wtedy nie potrafiłem ci odpowiedzieć, ale później zastanawiałem się nad twoim pytaniem...

Danielle miała nadzieję, że jej uszy nie płoną tak bardzo, jak jej się zdaje, że powinny. Dolg z nią rozmawia! Zwracał się tylko do niej, i to przy wszystkich! Na jej policzkach zakwitły ze szczęścia wielkie rumieńce.

I znalazłem odpowiedź - ciągnął Dolg. - Właściwie to chyba ona zawsze była we mnie ukryta, nie potrafiłem tylko do końca sobie tego uzmysłowić. Ale teraz już wiem. Powiedziałem wczoraj, że wszystkie drzwi i trzy szkatułki miały dokładnie takie same ornamenty. A to nieprawda. Przypominam sobie teraz, że badałem uważnie palcami szkatułki w najdalszej grocie. Wyczułem wtedy coś jakby nacięcie czy głęboką zdrę

w bogatym ornamencie jednej z nich. Drugie identyczne nacięcie znajdowało się na właściwych drzwiach. Intuicyjnie poszedłem właśnie tamtędy, choć nie zdawałem sobie sprawy z tego, dlaczego tak robię.

Dolg naszkicował na kartce papieru taki oto znak.

- Ale... - wtrąciła Tiril. - To przecież ten sam znak, który znajdował się na skalnej ścianie na bagnach! Znalazłeś go dawno temu, kiedy jeszcze byłeś dzieckiem.

- Tak. I w wielu innych miejscach rozmieszczone zostały podobne znaki. Dlatego właśnie intuicyjnie wybrałem oznaczone nim drzwi i szkatułkę.

- Wydaje mi się całkiem naturalne, że ten znak się tam znajdował - powiedział Móri swoim głębokim głosem. - Wszystko to ma przecież związek z Lemurami.

- Tak.

- Zastanawiam się, co to może znaczyć - wtrącił Villemann, przyglądając się rysunkowi.

- Będziemy musieli się tego dowiedzieć - rzekł Dolg z uśmiechem. - Teraz jednak chyba wszyscy się zgodzą, byśmy przyjęli jako pewnik, że Madragowie istnieją?

Musimy to przyjąć - westchnął Móri. - Podobnie jak to, że istnieją Lemurowie i Silinowie, których przecież widzieliśmy! Dlaczego więc mielibyśmy sądzić, że nie istnieją Madragowie?

- No właśnie. Pamiętacie chyba wszyscy, jaki wstrząśnięty był Sigilion, kiedy Uriel powiedział mu, iż Madragowie się zbuntowali i chcą pozbawić go życiodajnych roślin - przypomniała Taran. - To oczywiste, że powinniśmy próbować odnaleźć owych nieszczęśników! Zarówno Uriel, jak i ja chcemy się tam udać.

- Nie pojedziecie razem nigdzie, dopóki nie weźmiecie ślubu - oznajmiła Theresa, ale natychmiast pożałowała ostrego tonu. Kim ona jest, by stawiać takie zakazy? Ona, która urodziła nieślubne dziecko! Ale, z drugiej strony, któż lepiej od niej wie, jak łatwo ulec pokusie?

- Naturalnie, że najpierw chcielibyśmy wstąpić w związek małżeński - rzekł Uriel na swój staroświecki sposób.

- Taran jest cnotliwą kobietą, a ja szanuję ją za bardzo, bym chciał narazić jej honor na szwank.

W tym momencie Villemann uszczypnął siostrę i oboje mieli poważne kłopoty z zachowaniem odpowiednio poważnych min.

Uriel mówił dalej:

- Pragniemy tylko otrzymać błogosławieństwo rodziców Taran.

- Macie je - mruknął Móri, a Tiril przytaknęła.

- Boże drogi, Taran, więc my się ciebie pozbędziemy - dziwił się głośno Villemann. - Nigdy bym się tego nie spodziewał.

- Villemann! - upomniał go Móri surowo, ale całkiem poważny on również nie był.

- Tylko jakim sposobem dostaniemy się do Karakorum? - zastanawiał się Rafael.

Nie, myślała Taran. Nie, Rafaelu, ty tam nie pojedziesz. Ani Danielle! Nie chcę podczas tej dalekiej podróży ani Danielle, ani Villemanna, ani Dolga. Żeby, nie daj Boże, nie doszło do jakiejś tragedii. Tylko że bez Dolga sobie nie poradzimy, on musi jechać z nami.

- Miałem zamiar wybrać się sam - oznajmił Móri, ale jego słowa zagłuszył chór protestów. Jechać chcieli wszyscy.

Wszyscy z wyjątkiem Theresy, Erlinga i Tiril. Chociaż Theresa trochę się wahała.

- Cudownie byłoby zobaczyć wschodnie kraje - westchnęła niepewnie.

Tiril długo zagryzała wargi.

- Moja mama powiedziała wczoraj, że podróż do Bergen i Christianie była dla niej przygodą i że chciałaby częściej jeździć. Jeśli jednak o mnie chodzi...

Tiril zawstydziała się. Na Islandii użalała się nad sobą i stwierdziła, że dość ma podróżowania. Że jest już chyba na to za stara.

A tutaj siedzi oto jej matka i naprawdę rozważa, czy nie wybrać się z wnukami na drugi koniec świata. Na szczęście jednak Theresa zrezygnowała z tych planów. Mimo to Tiril czuła się żałośnie.

- Nero chce wyjść - mruknęła i wstała. - Przejdę się z nim trochę.

Ucieczka, to po prostu ucieczka, ale nie umiała już dzielić zapалу swoich bliskich.

Tiril nigdy nie mogła pojąć, jak to się stało. Była z Nerem na dworze zaledwie kilka minut, a kiedy wróciła, wszystko zostało już postanowione. Ku jej rozczarowaniu.

- Czy nie powinniśmy się raczej skoncentrować na rozwiązaniu zagadki trzech kamieni? - zaczęła ostrożnie. - Zamiast jeździć gdzieś pod Himalaje z zadaniem wcale nie najważniejszym.

Móri odpowiedział:

- Coś mi mówi, że jedno nie wyklucza drugiego. Może po drodze będziemy mogli zdobyć nowe umiejętności?

- Albo wystawimy się na kolejne ataki zakonu rycerskiego.

- Będzie im trudno śledzić nas podczas tej podróży. Tiril mogła więc tylko w milczeniu wysłuchać, do czego doszli.

Dolg, oczywiście, miał jechać i chciał, by towarzyszył mu Villemann, uważał bowiem, że sam nie zdoła ustrzec obu kamieni. Czerwonego nie zamierzał nikomu przekazywać, ale Villemann na Islandii tak dobrze opiekował się szafirem, że Dolg prosił go, by nadal to czynił.

Villemann miał czerwone uszy, a twarz jaśniała mu jak słoneczko i musiał raz po raz przełykać ślinę, by nie pokazać, jak bardzo jest dumny z tego zaproszenia. Villemann był jak dziecko, ale wszyscy w rodzinie pragnęli, by takim pozostał na zawsze.

Taran i Uriel już dawno postanowili, że pojedą, a Rafael i Danielle uznali, że już czas najwyższy przeżyć jakąś większą przygodę. Spotkanie z Sigilionem nie przestraszyło ich na tyle, by teraz chcieli zrezygnować. Theresa wołała nie rozstawać się z Danielle i Rafaeliem, Tiril pragnęła być ze swoimi dziećmi.

- Naprawdę wystarczy już tego jeżdżenia - upierała się. - To ostatni raz - zapewniał Villemann uroczyście.

- Ha! I ty w to wierzysz, Villemannie? Będzie was sześćoro młodych bez...

- I tata.

Nnie, nie możecie ciągnąć waszego starego ojca przez pół świata...

Tego nie powinna była mówić. Teraz nawet Móri poczuł się dotknięty.

Nie jest się starym w wieku pięćdziesięciu sześciu lat! I czy naprawdę uważasz, że młodzi powinni jechać sami?

- Oczywiście, że nie! Móri, kochanie, wcale nie jesteś stary, to głupie z mojej strony, że tak powiedziałam, ale nie chcę jeszcze raz zostawać sama i czekać na was z sercem w gardle ze strachu.

Objął ją i mocno przytulił.

- Tiril, zawsze do tej pory byłaś taka dzielna! Rozumiem, oczywiście, że to straszne więzienie odebrało ci wiele odwagi, ale naprawdę bądź spokojna! Tym razem rycerze nie będą mieć żadnej możliwości ścigania nas.

- No właśnie, ojciec, a jak my się tam dostaniemy? - zapytał Dolg. - Jak rozumiem, masz jakiś pomysł.

- Właściwie to nie. Myślałem po prostu, że powinniśmy poprosić o radę duchy.

- Oczywiście! - zawołał Villemann z entuzjazmem. - Wezwij Nauczyciela, tato!

Móri zgasił jego zapal.

- Dobrze wiesz, że nigdy nie można wezwać tylko jego, Villemannie. Wszystkie duchy są tak samo ważne i poczułyby się bardzo urażone, gdyby nie wszystkie zostały poproszone. Tylko Ciebie działa samotnie, on jeden.

- Oczywiście, przepraszam, zachowałem się niemądrze. Móri też miał wyjątkowo czule serce dla swego młodszego syna.

- Villemannie, czy nie dość masz już przygód?

- Nigdy nie będę miał ich dość - odparł młody człowiek z uporem. - A ty, tato?

Móri uśmiechnął się krzywo.

- Nie, ja... - po czym dodał pośpiesznie: - Jeśli ja z wami nie pojedę, to duchy też, nie będą mogły wam towarzyszyć! To prawda!

- Erlingu, czy mogę uczynić to teraz? Tutaj? - zapytał Móri przyjaciela.

Erling natychmiast wstał.

- Powiem tylko, żeby nam nie przeszkadzano. - Wyszedł pośpiesznie z jadalni, a kiedy wrócił, starannie zamknął za sobą drzwi i na wszelki wypadek przekręcił klucz w zamku. - Nie możemy też wystraszyć służby mojej siostry - wyjaśnił z uśmiechem.

Móri wezwał „duchowe wnętrzości”, jak kiedyś lekceważąco określiła je Taran, za co została przez rodziców surowo skarcona.

Dolg poprosił ojca, by wezwał również Cienia, i wkrótce potężna jego postać znalazła się w pokoju wraz z pozostałymi duchami. Jadalnia stała się nagle dziwnie mała i już nie wydawała się taka pusta. Nero i Zwierzę prz3rwitali się jak dwaj starzy

przyjaciele, obwąchując się nawzajem, wszystkie duchy witały uprzejmie Uriela, a on dziękował im z szacunkiem.

Móri przedstawił sprawę i duchy przez chwilę naradzały się we własnym gronie. Wszystko wskazywało na to, że w tej sytuacji Cień jest kimś bardzo ważnym, wciąż zgłaszał swoje propozycje, które pozostali przyjmowali z wielkim respektem. Rodzina widziała to wszystko, choć rozmowy żadne z nich nie słyszało.

W końcu Nauczyciel zwrócił się do Móriego. Straszne oblicze urodzonego w Hiszpanii czarnoksiężnika płonęło z przejęcia.

- To dla nas wspaniałe zadanie! Rozumiem, że się wahacie. Tego rodzaju wyprawa może trwać lata. Wkrótce wszystko wam zorganizujemy.

- W jaki sposób?

- Zaraz do tego dojdziemy. Jak rozumiem, troje z was nie zamierza jechać, wrócą do Theresenhof?

- Zgadza się.

- Oni również będą potrzebować ochrony.

O, tak, dziękuję - powiedziała Tiril pospiesznie. - Już naprawdę nie chcę więcej spotykać braci zakonnych. Nauczyciel zastanawiał się przez chwilę.

- W krajach Wschodu panuje teraz bardzo nieprzyjemna pora roku. W Karakorum jest zima, mnóstwo śniegu. To nie bardzo odpowiedni czas na wyjazd.

- Rozumiemy - rzekł Móri.

- I, jak mówi młody Villemann, wszyscy musicie odpocząć po pełnej trudów wyprawie. Proponujemy zatem, byście wszyscy razem wrócili do Theresenhof...

Dziękuję - szepnęła Tiril.

- ... i wypoczęli... Ile dni chcielibyście tam zostać?

- Trzy - rzucił Villemann.

- Trzy tygodnie - poprawił go Nauczyciel. - 'Trzy tygodnie łącznie z podróżą stąd do Theresenhof. Tymczasem tam warunki powinny się poprawić.

Móri skinął głową.

- Czy szlachetne kamienie mamy zabrać ze sobą?

- To jest niezbędne. A przy okazji chciałem powiedzieć, że wczoraj wieczorem błędnie tłumaczyliście sobie promieniowanie czerwonego kamienia.

- Może to było ostrzeżenie? - zapytała Theresa.

- Owszem, ale nie skierowane wyłącznie do pani, księżno. Kamień wysyła promienie wtedy, kiedy w pobliżu niego nie ma Dolga. Dlatego właśnie musi z nim podróżować na Wschód. A młody Villemann jest bardzo dobrym opiekunem szafiru. W jego rękach oddziaływanie kamienia jest dużo mniejsze niż przy Dolgu.

Villemann skinął głową. On również to zauważył i przyjmował ze spokojem.

Nauczyciel zwrócił się do Dolga:

- Mam nadzieję, że obchodzisz się z czerwonym kamieniem bardzo ostrożnie. Poza tym to jest farangil.

Istnieje coś takiego? - zapytała Theresa.

- Nie. Oficjalnie nie. To znaczy, jeszcze nie. Ale zapamiętajcie tę nazwę, bo ludzkość w przyszłości takie kamienie odkryje.

- Zapamiętamy. A czy niebieski kamień to szafir? Czy może ma jakąś inną nazwę?

- Miała pani rację, uznając, że to szafir, szlachetna księżno. Ale podobnego do niego na ziemi nie widziano. Więc nie jest to taki całkiem zwyczajny szafir.

- Chętnie w to wierzę - mruknął Dolg. - No dobrze, obiecuję, że będę strzegł czerwonego farangila wyjątkowo troskliwie.

Nauczyciel przyjął tę odpowiedź z zadowoleniem.

- Chcę ci powiedzieć, że to twój przyjaciel Cień pamiętał nazwy szlachetnych kamieni. I sam oznajmił, że chętnie będzie nam towarzyszył na Wschód. Może być nam bardzo pomocny.

- Wiem - potwierdził Dolg. - No, a Nero? Bardzo bym chciał mieć go ze sobą.

- Nie, zostaw mi go w domu - prosiła Tiril. - Przecież tak naprawdę to on jest mój.

Wielki łeb Nera zwracał się to w jedną, to w drugą stronę, jakby pies nie mógł się zdecydować, z kim ma pozostać.

Nauczyciel zastanawiał się. Cień powiedział mu coś bardzo cicho, Nauczyciel skinął głową.

- Nero powinien towarzyszyć Dolgowi.

Tak więc wszystko zostało rozstrzygnięte. Tiril nie protestowała już więcej. Uznała, że obecność Nera przyda się Dolgowi w tej dalekiej podróży.

Teraz byli gotowi opuścić Bergen...

Spodziewali się poważnych problemów podczas późniejszej podróży do Karakorum. Nie spodziewali się natomiast żadnych kłopotów w drodze do domu, jawiła im się ona niczym niedzielna wycieczka za miasto.

Wkrótce jednak mieli pożałować przesadnego optymizmu.

Nie obawiali się rycerzy zakonnych, którzy najpewniej, po ciężkich ciosach zadanych im przez rodzinę czarnoksiężnika, lizali teraz rany. Mimo to podróż do Austrii stała się dla nich bardzo przykrym doświadczeniem, a kłopoty miały źródło w nich samych. Różnorakie emocje wybuchnęły w grupie z wielką siłą, kiedy pojawił się czynnik, który je wyzwolił. Nastrój był wtedy ciężki. Wielkie napięcie panowało na przykład pomiędzy Taran i Urielem, a także między Danielle, Villemannem i Dolgiem.

Na dodatek jeszcze Rafael, ów jakby nieobecny w realnym świecie młody człowiek, nieoczekiwanie poznał brutalną stronę życia.

Podczas tej podróży przeżył prawdziwy koszmar, przy czym to, co się wydarzyło, nie było koszmarnym snem, lecz okrutną rzeczywistością.

Wszyscy młodzi członkowie rodziny, Taran, Uriel, Dolg, Villemann i Danielle, zostali tą sprawą dotknięci.

Już wcześniej doznali wielu przygód, bolesnych i przerażających, ale jakoś zawsze wychodzili cało z opresji. Tym razem ich dusze zostały poruszone tak bardzo, że kilkoro miało poważne kłopoty, by wrócić do równowagi.

Doprawdy nie był to najlepszy start do pełnej trudów podróży na Daleki Wschód, gdzie wszystkim potrzeba będzie wiele sił, i fizycznych, i psychicznych.

Wszystko złe zdarzyło się jednak później. Na razie podróż z Bergen do domu zaczęła się pomyślnie.

Nie było czasu na urządzenie ślubu i wesela, chcieli jak najprędzej dotrzeć do Theresenhof. Taran i Uriel musieli więc wysłuchiwać surowych napomnień, by panowali nad sobą i nie doprowadzali do żadnych kłopotliwych sytuacji.

Oboje narzeczeni uważali, że łatwo o takich sprawach mówić, dużo natomiast trudniej przestrzegać napomnień.

Ponadto wszyscy, i młodzi, i starsi, popełnili wielki błąd, lekceważąc rycerzy Zakonu Świętego Słońca.

To prawda, że żaden z rycerzy nie był w stanie ich ścigać, ale wysłali w zamian kogoś innego.

Najgorsze zaś było to, że i Cień, i pozostałe duchy oznajmiły stanowczo, iż podczas krótkiej podróży z Bergen do Austrii rodzina musi sobie radzić sama. To przecież naturalne, w takiej podróży nikt chyba nie potrzebuje pomocy sił nadprzyrodzonych.

Oczywiście, potakiwali ludzie. Oczywiście, że nie muszą fatygować duchów! Jeszcze tylko tego brakuje, może duchy miałyby im podkładać poduszki pod głowy?

3

Brat Willum był Holendrem. Siedział w siodle wyprostowany, surowy, o włosach blond, z głową osadzoną na długiej szyi, z długim nosem. Sam siebie uważał za niebywale przystojnego mężczyznę.

To brat Gaston wysłał go na poszukiwanie pewnej francuskiej czarownicy. Bowiem Zakon Świętego Słońca postanowił odpowiedzieć uderzeniem na uderzenie. A nikt w zgromadzeniu nie dorównywał teraz zręcznością w magii islandzkiemu czarnoksiężnikowi i jego synowi, Dolgowi. Dlatego bracia starali się znaleźć dla nich godną przeciwniczkę, najlepszą, o jakiej słyszeli: legendarną wiedźmę z małej francuskiej wioski u podnóża Alp.

Opowiadano, że przewyższa ona magiczną siłą nawet osławioną czarownicę paryską, La Voisin.

Ta tutaj miała się jakoby nazywać L'Araignee. Pająk. Nie brzmiało to specjalnie zachęcająco, wobec czego Willum postanowił używać jej oficjalnego nazwiska, Marie-Christine Galet.

Kiedy w końcu przybył do górskiej wioski, pogoda panowała okropna. To, że wokół wznoszą się wysokie szczyty, raczej wyczuwał, niż był w stanie zobaczyć. Echo końskich kroków odbijało się głucho od ścian. Wszystko tonęło w szarej mgle, deszcz siał dokuczliwie, w położonych wysoko przełęczach zawodził porywisty, przenikliwy wiatr.

Dolina, przez którą podróżował w ciągu ostatnich godzin, była ohydnie mroczna i upiorna, otaczały ją, czarnoszare skały, porośnięte karłowatymi sosnami. Brat Willum marzył i dygotał, zdawało się, że siąpiły deszcz przenika do szpiku kości.

Z ciemności i mgły wyłoniła się grupka niewielkich zabudowań. To musi być ta wioska, której poszukuje. Willum nie zamierzał tracić zbyt wiele czasu, jechał z

mocnym postanowieniem, że jak najszybciej odnajdzie wiedźmę i natychmiast opuści ponurą okolicę. Najbardziej ze wszystkiego pragnął wrócić do cywilizacji.

Wioska sprawiała wrażenie wymarłej. Nagle jednak w którejś zagrodzie zaszczekał pies, więc pewnie i ludzie muszą tam być. Brat Willum zeskoczył z konia i zapukał do drzwi najbliższego domu. Przez brudne okienko zauważył mdłe światło olejnej lampki.

Powoli, ze skrzypieniem drzwi zostały uchylone. Po chwili ukazała się w nich kobieca głowa. Podejrziwe, przenikliwe oczka.

- Poszukuję madame Galet - oznajmił Willum władczym tonem.

- Kogo? - zaskrzeczała kobieta.

- Madame Marie-Christine Galet - powtórzył Willum wolno i wyraźnie.

Kobieta nadal przyglądała mu się jakby z niedowierzaniem. Gdzieś z głębi chaty odezwał się inny głos:

- Pajęczycy!

Drzwi zostały zatrzaśnięte tuż przed nosem rycerza.

No trudno, pomyślał. Na razie mi się nie udało.

Popatrzył w dół wiejskiej ulicy, jeśli takim słowem można określić tę gliniastą rynną wijącą się pomiędzy domami. Zobaczył światło w oknach budynku, który mógł być nędzną gospodą.

Willum ruszył w tamtą stronę.

Kilku górali drzemało nad trzema drewnianymi stołami, wypełniającymi izbę. Oczywiście nigdzie ani jednej kobiety, to niewyobrażalne w gospodzie w krajach Południa.

Kiedy wszedł, mężczyźni obojętnie spojrzeli w jego stronę. Nigdy nie należy okazywać zainteresowania przybyszowi ze świata! Coś takiego było w ogóle niedopuszczalne!

Willum już od progu powtórzył swoje pytanie, tak samo wyraźnie jak poprzednio:

- Szukam madame Marie-Christine Galet. Gdzie mógłbym ją znaleźć?

Jeśli to możliwe, w sali zaległa jeszcze głębsza cisza. Kilku obecnych z obrzydzeniem odwróciło głowy. Jeden jedyny syknął:

- Madame? A kiedy to ona została madame?

Potem wszyscy wrócili do swojego wina.

W pierwszej chwili Willum miał ochotę podejść i potrząsnąć człowiekiem, który się odezwał. Opanował się jednak, to przecież niczego nie załatwi.

Zawrócił do drzwi. Słyszał jeszcze, że mówią coś do siebie nawzajem i chichoczą, ale nie chciał się dowiadywać, dlaczego. Nie zamierzał się wdawać w żadne rozmowy, bo i tak byłby w nich stroną przegraną, a na coś takiego brat Willum za nic nie mógł sobie pozwolić.

Będę ją musiał znaleźć na własną rękę, myślał. Wszystko jedno, jakim sposobem.

Na dworze z cienia wyłoniła się postać małego chłopca, który pociągnął Willuma za połę płaszcza.

- Ile pan za to zapłaci?

- Co? A, rozumiem. Wiesz, gdzie ona mieszka?

- Ile?

Willum poszukał w sakiewce i wyjął najmarniejszy banknot, jaki w niej znalazł.

- Masz! I pokaż mi drogę do jej domu!

- Proszę za mną! Nie, proszę wziąć konia! To daleko.

Wkrótce opuścili wioskę i skierowali się w góry. Długo wspinali się po wąskich, stromych, trudno dostępnych ścieżkach, ale w końcu dotarli na miejsce. Chłopiec zatrzymał się i pokazał Willumowi ciasne przejście pomiędzy olbrzymimi skalnymi blokami.

- Zaczekaj! - zawołał Willum, ale malec już zniknął w ciemnościach. Ostatnie, co Willum zdołał zobaczyć, to dwoje przestraszonych dziecięcych oczu.

Dzielny rycerz poszedł dalej. Za jednym ze skalnych uskoków znajdowała się nieduża chatynka, częściowo ukryta we wnętrzu góry, zbudowana z różnych możliwych i niemożliwych materiałów. Pod górską ścianą mijał jakieś dziwne, obrzydliwe rzeczy zawieszane jak do suszenia na drewnianych tyczkach. Nie chciał się temu uważniej przyglądać, w ogóle nie chciał wiedzieć, co to takiego. Zwłaszcza że nad ciasną, otoczoną wysokimi górami kotlinką unosił się wstrętny, dławiący, słodkawy smród rozkładu i śmierci.

Jak człowiek może upokorzyć się do tego stopnia, by mieszkać w takim miejscu? myślał ze zgrozą, kiedy, nie bez wahania, ujmował klamkę czegoś, co musiało być drzwiami. Duża drewniana płyta, przymocowana do ściany chaty. Niegdyś mógł to być blat stołu.

Willum stał przez chwilę z dłonią na klamce. Natężył pamięć. Oczywiście, że słyszał, co mężczyźni w gospodzie mówili do siebie nawzajem. „Strzeż swoich klejnotów, szlachetny panie. Bo to one ją najbardziej zainteresują!”

Sprawdził, czy sakiewka z pieniędzmi znajduje się na swoim miejscu, zawieszona na szyi, na grubym rzemieniu. Wsunął ją, głębiej pod ubranie. Kobieta nie zdołała mu jej zerwać. A zresztą miał przecież przy sobie znak Słońca. Jest nieśmiertelny. A przynajmniej prawie.

W końcu brat zakonny numer dwanaście zastukał mocno w drzwi i zdecydowanie je otworzył. Ponieważ ów ciężki blat, czy co to było, nie został w żaden sposób przymocowany do ścian, o mało go na siebie nie ściągnął.

Zaskoczony stał w progu. Wewnątrz paliło się kilka naftowych lampek. Najbliżej wejścia w pomieszczeniu było tak, jak się spodziewał, najrozmaitsze czarodziejskie remedia wały się wszędzie w wielkim nieporządku, nad dymiącym ogniskiem wisiał ogromny sagan, wszędzie stosy opalowego drewna, jakieś słupy i kolki podpierające ściany chatki.

Druga część izby go jednak zdumiała. Stało tam wielkie, wspaniałe łóżko zaścielone orientальnymi narzutami i poduszkami, w narożniku znajdował się piękny stół, wyszukane dzieło sztuki, a obok równie piękny fotel, w którym musiało się bardzo wygodnie siedzieć. Przy łóżku ustawiono dużą balię z jeszcze parującą, pachnącą kapielą.

Trudno opisać różne wonie unoszące się w tej izbie. Piękne, aromatyczne zapachy orientalnych przypraw mieszały się z nieokreślonym, obrzydliwym smrodem.

No i sama gospodyni!

Willum przez cały czas wyobrażał sobie madame Galet jako paskudną, starą wiedźmę w klasycznym stylu. Bezzębną, garbatą, skrzeczącą niczym wrona, złośliwą i brudną.

Brudna pewnie tak, kiedy nie była świeżo wykąpana i zaróżowiona jak teraz. Wiek miała nieokreślony, mogła uchodzić za poważnie wyglądającą dwudziestolatkę, lecz także młodzieńczą trzydziestopięciolatkę. Willum przyjmował raczej tę ostatnią ewentualność, ponieważ zdążyła się już dorobić groźnej sławy w kraju i poza nim. Była ładna w jakiś wyzywający sposób, miała kruczoczarne, krótko ostrzyżone włosy, uczesane „na pazia” z grzywką równo przyciętą nad czołem. To niezwykła fryzura u kobiet, Willum domyślał się, że jakiś czas temu czarownica musiała zostać ogolona

do gołej skóry i teraz włosy odrastają. Ale ładnie jej było w tym uczesaniu, to musiał przyznać, dodawało pikanterii jej francuskiej twarzy o ciemnej karnacji. Miała wysokie kości policzkowe, a w całej postaci było coś kociego.

Leżała bezwstydnie na plecach z uniesionymi nogami, jedno kolano wsparte o drugie tak, że spódnica uniosła się wysoko, odsłaniając uda. Trzymała w rękach jakąś robótkę, miał wrażenie, że splata warkocz z grubych nici. Kiedy Willum wszedł do izby, popatrzyła na niego zmrużonymi oczyma, ale swego zajęcia nie przerwała.

- Dobry wieczór, rycerzu - powiedziała lekko. - Wejdz i stań w świetle! Właśnie wzięłam kąpiel, bo przecież musiałam się przygotować do jutrzejszej podróży. Powiedz, co cię do mnie sprowadza.

Willum powoli ruszył w głąb izby i stanął przy łożu. Kobieta odłożyła to, co trzymała w rękach, i zaczęła mu się uważnie przyglądać. Potem wyciągnęła ręce ponad głowę z rozkosznym, zmysłowym mruczeniem.

- Jak to dobrze, że przyszedłeś - powiedziała, zanim on zdążył choćby otworzyć usta. - Moje uda już od dawna nie czuły dotyku mężczyzny. Czy masz z czym do nich przyjść?

Willum udawał, że to do niego nie dociera. Że ani nie słyszał jej słów, ani że on sam się okropnie zaczerwienił.

- Mam pewną propozycję - oznajmił krótko.

Patrzyła na niego, marszcząc brwi. Potem usiadła na łóżku w pozycji lotosu tak, że pokazywała mu teraz absolutnie wszystko.

Usiądź tu koło mnie - powiedziała, wygładzając narzutę na łóżku. - Żebyś mogła cię dotknąć i przekonać się, czy jesteś takim mężczyzną, na jakiego chciałbyś wyglądać. Bardzo skrupowany usiadł w wielkim fotelu. Rzeczywiście, siedziało się bardzo wygodnie.

Ale w oczach czarownicy pojawiły się złe ogniki. - Odrącasz mnie, ty głupi diable?

Coś mówiło Willumowi, że nie powinien jej irytować. Bez słowa, ale wciąż jeszcze zachowując godność, przeniósł się na skraj łoża.

- No, tak już lepiej - zamruczała, kładąc swoją małą dłoń na jego udzie. - Słucham, przedstaw mi teraz swoją propozycję.

Lepiej pochlebiać tej istocie, pomyślał drżąc, gdy go dotykała.

- Słyszałem, że pani jest we Francji najpotężniejsza w swojej dziedzinie.

- O, do diabła, nie bądź taki pompatyczny - prychnęła. - Ale masz rację, jestem najlepsza. La Voisin może się schować. Czego jednak ode mnie chcesz? Powinieneś wiedzieć, że jestem droga.

- Istnieje pewien czarnoksiężnik...

Kobieta wyprostowała się, nastawiając uszu.

- Czarnoksiężnik? Gdzie? Czy jest urodziwy? Czy umie kochać jak sam Zły?

- Nie wydaje mi się, bym był najwłaściwszym człowiekiem do wypowiedzenia się na ten temat - odparł Willum krótko. Czuł teraz, że całe ciało oblewa mu zimny pot, gdy tak długo opanowywane zmysły ożywają pod dotknięciem rąk tej kobiety. Za żadne skarby nie może dopuścić, by ona to zauważyła. Takiego triumfu on jej nie pozwoli przeżyć! Wyobrażał więc sobie, że się oto zanurza w lodowatej wodzie.

Głęboko wciągał powietrze i mocniej zaciskał uda.

- Pragniemy śmierci tego czarnoksiężnika. Ale nie możemy go dopaść. Zapłacimy pani godnie... jeśli zdoła go pani unicestwić.

- Co to za cholerny język, którym do mnie przemawiasz! Chcesz powiedzieć, że mam go zabić?

- E... hm, tak!

- Tu! Dotykaj mnie! Daj rękę! Jestem tak cholernie znudzona tym, że muszę sama... teraz chcę poczuć...

- On ma też syna - wybełkotał Willum, bo domyślał się, że kobieta zaraz wymówi. słowo, którego za nic nie chciał słyszeć.

- Syna? - zapytała, popychając jego oporne dłonie we właściwe miejsce. - Dziecko?

- Nie, to dorosły młodzieniec. Ma podobno być niezwykle piękny. Czarnoksiężnik też - dodał Willum, bo bardzo chciał ją zainteresować swoją opowieścią. W ten czy inny sposób, byleby tylko przestała być taka natarczywa.

O, teraz czuł, że jego ciało reaguje gwałtownie. Nie był w stanie nad nim zapanować, na nic zdało się wyobrażanie sobie lodowatej kąpeli. Kobieta była ciepła, wilgotna i ręce przestawały go słuchać, pożądliwie dążyły tam, gdzie ona była najcieplejsza.

- Mmmmm - mruzczała rozkosznie. - Jeszcze! 'Tak, właśnie tam! Nie, zaczekaj, napijemy się trochę winka!

- O, chętnie! - gwałtownie cofnął rękę. Gdy tylko kobieta odwróciła się do niego plecami, starał się poprawić spodnie, ale było z nim naprawdę źle.

Oczywiście, nigdy by się do niej nawet nie zbliżył, gdyby była taka brudna jak większa część izby. Ona jednak była wykąpana i pachnąca, naprawdę nie mógł się powstrzymać.

Kiedy w drugim końcu izby nalewała wina do pucharków, odwróciła lekko głowę i zawołała przez ramię:

- Opowiedz o tym czarnoksiężniku!

I Willum pospieszył z wyjaśnieniami. Nie powinien jej opowiedzieć wszystkiego, to jasne. Mówił tylko, że oni obaj, ojciec i syn, bardzo od lat niepokoją szlachetny zakon rycerski, że przywłaszczyli sobie należące do zakonu klejnoty...

- Klejnoty? - zaintrygowała się czarownica. - Jakie klejnoty?

Willum uznał, że powiedział za dużo. Zakon nie powinien się zajmować czerwonym i niebieskim kamieniem, a raczej koncentrować się na Świętym Słońcu.

- Nie, nic takiego. Po prostu dwa małe szlachetne kamyki. Teraz jednak czarnoksiężnik jest z rodziną w drodze do Austrii, wkrótce będą przechodzić przez granicę tutaj niedaleko. Dlatego zwracamy się do ciebie, byś się nimi zajęła...

Wróciła do niego z dwoma pucharami. Każdy inny, powyszczerbiane, ale to przecież bez znaczenia. Willum nie widział, co ona robiła w kącie izby, sądził, że nalewała wino. Po prostu.

Ponownie usiadła na łóżku, tym razem bliżej niego, i uniosła kielich. Wypili.

Kiedy nie spieszył się, by jej znowu dotykać, spojrzała na niego z gniewem w oczach.

- Co się z tobą dzieje? Wydaję ci się mało pociągająca czy co? A może ty wolisz chłopców? Albo własną mamuszkę? Willum kipiał gniewem.

- Nie masz prawa odzywać się w ten sposób do szlachcica! - warknął.

- Mam to gdzieś! Ale jak ci się nie podoba, to nie zamierzam też słuchać twoich opowieści. Możesz sobie iść! Willum wciągnął powietrze i wykrztusił:

- Wybacz mi! Prawdą jest mianowicie, że jesteś aż nazbyt pociągająca i ja nie bardzo mogę dotrzymać mojej rycerskiej przysięgi, że będę się z szacunkiem odnosił do kobiet.

- No więc opowiadaj - rzekła udobruchana, odstawiając kielich. - Jak to jest z tym czarnoksiężnikiem? Powiadasz, że jest bardzo uzdolniony.

- Najlepszy ze wszystkich.

- Ja jestem lepsza - ucięła. - Ja pokonam ich obu, ojca i syna.

Ku jego wielkiemu przerażeniu czarownica sama wsunęła mu rękę pod ubranie i zaczęła poszukiwania w spodniach. Wino było mocne i bardzo, słodkie, natychmiast uderzało do głowy, tym bardziej że Willom był przecież bardzo zmęczony i głodny. Zdawało mu się, że wyczuwa w napoju odrobinę czegoś gorzkawego, piołunu czy czegoś podobnego, ale to czyniło je tylko bardziej pikantnym. Pociągnął solidny łyk i starał się nie zauważać, że ręka czarownicy dotarła do najszlachetniejszej części jego ciała. Kobieta mruczała zadowolona, kiedy stwierdziła, jak on reaguje na jej zabiegi.

- Widzę, że długo żyliśmy w cnocie - zaszczębiotała kokieteryjnie.

Wino działało na niego tak bardzo, że chcąc ukryć swoje fizyczne dylematy, zaczął pospiesznie wyrzucać z siebie całą historię o czarnoksiężniku i zakonie rycerskim. O trzech kamieniach szlachetnych również. Uważał, że to nic nie szkodzi, co tam, do diabła, jakie to ma znaczenie, że powie to i owo tej sympatycznej kobiecie, żyjącej tak daleko od świata w jakiejś zabitej dechami górskiej wiosce.

Wiedźma słuchała z płonącymi oczyma. Usiadła na nim okrakiem, a on drżącymi palcami ulokował gdzie trzeba swój najszlachetniejszy organ.

Och, jakie to cudowne!

Ale moich pieniędzy to ona nie dostanie, pomyślał. Moich skarbów. Ona nie wie, gdzie je ukryłem.

- Pojedziemy razem, ty i ja - bełkotał, podczas gdy ona kołysała się na nim w tył i w przód. - Pojedziemy razem i zajedziemy drogę czarnoksiężnikowi i jego -rodzinie. Ty dostaniesz nagrodę od Zakonu Świętego Słońca, a ja zajmę się szlachetnymi kamieniami. Nikt nie musi o tym wiedzieć. O, nie, ratunku, ja...

Jak powiedziano, Willom nie miał od dawna żadnej kobiety. Od bardzo dawna, od czasu, kiedy opuścił w Holandii swoją nudną i marudną żonę, która umiała tylko liczyć srebra i codziennie wietrzyła pościel. Tak więc sprawa z piękną czarownicą skończyła się nadspodziewanie szybko. I nic nie mógł poradzić na to, że ona daleka jest od zaspokojenia, zresztą będą to mogli zrobić jeszcze raz, niech no tylko on dojdzie trochę do siebie. Opadł na posłanie z błogim uśmiechem na wargach. Pajęczycyca zsunęła się z niego, bardzo rozczarowana tak szybkim zakończeniem, ale właściwie to tego wieczora sam akt nie miał dla niej wielkiego znaczenia. Ważniejsze było to, co przybysz opowiadał o zakonie rycerskim i o czarnoksiężniku oraz jego

rodzinie, o Świętym Słońcu i o niezwykłych rozmiarów szlachetnych kamieniach, których wszyscy pożąдали.

L'Araignee nie wiedziała tylko, jak dobrze chroniony jest czarnoksiężnik i jego bliscy...

Ale, i to było najważniejsze ze wszystkiego, teraz będzie miała to, czego jej właśnie brakowało do skomplikowanych czarodziejskich zabiegów następnego dnia.

Patrzyła chłodnym wzrokiem przed siebie, czekając, aż zabójczy środek dosypany do wina zacznie działać. Dotknęła jeszcze raz jego męskiego organu, żeby sprawdzić, czy mogłaby mieć z niego jakiś pożytek, ale ten zwiślał żałośnie niczym opróżniony do połowy worek z mąką. Nic już z tego nie będzie.

Minęło potwornie dużo czasu, zanim środek poskutkował. Nigdy przedtem nie musiała czekać tak długo, by jej ofiara opuściła ziemski padół.

Co takiego stało się dzisiaj? Skąd ten żalosny człowiek czerpie swą siłę? Nie była w każdym razie ukryta w jego szlachetnych organach, o tym mogła z całym przekonaniem zaświadczyć.

Poczekala jeszcze trochę, zaczęła się przygotowywać do jutrzejszego dnia. Wkrótce będzie miała wszystko, co potrzebne do tej wielkiej ceremonii, dzięki której stanie się jeszcze potężniejszą czarownicą, jeszcze bardziej trudną do pokonania. jeśli to w ogóle możliwe...

Po chwili wróciła do łóżka.

W porządku. Mężczyzna leżał bez ruchu i nie oddychał.

Marie-Christine Galet wzięła swój najostrzejszy nóż i bardzo wprawnym ruchem odcięła jego organy płciowe, jego skarb...

Z na wpół zdławionym krzykiem próbował otworzyć oczy.

Co jest, do cholery? Czy on wciąż jeszcze nie umarł? Z wściekłością szarpnęła na nim koszulę. Tkanina rozerwała się z trzaskiem i wtedy zobaczyła znak Słońca. - Widzicie coś podobnego! - zawołała uradowana. - Jeszcze jeden skarb dla mnie!

Zdjęła mu łańcuch przez głowę i zawiesiła go na swojej szyi.

- Nieźle, nieźle - mamrotała pod nosem.

W tej samej chwili z gardła rycerza Willuma wydobył się gulgot, jego oczy znieruchomiały.

- No, czas najwyższy - syknęła Pajęczycza, nie pojmując związku między tym, że zdjęła znak Słońca z szyi Willuma, a jego śmiercią. - Prędzej czy później skonałbyś z upływu krwi, ale nie chcę, żebyś mi tu wszystko zapaskudził. Dobrze, teraz chodź!

Chwyciła go za nogi i ściągnęła na podłogę. Potem wzięta jego odcięte genitalia i wyszła z izby. Rozwiesiła je do suszenia na tyczce opartej o skalną ścianę wśród innych takich samych organów ludzkich i zwierzęcych.

Znak Słońca kołysał się na jej szyi, kiedy podnosiła rękę.

- Piękny koń - szepnęła i przeprowadziła wierzchowca Willuma w miejsce, gdzie trawa była bardziej bujna. - Będę miała jak pojechać na wschód.

Wróciła do domu i opróżniła sakiewkę Willuma. Wycięła jeszcze kilka innych organów z jego ciała do późniejszego użytku. Po tym wszystkim przeciągnęła zwłoki na krawędź skały i potężnym kopniakiem spuściła w dół do głębokiej rozpadliny, gdzie od dawna znajdowało się wiele trupów ludzi i zwierząt.

Nie wiedząc o tym, że dzięki znakowi Słońca ma niemal stuprocentową ochronę, wróciła na łóżko, by doprowadzić do końca sprawę, która, ten fajtłapa tak niefortunnie szybko przerwał.

- Gówniarz - mruzczała. - Uczniak, którego wystarczy dotknąć, żeby mu się robiło mokro! - Wściekła, że musi znowu zaspokajać się sama, szepnęła: - Czarnoksiężnik, co? Móri. Niebezpieczny. Zdolny. Piękny. I jeszcze piękniejszy syn, bardziej dla mnie odpowiedni wiekiem.

To akurat była gruba przesada, ale czarownica nie zadawała sobie trudu, by dokładnie policzyć. Zresztą uważała, że jest wiecznie młoda. Syn, którego nie można zdobyć? Głupstwo! Co też oni sobie wyobrażają? Cała rodzina, do której nie można się dostać? Cała rodzina mnie nie interesuje. Tylko ci dwaj, czarnoksiężnik i jego syn. I klejnoty...

Patrzyła w sufit.

Te kamienie będę miała. A czarnoksiężników? Pokonam ich z łatwością, to będzie tak proste, że aż nudne. Będę ich mieć w łóżku, jednego po drugim, potrzebuję tego. Muszą z nich być wspaniali kochankowie. I pomyśleć, jaki wkład oni obaj mogą wnieść do moich magicznych rytuałów! Ich organy sprawią, że wywar będzie wprost eksplozował!

A potem? Potem zażądam nagrody od rycerskiego zakonu. Mam przecież nazwiska i adresy...

To proste zadanie. Wszystko jak na tacy.

Ta myśl podnieciła ją jeszcze bardziej.

Niech to diabli, powinnam była zatrzymać jeszcze trochę tego rycerzyka! Na dłuższą metę to takie nudne dogadzać sobie na własną rękę. Ale on był okropny. Cholerny nudny baran! A wszyscy nadający się do czegokolwiek faceci ze wsi już od dawna leżą na dnie otchłani niedaleko mojego domu, zaś ich wyposażenie rozwieszane na tyczkach w tym przypadku jest, niestety, najzupełniej nieprzydatne.

Zachichotała z własnego żartu.

Czarnoksiężnicy! Muszę mieć tych czarnoksiężników! Zaczęła fantazjować na temat organów, jakie jej zdaniem musieli posiadać.

Milo też będzie wyjechać stąd na jakiś czas. Zobaczyć trochę świata. Dzięki temu idiotcie, rycerzowi, mam teraz pod dostatkiem pieniędzy. O, jak cudownie! Ooooch!

Opadła na posłanie i zanurzyli się w rozkoszy. Mimo wszystko jednak tęskniła do prawdziwego mężczyzny.

Czarnoksiężnicy...

4

Żeby Uriel nie stracił głowy z zachwytu nad swoim nowym ziemskim życiem, jego zwierzchnicy postanowili, że zachowa on pamięć jednego z poprzednich wcieleń. Zazwyczaj się tego nie robi, lecz jego przypadek uznano za wyjątkowy. Tak więc wchodząc w nową egzystencję nie został uwolniony od pamięci wszystkiego, co mu się przydarzyło przedtem.

W czasie swojego ostatniego pobytu na ziemi był on jednak aniołem stróżem Blitildy, więc minęło wiele czasu od tamtej pory, kiedy po raz ostatni był człowiekiem. Ponadto wcielenia jako Gustawy nie dało się, oczywiście, wykorzystać. Nie mógł też pamiętać egzystencji, która je poprzedzała, chodził bowiem wtedy po świecie jako obdarzony dobrym sercem, ale dość mało uzdolniony kowal.

Nie, zwierzchnicy Uriela uznali, że powinien on pamiętać tę swoją wspaniałą egzystencję, kiedy wyglądał tak samo jak obecnie. Nie był tylko tak anielsko piękny jak teraz. Ów niezwykły wygląd, który otrzymał w wyższych sferach, pozwolono mu zachować, lecz pamięć miała pochodzić z czasów, kiedy żył jako młody zakonny nowicjusz w pewnym szwedzkim klasztorze i poniósł męczeńską śmierć, gdy na klasztor napadli rozbójnicy. Taki wybór był praktyczny, bo mówił językiem, który rodzina Taran rozumiała. W klasztorze cystersów w Alvastra w trzynastym wieku studiował ponadto niemiecki i francuski. No i przede wszystkim łacinę, w której był: naprawdę dobry, o czym Taran mogła się wielokrotnie przekonać.

Ponieważ Uriel pamiętał tamto życie, nie potrzebował się uczyć nowych języków ani też nie stawał bezradny wobec najprostszych sytuacji. Miało to jednak również swoje niedogodności...

Już pierwszego ranka u Aurory pod Christianią zjawił się na śniadaniu ubrany jedynie w białą koszulę, którą mu służący przygotowali. Przewiązał ją tylko sznurem w talii, poza tym nie miał nic więcej. Bosy, z lekkim uśmiechem na wargach wkroczył do jadalni.

Na szczęście koszula sięgała mu do kolan.

Kłopotliwe było też to, że uporczywie przestrzegał pory modlitwy, a modlił się co najmniej pięć razy dziennie. Taran to męczyło, zdarzało się bowiem, że byli sami, mieli trochę czasu dla siebie, a on nagle padał na kolana i zaczynał klepać pacierze.

Bywało, że Taran wznosiła oczy ku górze i prosiła jego zwierzchników: „Czy nie moglibyście mu wybrać jakiegoś innego wcielenia na tej ziemi?”

Z drugiej jednak strony wydawało jej się zabawne, że oto uwodzi młodego mnicha, że doprowadza go do granicy szaleństwa i że on lada moment całkiem straci panowanie nad sobą. Jeszcze jej się to nie udało, ale sprawy były na najlepszej drodze. Przypadło jej też do gustu to, że Uriel chciał w niej widzieć ideał kobiety z pięknych średniowiecznych czasów, czyli czystą dziewicę. Opowiadała jej różne legendy o świętych, o cnotliwych, szlachetnych dziewicach, na których honor nastawiali pogańscy władcy, lecz które zawsze zdołał uratować jakiś pobożny chrześcijanin. Oczywiście ta nieustanna chęć bronienia jej czci i honoru bywała kłopotliwa, lecz też i zabawna mimo wszystko.

Akurat tutaj Taran prowadziła z nim niezbyt uczciwą grę, a wszystko tylko po to, by widzieć, jak „święty” Uriel bliski jest załamania. Nigdy dotychczas jej jeszcze nie uległ. Jedyne, co zdołała w tej sprawie osiągnąć, to jego drżąca ręka przesuwająca się po jej nodze, by sprawdzić, czy nie skaleczyła się w kolano. Nie skaleczyła się, oczywiście, ale cóż to szkodziło, żeby sprawdził?

Wtedy, jak i zresztą w wielu innych przypadkach, kiedy jej obecność stawała się dla niego zbyt trudna do zniesienia, zanurzał całe ciało w lodowatej wodzie, bo taki właśnie sposób na uspokojenie podnieconych zmysłów stosowano w jego klasztorze.

I wówczas na twarzy Taran można była zobaczyć uśmiezek zadowolenia.

W drodze do portu w Bergen nieoczekiwanie Uriel padł na kolana i zatopił się w modlitwie, choć nie była to wyznaczona pora.

Taran chwyciła go za kołnierz, próbując podnieść z klęczek, i z wielką cierpliwością tłumaczyła:

- Och, Uriel, to nie jest dzwon klasztorny, to gong wzywający robotników na posiłek.

Po czym cmoknęła go w policzek, żeby nie czuł się zakłopotany.

Kiedy weszli na pokład statku, który miał ich zawieźć do Antwerpii, Uriel uważnie obejrzał burty, a następnie zapytał:

- A gdzie są niewolnicy, którzy będą wiosłować? I gdzie są wiosła?

- Uriel, na Boga! - zawołała Taran. - Żyjemy teraz w cywilizowanym czasie. Teraz już nie ma na statkach galerników.

Taran go kochała, choć na początku nie było jej łatwo. Tak jak wtedy, kiedy pożyczyła sobie od ojca kilka magicznych run, żeby zaimponować, choć nie powiedziała tego głośno, Urielowi swoją czarodziejską sztuką. Nic jej się nie udało, ale Uriel był przestraszony.

- Taran, musisz być bardzo ostrożna! Tak się boję tych waszych run, naprawdę ty albo ktokolwiek z rodziny może zostać odkryty i spalony na stosie!

- Kochany Urielu, nikogo już się teraz nie pali na stosach za czary - rzekła Taran z anielską cierpliwością tak do niej niepodobną. - Nie zapominaj, że ryjemy w osiemnastym wieku! Jesteśmy wprost obrzydliwie nowocześni. Mamy łazienki z dwoma wannami, a w kuchni ogromne garnki, w których służące grzeją wodę, nosimy bury na wysokich obcasach, pudrujemy policzki, malujemy wargi, a nasze powozy są bardzo wygodne i mają oddzielne siedzenia dla stangreta... Tak, tak, wszystko to z czasem poznasz.

Uśmiechał się do niej zakłopotany.

Ale, oczywiście, kochała go! I właśnie dlatego skrywała najczęściej złośliwy uśmiezek, kiedy on zaczynał oceniać sprawy przez pryzmat swojego trzynastowiecznego doświadczenia. Za nic na świecie nie chciałaby go zranić.

Taran nie spuszczała z oczu Danielle. Niepokoiła się w imieniu swoich braci, ale przecież nie mogła tej malej, delikatnej istocie zabronić się kochać. Nikomu nie można zabronić uczuć!

Problem polegał tylko na tym, jak mała Danielle poradzi sobie z tymi uczuciami. Wszystko wskazywało na to, że chyba nie najlepiej.

Było oczywiste, że Villemann cierpi. W końcu Taran wściekła się na Danielle za to, że jest taka ślepa, i postanowiła przy najbliższej okazji zamienić z nią kilka poważnych słów.

Pierwsza możliwość nadarzyła się jeszcze na statku, lecz wtedy Taran nie była gotowa do rozmowy i zrezygnowała.

Teraz zbliżali się do Antwerpii, będącej ich celem. Obserwowali, jak statek mija fryzyjskie wysepki, widzieli, jak ciemne chmury zbierają się nad horyzontem, pokrywając niebo szarym ołowiem, przesłaniając słońce.

Morze natomiast stawało się coraz bardziej białe.

Uriel, Dolg i Taran stali przy relingu. Po chwili cichutko podeszła Danielle i zatrzymała się obok. Dolga. On uprzejmie zrobił jej miejsce.

- Zaczyna się sztorm - stwierdził.

- Na to wygląda - potwierdziła Taran.

Uriel, dygocząc z niepokoju, powiedział:

- Powinniśmy byli zaopatrzyć się w odpusty. Czy na pokładzie statku nie ma jakiegoś księdza?

- Na co nam odpusty? - zdziwiła się Taran.

Popatrzył na nią, zdumiony jak jego ukochana mało wie. Czy ona naprawdę nie pojmuje, jakie niebezpieczne życie prowadzi? Bardzo często Uriel się zastanawiał, czy ona wcale nie myśli o zbawieniu, skoro jest tak potwornie lekkomyślna i w ogóle nie przestrzega kościelnych nakazów.

- Musimy przecież w najważniejszych, chwilach mieć odpust za grzechy - rzekł z wyrzutem. - Sztorm na morzu, narodziny dziecka i wejście do miasta dotkniętego dżumą to są właśnie najgroźniejsze chwile.

- No, na szczęście nie będziemy potrzebować odpustu z powodu narodzin dziecka - odparła Taran cierpko. - Jeśli zaś chodzi o dżumę, to od kilkuset lat nie nawiedza już ona Europy. Natomiast sztorm... Mój przyjacielu, czyż nie wystarczy modlitwa? Zresztą sztorm jeszcze się na dobre nie rozpętał, a my już się zbliżamy do ładu Raz dwa będziemy w Antwerpii.

Uriel skinął głową i odszedł, by się, zgodnie z jej radą, zacząć modlić.

- Wspaniały chłopak - powiedział Dolg.

Niezwykły - potwierdziła. Taran, - Nie sądź jednak, że tego rodzaju religijne dialogi prowadzimy od rana do wieczora. Przeważnie rozmawiamy o bardzo interesujących sprawach, o życiu, a przede wszystkim o nas samych. Uriel to naprawdę wspaniały przyjaciel i towarzysz. Bardzo łatwo być z nim szczerym.

- Rozumiem. Ja też miałem taką przyjaciółkę na Islandii.

- Mówisz o Halli, prawda?

- Tak. To wyjątkowa kobieta. Bardzo mi brak jej towarzystwa. Myślę zresztą, że wszyscy też byście ją polubili. W oczach Danielle pojawił się lęk.

- Czy ty mówisz o tej starej kobiecie, Dolg?

Spojrzał na nią ze spokojem.

- Przyjaźń nie ma wieku, Danielle.

- Nie. Ale miłość ma - wyrwało jej się, zanim zdążyła się zastanowić.

- Miłość? - rzeki. Dolg z wolna. - Ja nie wiem, co to jest miłość. Kocham was wszystkich, ale ty pewnie nie taką miłość miałaś na myśli.

Jakie to bolesne i trudne, że w każdej sytuacji robi takie uniki! A ta kobieta na Islandii cieszyła się pewnie jego zaufaniem! Na myśl o tym Danielle czuła bolesny skurcz żołądka.

- Ona jest chyba rówieśnicą mojej mamy - powiedziała znowu cicho, jakby nie zdając sobie sprawy z tego, co mówi. Znowu powiedziała coś., czego nie powinna, ale słowa same wypływały jej na wargi;

Halla? Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. A zresztą, Jakie to ma znaczenie? była moją przyjaciółką. Mogłem rozmawiać z nią o wszystkim.

Danielle zebrała się na odwagę. Wbiła wzrok w swoje dłonie zaciśnięte na relingu.

Dolg... Ja też mogłabym być dla ciebie taką przyjaciółką - wyszeptła. - Jestem o wiele młodsza, potrafię cię lepiej zrozumieć niż jakaś stara kobieta. Chodzi mi o to, że... Ty i ja jesteśmy rówieśnikami. I ja też sporo wiem.

Dolg spojrzał na nią zupełnie nowymi oczyma, tak jej się przynajmniej zdawało.

- Dziękuję, Danielle, to mile z twojej strony. Chętnie z tobą porozmawiam.

Taran poczuła ukłucie w sercu, kiedy zobaczyła, jak na te słowa twarz dziewczyny pojaśniała, jakby się nad nią niebo otwarło. Nie rób jej nadziei, Dolg, pomyślała z goryczą. To nie jest najlepszy sposób traktowania Danielle.

To właśnie wtedy Taran powinna była wykorzystać okazję do powiedzenia kilku słów prawdy, wiedziała jednak, że jej brat Villemann stoi samotnie na dziobie pogrążony w

smutnych myślach. Zdecydowanym krokiem ruszyła w jego stronę, pozwalając, by Danielle nadal się wygłupiała, jak to Taran w duchu określiła.

I tak to rzeczywiście wyglądało. Z wyrzutami sumienia, że nie poświęcał dotychczas swojej przybranej „ciotce” zbyt wiele uwagi, Dolg starał się nawiązać szczerą rozmowę.

- Popatrz na fale, Danielle! Zawsze uważałem, że to fascynujące obserwować wzburzone morze.

- Tak - szepnęła onieśmielona i zamiast na morze patrzyła na niego.

On ręką wskazał na coraz wyższe bałwany.

- Może udałoby nam się pochwycić tamtą falę, o, tę najdalszą...

- Myślisz, że to możliwe?

Oczywiście, bo przecież to nie jest wciąż ta sama woda. Fale powstają i przepływają obok nas dzięki ruchowi pod powierzchnią morza. A jeśli się jeszcze przytrafi silny wiatr... jak dzisiaj... Możemy jednak założyć, że ta największa fala płynąca w naszym kierunku niesie w sobie wielką tęsknotę. Za rym, by dotrzeć do odległego brzegu...

- Tak?

- Zawsze obserwuję, czy fala wciąż żyje, kiedy dopływa do mnie, do brzegu lub do burty statku.

- Tak. Dolg, czy nie uważasz, że w tej sukni jest mi bardziej do twarzy niż w tej w żółte kwiaty?

- Jakiej w żółte kwiaty?

- W tej, którą miałam na sobie wczoraj, rzecz jasna! Czy ty naprawdę nigdy niczego nie zauważasz? Przecież nie można tak iść przez życie z klapkami na oczach. Taran uważa, że w tej jest mi...

- Patrz! Fala dotarła do statku! Och, ale cię opryskało! Ale przez całą drogę była to największa fala.

- O, Dolg, ty mnie wcale nie słuchasz! Jak w takim razie mogę być twoją przyjaciółką i zaufaną powiernicą?

- Przepraszam - uśmiechnął się z żalem. - Ale ojciec mnie wola. Porozmawiamy później.

Danielle patrzyła w ślad za nim. Rozczarowanie rozrastało się w jej sercu jak wielka, ciemna pustka.

Gdzie popełniła błąd? Przecież zwierzyła mu się. Pewnie dokładnie to samo musiała robić ta głupia baba na Islandii.

Dziewczyna popatrzyła na morze.

Fale. Co to on mówiło falach? Nie słuchała. Ale to z pewnością bez znaczenia.

O pierwszej fazie ich podróży przez kraje Europy Środkowej niewiele jest do powiedzenia. Wszystko odbywało się bezboleśnie aż do chwili, gdy znaleźli się w pobliżu granicy pomiędzy Rzeszą Niemiecką a Cesarstwem Austro-Węgierskim. Wtedy zaczęły się kłopoty.

Ponieważ stanowili liczną grupę jeźdźców i powozów, zawsze ktoś musiał jechać przodem, by przygotować wygodny nocleg w przyzwoitej gospodzie.

W takich razach książęcy tytuł Theresy był bardzo przydatny, wykorzystywali go też bez najmniejszych skrupułów.

Pewnego popołudnia to Dolg miał jechać przed wszystkimi w poszukiwaniu miejsca na nocleg.

- Pojadę z tobą - oznajmiła Danielle.

Dolg zmarszczył brwi, a Taran rozłościła się nie na żarty. Chwyliła Danielle za ramię i syknęła jej prosto do ucha:

- Nigdzie nie pojedziesz.

Wargi dziewczyny zaczęły drżeć, a oczy napęłniły się łzami.

- Czy nie pomyślałaś, że ktoś może na Dolga napaść?

- A ty czy nie pomyślałaś, że ktoś może napaść na ciebie? Jaką pomoc będzie z ciebie miał? Chodź ze mną, najwyższa pora, byś usłyszała kilka słów prawdy.

Przytrzymały nieco swoje konie i wkrótce obie znalazły się na końcu orszaku. Uriel oglądał się, jakby chciał zostać z nimi, lecz Taran dała mu znak ręką, że ma jechać dalej. Również Villemann rzucił dziewczętom przeciągłe, pełne ciekawości spojrzenia. Dolg natomiast bez słowa ruszył przed siebie i po chwili zniknął za zakrętem.

Taran obiecała sobie, że będzie zdecydowana i stanowcza. W ciągu ostatnich dni uważnie obserwowała swoich braci i Danielle. Za nic nie chciała dopuścić do

nieporozumień z powodu dziewczyny, nawet gdyby Danielle była jeszcze śliczniejsza i słodsza, i jeszcze lepsza.

Sama Taran przez cały czas walczyła z tą erotycznie naładowaną atmosferą, jaka narastała pomiędzy nią a Urielem. Uważała teraz, że ma wystarczająco dużo własnych kłopotów, i denerwowała ją Danielle, w której sprawy, chcąc nie chcąc, musiała się wtrącić.

Sytuacja dojrzała jednak do interwencji. Z Villemanna wkrótce zostanie już tylko cień, nerwy Danielle zdawały się być w strzępach.

- Kochana Danielle - zaczęła Taran zdecydowanie. - Od dawna obserwuję twoje zauroczenie Dolgiem. Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że to bez sensu, że coś takiego nie ma po prostu przyszłości?

Danielle westchnęła tak, że serce się krajało.

- Ja wciąż próbuję być dla niego tylko dobrą przyjaciółką tak, jak ta kobieta z Islandii, ale on nigdy na mnie nie patrzy, nie słucha nawet, co mówię.

Orszak wjechał właśnie na wysokie wzgórze i widzieli teraz przed sobą małe południowoniemieckie wsie rozproszone wśród jesiennych, żółtoczzerwonych lasów. Pofalowany krajobraz rozciągał się aż do następnego łańcucha wysokich, szarzejących w oddali wzgórz. Dachy domów wyglądały w blasku słońca jak czerwone plamy.

Taran współczuła tej delikatnej dziewczynie. Cierpiała, że to ona musi ją dodatkowo ranić.

- Gdybyś chciała trochę stłumić swoje uwielbienie...

- Ale to takie trudne - jęknęła Danielle, a łzy spływały strumieniami po jej policzkach.

Dlaczego ja nigdy nie wyglądam tak ślicznie, kiedy płaczę, pomyślała Taran.

- Kocham go tak bardzo - szlochała Danielle.

- Wszyscy to widzimy - rzekła Taran oschle. - I, oczywiście, wiem, że nie odwzajemniona miłość sprawia ból. Ale jest coś, co rani jeszcze boleśniej, a mianowicie to, kiedy kocha nas ktoś, czyjej miłości nie oczekujemy, nie życzymy sobie.

Danielle spoglądała na nią wielkimi ze zdziwienia oczyma.

- Tego nie mogę zrozumieć. To przecież cudowne, być kochanym! Gdyby mnie tak ktoś kochał, to ja... Taran zacisnęła zęby.

- Takie uwielbienie może być bardzo dokuczliwe.

Choćby tylko dlatego, że nie można go odwzajemnić.

- Ale przecież ja nigdy Dolga nie dręczyłam! Nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham, ja tylko wciąż czekam i czekam, że on mnie odkryje, zwróci na mnie uwagę. Ubieram się wciąż w swoje najpiękniejsze suknie, czeszę włosy tak ładnie, jak tylko potrafię, dbam o siebie...

- Zawsze wyglądasz świeżutko i naprawdę miło na ciebie popatrzeć - mruknęła Taran, ale myślami była gdzie indziej.

- Naprawdę? Dziękuję ci - szepnęła Danielle. - Ale to wszystko na nic! Dla niego jestem jak powietrze. Co ja mam robić, Taran? Za nic nie chciałabym być dla Dolga ciężarem, ja pragnę tylko...

- Danielle, ja nie mówię o Dolgu, ja mówię o tobie!

Danielle otworzyła usta ze zdumienia, cisza zaległa taka, że słyhać było głosy ptaków w lesie i rozmowy w grupie jadącej przed nimi.

- O mnie? Nie rozumiem...

- Kiedy mówiłam, jaka to trudna sytuacja być kochanym, nie mogąc tego uczucia odwzajemnić, to miałam na myśli ciebie, Danielle.

Dziewczyna wciąż się w nią wpatrywała, nie pojmując ani słowa.

Taran wpadła w gniew.

- Czy ty naprawdę jesteś taka nieczuła, Danielle? Taka ślepa? Dziewczyno, ty spoza drzew nie widzisz lasu! Naprawdę nie zauważyłaś, że jesteś kochana ponad wszelkie wyobrażenie? Przez kogoś innego.

W dalszym ciągu najmniejszy nawet błysk zrozumienia nie pojawił się na ślicznej buzi Danielle.

- Kto zawsze jest do twoich usług? Kto zawsze robi wszystko przede wszystkim dla ciebie, zapominając o sobie samym?

Twarz Danielle wydłużyła się w wyrazie niedowierzania.

- Villemann?

- Tak, właśnie, Villemann! Mój drugi brat. Bardzo nie lubię patrzeć na to, jak mój ukochany brat bliźniak się męczy. On zasługuje na lepszy los, niż być podnóżkiem zapatrzonej w siebie panny, pozbawionej serca i rozsądku.

Tym razem Taran przesadziła, bo przecież w rzeczywistości Danielle była takim miłym nieśmiałym stworzeniem, że wprost sama się prosiła o to, by ją wykorzystywać. Ale człowiek nie może iść przez życie w końskich klapkach na oczach.

- Villemann? - powtórzyła Danielle matowym głosem. - Ale przecież Villemann to prawie mój brat!

- W takim razie Dolg również jest prawie twoim bratem. - Nie, ja... Och, nie, nie chcę tego więcej słuchać! Zatrzymała konia.

- Jedź dalej! Wracaj do tamtych! Ja Muszę zostać sama. Taran skinęła głową na znak, że rozumie, i ruszyła przed siebie.

Danielle była załamana. Czuła się strasznie. Przecież Villemann nie może być w niej zakochany, to okropne! Ale Taran ma rację, Villemann i Dolg są braćmi. Tylko że Dolg jest obcy, zarówno w rodzinie, jak i na tym świecie. On jest wspaniały, a Villemann to tylko towarzysz dziecięcych zabaw.

Och, nie chciała, żeby był w niej zakochany, to niemożliwe. Czy on nie może przestać, Danielle przecież nic do niego nie czuje, w każdym razie nic takiego... Jak ona teraz będzie mogła z nim rozmawiać?

Powoli docierało do nieszczęsnej dziewczyny, co Taran chciała jej powiedzieć. Naprawdę gorzej jest być kochanym i nie móc tej miłości odwzajemnić, niż, samemu nieszczęśliwie kochać.

W nieszczęśliwej miłości zawiera się jakaś bolesna słodycz. Niechciana miłość budzi poczucie winy, człowiekowi jest po prostu nieprzyjemnie.

No i w dodatku Villemann! Z którym zawsze tak znakomicie się rozumieli. Dlaczego właśnie jego musi ranić? Dlaczego rani go już od dawna? Prawda, że nieświadomie, ale to wcale sytuacji nie poprawia.

Z bolesnym skurczem serca Danielle pojmowała z wolna, co daremne zabiegi, by zwrócić na siebie uwagę Dolga, musiały wywoływać w duszy Villemanna. A jak przyjmował je Dolg?

Teraz już przecież wiedziała, co to znaczy być kochanym wbrew swojej woli.

Skuliła się w siodle i pojękiwała cichutko. Nie była w stanie płakać, czuła się nieszczęśliwa i zawstydzona.

Nie chcę nigdy więcej widzieć żadnego z nich, myślała. Boże, pozwól mi umrzeć! Spraw, bym zaraz teraz spadła z konia, w tym momencie.

Przestraszona wyprostowała się. Nie, no przecież mogłabym się zabić, uśmiechnęła się do siebie.

Na szczęście Danielle miała sporo poczucia humoru. To pomogło. Głośno przełknęła ślinę, pociągnęła lejce i wkrótce znalazła się w środku orszaku.

U Theresy i Erlinga otrzymała bardzo dobre wychowanie. Została też nauczona, że nie należy uciekać przed trudnymi sytuacjami, że zawsze trzeba chwytać byka za rogi.

Mimo wszystko czuła się okropnie.

5

Im bliżej granic Austrii znajdował się orszak Móriego, tym większa tęsknota za domem ogarniała rodzinę. Taran zwierzała się Urielowi:

- Pojęcia nie masz, jakim cudownym miejscem jest Theresenhof. Większość z nas jest Norwegami, ale w Austrii znaleźliśmy spokój i dom. I krajobraz, i mentalność ludzi bardzo nam odpowiadają. Jak to będzie wspaniale, móc ci pokazać nasz dwór i okolicę! Jestem pewna, że ty też polubisz Austrię.

- Myślę, że tak - potwierdził Uriel, nie spuszczać z ukochanej pełnego uległości spojrzenia. Poprzedniego wieczora zostali na chwilę sami w jej pokoju. I wtedy okazało się, że ich wzajemna tęsknota lada moment przerwie wszystkie tamy. Tym razem to Taran okazała więcej rozsądku i opanowania, zdołała się wyrwać z jego objęć, ale wiedziała, że naprawdę powinni jak najprędzej znaleźć jakiegoś księdza, który udzieli im ślubu.

Uriel też tak uważał. „Tak, coraz trudniej mi zachować zimną krew”, stwierdził. Potem uśmiechną się do niej z oddaniem, wyrozumiałością i bezgraniczną miłością.

O, jak dobrze Taran rozumiała teraz babcię Theresę, która dała się ponieść młodzieńczej namiętności. Zresztą, szczerze mówiąc, była jej za to wdzięczna. Gdyby bowiem Theresa tamtego dnia nie uległa, to przecież teraz nie byłoby Taran na świecie. I nie mogłaby kochać najwspanialszego upadłego anioła.

Tuż przy granicy austriackiej, ale jeszcze na terenach Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego, przytrafiło się coś, co nerwy wielu podróżnych wystawiło na poważną próbę.

Najpierw, po drodze do większego miasta, miało miejsce niewielkie intermezzo. Nieoczekiwanie spotkali stojącą nad rowem młodą kobietę, która usiłowała naprawić

koło swego powozu. Była całkiem sama, na to przynajmniej wyglądało, więc orszak Móriego zatrzymał się, by jej pomóc.

Nero węszył dookoła, kładł uszy po sobie i warczał groźnie.

- Cicho, piesku - uspokajał go Villemann. - Przecież widzisz, że pani potrzebuje naszej pomocy.

Trochę niepewnie przyglądał się swemu starszemu bratu, który posłał mu dziwne, jakby ostrzegawcze spojrzenie.

Co ten Dolg sobie myśli, zastanawiał się Villemann. Przecież nie zamierzam się zakochiwać w każdej spotkanej po drodze kobiecie.

Ale to nie on budził niepokój Dolga. To ta właśnie młoda dama.

Przyglądał się jej. Była to osoba fascynująca i chyba naprawdę jeszcze bardzo młoda, niewątpliwie pochodziła z lepszych sfer, lecz skromne ubranie wcale na to nie wskazywało. Miała krótko ostrzyżone, czarne, lśniąco włosy, fryzura przywodziła na myśl hełm. Zielonkawo oczy w kociej twarzy. Wygodny kostium podróży. Najwyraźniej podróżowała daleko.

Wyglądało na to, że jest głuchoniema, bowiem nie odzywała się słowem, a porozumiewała się z nimi jedynie za pomocą prostych gestów.

Młodzi mężczyźni bardzo chętnie zabrali się do pomocy, ona zaś uważnie obserwowała, jak pracują... Orszak był liczniejszy, niż się spodziewała; ludzie wyglądali na zamożnych i bogatych również pod względem duchowym. Nieprzyjemnie ją to zaskoczyło.

W ogóle pod wieloma względami była to bardzo interesująca grupa, każdy z jej członków zwracał uwagę czymś wyjątkowym. (Cholerna bestio, przestań się na mnie gapić! Jak jeszcze raz warkniesz, to poderżnę ci gardło!) A ilu przystojnych mężczyzn! Z każdym z nich mogłaby spędzić kilka dni i nocy, tacy byli urodziwi i pociągający.

Na przykład ten wysoki młodzieniec o blond włosach i wyglądzie zagubionego świętego. Nie odstępował na krok eleganckiej panny, w której wzroku czaiło się ostrzeżenie: „Nie zbliżaj się do mojej własności!” Mogłaby to być bardzo podniecająca sprawa, uwieść kawalera pannie z dobrego domu! Drugi jasnowłosy też niezły, taki chętny do pomocy. On to właściwie aż za łatwa zdobycz, już teraz je mi z ręki.

A tamten marzyciel o romantycznych oczach? Może chciałby zakosztować rozkoszy, wygląda na to, że bardzo by mu się to przydało. No i ten starszy pan, to zdaje się mąż księżnej pani. Też niczego sobie, ale nie ma na co tracić czasu.

O, tam, tam mamy naprawdę kogoś bardzo frapującego! Nietrudno rozpoznać czarnoksiężników! Tak, ich chcę mieć! Obu! Starszy nadal zachowuje wielki styl. I jakie piękne oczy! Najwspanialsze odkrycie to jednak ów młodszy czarnoksiężnik. Takiego mężczyzny maleńka L'Araignee jeszcze nie próbowała. Mmm, wysnę z niego wszystkie miłosne siły i wszystkie soki życiowe, a potem jego ciało będzie moją najprzedniejszą zdobyczą. Do czegoż to będzie można używać jego członków, w głowie mi się kręci na samą myśl... Oni obaj muszą być naładowani magią i czarodziejską mocą po brzegi. Młodszy jednak jest bardziej ponętny. I słodszy. Bardziej podniecający.

Chociaż nie podobają mi się te spojrzenia, jakie mi raz po raz posyła. Co one -wyrażają? Czyżby wstręt? To bardzo nieprzyjemne. Ale nic to, wkrótce owinę go sobie wokół małego palca.

- Jak to się stało? - zapytał starszy czarnoksiężnik. - Jakim sposobem znalazła się pani sama na wiejskiej drodze?

Jej niemiecki nie należał do najlepszych, ponieważ jednak mieszkała w pobliżu szwajcarskiej granicy, rozumiała, o co pyta. Odpowiedzieć jednak po niemiecku nie była w stanie. Udzieliła wyjaśnień na migi, ale za to w wielkim dramatycznym stylu. Machała rękami, pokazywała na palcach, rysowała w powietrzu figury. wykonywała zamaszyste gesty. Wszystko to oznaczała mniej więcej tyle, że była w podróży w towarzystwie liczego grona, że zostali napadnięci przez rozbójników. Tamtych pomordowano, ona sama została zgwałcona (gorące lzy, rozpaczliwe załamywanie rąk), a na dodatek do wszystkiego jej powóz został zniszczony i oto stoi tu sponiewierana i opuszczona.

Rodzina Móriego użalała się nad losem nieszczęsnej, proponowano młodej kobiecie, by wyruszyła dalej w ich towarzystwie i pod ich opieką, tego jednak Pajęczycza za nic by nie zrobiła, miała bowiem zbyt wiele magicznych przedmiotów-w swoim powozie. Wyjaśniła zatem, że podąża w przeciwnym kierunku, więc kiedy powóz naprawiono, pożegnała się i odjechała.

Kiedy i oni ruszyli dalej, []o1g, d1ugo się do nikogo nie odzywał.

W najbliższym: mieście poinformowano ich, że na granicy dwóch potężnych państw wybuchły zamieszki, co się tu zresztą zdarzało często. Sytuacja była bardzo groźna i nasi podróżni ,postanowili zaczekać w górskiej miejscowości, aż się trochę uspokoi.

Nie oni jedni zresztą. Wszystkie gospody były już przepełnione, w końcu jednak udało się znaleźć kilka wolnych pokoi i jakoś się w nich urządzili. Cztery panie, Theresa, Tiril, Taran i Danielle, dostały największe pomieszczenie, w którym znajdowały się aż dwa łóżka. Erling i Móri dzielili niewielki alkierzyk, do którego zabrali też Nera, czterech młodzi mężczyźni natomiast, Dolg, Villemann, Rafael i Uriel,

rozlokowali się w trzecim pokoju, gdzie jednak nie było łóżek, tylko jedna nędzna prycza. Trzech musiało więc spać na podłodze.

Trudno tu mówić o jakiegokolwiek wygodzie, ale lepsze to niż spać pod gołym niebem, zwłaszcza że pogoda zaczynała się psuć. Stangreci i służba musieli sobie znaleźć jakieś miejsca w stajniach. Theresa zawsze się bardzo o swoich ludzi troszczyła, tym razem jednak w żaden sposób nie mogła im pomóc.

- Mam nadzieję, że graniczna awantura wkrótce przycichnie - rzekł Erling, kiedy siedzieli w jadalni przy mało wykwintnym posiłku. Przy stole panował ścisk, w sali zgiełk głośnych rozmówi swąd przypalonego mięsa. - Chcę jak najprędzej wracać do domu, zobaczyć, jak tam tegoroczne urodzaje.

Nagle do izby wkroczyli żołnierze niemieckiego cesarza, rozejrzeli się po zebranych, po czym, przepychając się w tłoku, podeszli do stołu, gdzie siedziała Theresa z rodziną.

- Co się tu znowu dzieje? - zaniepokoił się Móri. - Czy ktoś na nas doniósł?

- Czy to księżna Theresa von Habsburg, siostra poprzedniego cesarza Austrii? - zapytał najwyższy ranga.

- Tak, to ja - potwierdziła niechętnie Theresa, bowiem katolicka wiara nie pozwalała jej kłaniać. Erling położył żonie dłoń na ramieniu, by dodać jej pewności siebie.

- Zmuszony jestem prosić, by wasza wysokość udała się z nami.

- Teraz? Dokąd? - zdziwiła się Theresa.

- Nasz komendant życzy sobie rozmawiać z waszą wysokością.

Księżna zachowała zimną krew.

- Jeśli chcecie mnie wziąć jako zakładniczkę, to muszę was rozczarować. Niczego dzięki mnie nie wskóracie, bowiem po śmierci mego brata nie mam już żadnych związków z cesarską rodziną. Dla nowego cesarza jestem persona non grata.

Dowódca przyglądał jej się z niedowierzaniem.

- Jestem niczym włos w zupie - dodała Theresa cierpko. - Nikt sobie nie życzy mojej obecności na dworze, mówiąc otwarcie.

- Komendant będzie decydował - odrzekł oficer. Rodzina spoglądała po sobie.

Dolg powiedział coś, co wszystkich zaskoczyło. Po norwesku, żeby Niemcy go nie zrozumieli.

- Idź z nimi, babciu. Tam będziesz bezpieczna. I nie wyjaśnił niczego więcej.
- Dobrze - zgodził się po chwili Erling. - I ja pójdę z tobą, Thereso.
- Znakomicie! - uradował się Dolg.
- My też pójdziemy! - zawołała Tiril' w imieniu swoim i Móriego.

Taran rozzłościła się nie na żarty.

- Nie możecie zabierać babci, przekłęci gówniarze! - krzyczała na żołnierzy. - Nie mieszajcie jej do waszej głupiej wojny!

Uspokój się, Taran - powiedział Dolg. - To najlepsze rozwiązanie. Babcia będzie tam miała dobrą opiekę. Nie mówiąc już nic więcej, dowódca ujął Theresę pod ramię. Ona wyniosłym gestem odtrąciła jego rękę i wyprostowana bez słowa ruszyła za nim. Kiedy większość młodych zerwała się z miejsc, by jej towarzyszyć, Erling ich zatrzymał.

- Nie, dzieci! Ktoś przecież musi pozostać na wolności. To prawda. Powinni zostać. Dolg zaś dodał szeptem:

- I ty również zostań z nami, ojczu. Wystarczy, jeśli Erling i mama pójdą z babcią. My będziemy ciebie potrzebować.

- Czy ty coś wiesz, mój chłopcze? - zapytał Móri cicho.

- Później ci powiem.

Nero spoglądał zdezorientowany na Dolga. Ten skinął głową.

- Idź z paniami, piesku. Opiekuj się nimi.

Gdy niewielki oddział wraz z trójką „więźniów” zniknął za drzwiami, Móri westchnął ciężko i poprosił: - No, Dolg, teraz nam powiedz, co to wszystko znaczy?

- Nie potrafię tego dokładnie wyjaśnić - zaczął jego nieziemsko urodziwy syn. - Ale człowiek miewa niekiedy takie błyskawiczne wizje.

- Owszem, znam to dobrze. Co takiego widziałeś?

- Że babci ani nikomu z nich nie grozi żadne niebezpieczeństwo, ale że my będziemy potrzebowali ciebie. Nic konkretnego, tylko przeczucie.

- Odnoszę się z największym respektem do twoich przeczuc, synu - powiedział Móri.
- W takim razie, cóż, pozostaje czekać, aż nasi bliscy wrócą.

Wszyscy zebrani widzieli jednak, że coś go poważnie niepokoi.

Dolg często miewał przeczucia, więc spoglądali na niego w nadziei, że da im jakąś odpowiedź. On jednak milczał.

- Czy wiesz chociaż, czego mamy się wystrzegać? - zapytał Rafael, który znał Dolga tak dobrze, jak tylko dwaj bracia znać się mogą. Tym bardziej że byli równolatkami. i wychowywali się przecież razem. Dolg to jedyny człowiek na ziemi, któremu marzycielski Rafael mógł się zwierzyć ze wszystkich swoich myśli.

- Nie wiem - odrzekł Dolg. - Naprawdę nie mam pojęcia, z której strony nam to niebezpieczeństwo zagraża. Jedno, co wiem, to że jest to coś ohydneho.

Po tym oświadczeniu przy stole na chwilę zaległa cisza.

- No, to w takim razie mogliśmy chyba wszyscy towarzyszyć babci! - zawołała nagle Taran. - Przy niej my też bylibyśmy bezpieczni.

Dolg potrząsnął głową.

- Chyba widziałas, że ten oficer powstrzymywał nas ruchem ręki, kiedy chcieliśmy z nimi iść. Nie pozwoliłby nam. Musieliśmy tu zostać i będziemy sobie musieli radzić, cokolwiek się stanie. Jest z nami ojciec, więc jeśli będziemy się trzymać razem, nic złego się nam nie przytrafi.

- Odesłałeś też Nera - zauważył Uriel cicho.

- Tak, bo czułem, że gdyby z nami został, to przede wszystkim on byłby narażony na niebezpieczeństwo.

Dolg milczał potem długo. Wpatrywał się w coś ciemnego, czego jego towarzysze nie mogli widzieć. Dostrzegali tylko strach na jego pięknej twarzy. Nie był w stanie określić, co go przeraża.

Ten sam wyraz dziwnego niepokoju pojawił się u niego już na wiejskiej drodze, kiedy spotkali tę młodą kobietę. Jakby jakaś dziwna mgła przesłaniała jego zmysły i jakby chciał ich wszystkich pozostawić na zewnątrz, z dala od zagrożenia. Ale to nie było tak. On chciał tylko za wszelką cenę odnaleźć źródło lęku.

On i Nero mieli tam na drodze to samo przeczucie. Zło. Czaiło się na nich zło. Nie będą mogli wrócić do domu tak szybko, jak chcieli.

Zatrzymywała ich nie tylko napięta sytuacja graniczna. Spotkanie na wiejskiej drodze?

Tak, było w tym coś podejrzanego, choć nie umiałby powiedzieć, co konkretnie.

Ale wyczuwał coś jeszcze. Rzeczywiste niebezpieczeństwo czaiło się tutaj, w miasteczku, i to go martwiło najbardziej.

Dalby wiele za to, by zabrać swoich bliskich, także tych troje, których teraz z nimi nie było, i jak najszybciej opuścić to zadżumione miasto.

Miał jednak wrażenie, że wszystko się przeciwko nim sprzysięgło. Jakby jakaś zła siła starała się ich za wszelką cenę zatrzymać w tym miejscu.

CZĘŚĆ DRUGA

ZMYSŁOWA GRA

6

Życie po rozdzieleniu się grupy nie było łatwe. Fakt, że mieszkali teraz nieco wygodniej, nie stanowił żadnej pociechy, nastrój wśród czekających w gospodzie panował przygnębiający.

Minął dzień. Theresa, Tiril i Erling nie wrócili. W rodzinie narastał niepokój i tęsknota za nieobecnymi.

Wieczorem drugiego dnia Uriel i Taran wyszli się przejść, bo czekanie w przepelnionej gospodzie działało im na nerwy. Móri i Dolg zgodzili się na krótki spacer, młodzi musieli tylko obiecać, że będą bardzo ostrożni, by nie prowokować nikogo tutaj, w tym wrogim Austrii kraju.

Trzymając się za ręce opuścili hałaśliwe miasto, przeszli przez most i skierowali się ku wzgórzom za rzeką. Tam powietrze było świeże i czyste, a krajobraz mienił się pięknymi barwami wczesnej jesieni.

- To idiotyczne, że musimy tu siedzieć jak w pułapce - prychnęła Taran zniecierpliwiona, kopiąc gniewnie leżące na ścieżce szyszki, jakby na nich chciała wyładować swoją irytację. - Już byśmy byli w domu. Albo prawie. W każdym razie na terenie Austrii, gdzie nikomu z nas nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo.

Uriel ułożył z powrotem szyszki na drodze i powiedział łagodnym jak zawsze głosem:

- Czy nie moglibyśmy się jakoś przedostać przez granicę? Na przykład w górach?

- Mówi się, że granice są bardzo dobrze strzeżone przez żołnierzy. Wiesz, otwarta wojna jeszcze nie wybuchła, po prostu panuje wielkie napięcie, jak zresztą wielokrotnie przedtem. Ojciec liczy na to, że jak tylko się trochę uspokoi, będziemy mogli jechać.

Uriel kiwał głową. Od czasu, kiedy poprzednio żył na ziemi, wszystko stało się takie wielkie. W tamtych czasach małe państewka wasalne, księstwa i prowincje czy po prostu niewielkie dzielnice też ciągle ze sobą walczyły. Na przykład Sankt Gallen i Toskania, Burgundia i Lombardia, Bawaria i jej sąsiedzi, ale to były lokalne zamieszki. Teraz niemal każda awantura graniczna przemienia się w prawdziwą wojnę pomiędzy wielkimi państwami, jak Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego i Austro-Węgry, z których każde miało swego cesarza. To naprawdę niedobrze, ludziom przewracało się w głowach, każdy chciałby posiadać wszystko, myślał głęboko zasmucony. Powoli wspinali się na wzgórze, z którego rozciągał się widok na miasto. Akurat teraz było cicho i spokojnie. Słyszeli głosy i śmiech dzieci na ulicach, widzieli, jak powiewa na wietrze pranie wywieszane na sznurach w

ogrodach, a nad tą miejską idyllą wznosiło się lazururowe niebo z niewielkimi białymi obłoczkami. Z tyłu za nimi jesienny las płonął barwami od jasnego złota po ciemną miedź. Liście drzew mieniły się ognicie na tle niebieskawej zieleni sosen. Wspaniały widok. A przy tym ciepło jak na tę porę roku panowała niezwykle.

Uriel przy stanął.

- Nadchodzi wieczór. Taran, czyś ty zauważyła kiedy różnicę pomiędzy zmierzchem a rozświtem?

Ona również się zatrzymała. W ciągu tych spędzonych razem ostatnich tygodni nauczyła się podążać za jego sposobem myślenia. Wiedziała więc, że to pytanie nie jest takie niemądre, na jakie wygląda.

- Pod jakim względem? - zapytała.

- Chodzi mi o to, że wschód słońca, to wschód słońca, a zachód wcale nie jest do niego podobny. I że to się wie. Jeśli spałaś, a potem otworzysz oczy i zobaczysz słońce nad horyzontem, to wiesz, w którą stronę ono zmierza, czy dopiero co weszło, czy zniża się ku zachodowi. Ale teraz mam na myśli raczej nastrój, dźwięki, jakie się słyszy. Powiedzmy, że obudziłaś się na dworze.

- Moja rodzina robiła to wielokrotnie - wtrąciła Taran.

- Powiedzmy, że nie otworzyłaś jeszcze oczu. Czy mimo to mogłabyś powiedzieć, czy jest wieczór, czy poranek? Zastanawiała się przez chwilę. Na próbę zamknęła oczy.

- O, tak. Mówiłeś o dźwiękach. Rzeczywiście jest znaczna różnica pomiędzy rankiem i wieczorem.

- Prawda? - zawołał z przejęciem. - Mogłabyś to opisać? Taran była dumna, że udało jej się powiedzieć coś inteligentnego.

- O świcie wyczuwa się przeogromną, powiedziałabym, dzwoniącą pustkę. Panuje pełna swoboda. Powietrze jest takie czyste i... w jakiś sposób wypoczęte. Czuje się też wilgoć, również w powietrzu. Poranna rosa. Tak, różnica jest ogromna.

- No właśnie, bo wieczór odbiera się jako coś w rodzaju pełni. Wieczór obciążony jest dźwiękami i wydarzeniami dnia.

- Tak jest, noc wydaje się oczyszczeniem dnia - powiedziała Taran, kiwając głową. - Ziemia, podobnie jak ludzie, potrzebuje snu. Ale ja nigdy w ten sposób nie myślałam, Urielu.

Ruszyli dalej przed siebie. Uriel położył rękę na jej barkach. Byli sobie teraz tacy bliscy, dwoje dzieci człowieczych z różnych epok.

Tak nam razem dobrze, myślała Taran. Wszystko, co dzieje się między nami, cechuje spokój i łagodność. Gdyby tylko nie ta fizyczna tęsknota, która nas zżera... W jakimś sensie nasza bliskość stanowi też jakby mur między nami, choć to brzmi paradoksalnie. Gdybyśmy się mogli zbliżyć do siebie również erotycznie, zdołalibyśmy pewnie wyrównać to, co nas od siebie odróżnia, i wszystko byłoby wspaniale.

Uśmiechnęła się sama do siebie. Ale i to jest bardzo piękne. Zdziwienie. Oczekiwanie. To cudowne, a przy tym jakby dzikie oszołomienie...

Wspaniale, że możemy się razem śmiać. Myślę, że radość i poczucie humoru są bardzo ważne w miłości. Także dla najbardziej intymnej bliskości.

Jakież on piękny, ten mój Uriel. Silny, opiekuńczy, czuły, dający poczucie bezpieczeństwa. Prawdziwy anioł stróż w moim szalonym życiu. A zarazem wzruszająco obcy-i zabłąkany w naszej epoce. Ja czasami byłam prawdziwym łobuzakiem, a on mnie odmienił. Wszyscy to mówią. Teraz stałam się troszkę łagodniejsza. - Taran szła pogrążona w zadumie. - Bo nie sądzę, bym była przesadnie sympatyczna, jeszcze nie.

Zaczęła się zastanawiać, jakie byłoby jej życie, gdyby nie spotkała Uriela.

Z dreszczem grozy musiała przyznać, że może w ogóle by jej nie byli). I miała na myśli nie tylko niebezpieczeństwo, jakie groziło jej ze strony Sigiliona czy rycerskiego zakonu. Chodziło o jej własne nastawienie do, życia.

Prędzej czy później uświadomiłaby sobie, jak bardzo jest samotna. mimo że miała liczną rodzinę. Dusza może być mimo to samotna. 1 chociaż ona nie należała do ludzi popełniających samobójstwo, to przecież ta świadomość pogrążyłaby ją na pewno niczym wielka fala.

Nie zdając sobie z tego sprawy, uścisnęła dłoń Uriela spoczywającą na jej ramieniu. Mocno, bardzo mocno w niemal desperackim lęku, że mógłby ją opuścić.

Wspięli się na szczyt wzgórza i stali na skraju lasu, wpatrzeni w pofałdowany krajobraz otaczający miasto. Las za nimi był bardzo gęsty.

- Czy pamiętasz, Taran - rzekł Uriel z uśmiechem. - Czy pamiętasz, że pierwsze nasze prawdziwe spotkanie odbyło się właśnie w lesie?

- Oczywiście - odpowiedziała mu uśmiechem. - Czy myślisz, że potrafiłabym o tym zapomnieć? Nie mogłam cię wtedy widzieć, ale wiedziałam, że tam jesteś. Kapałam

się nago, żeby cię sprowokować. I omal się nie utopiłam. A ty mnie uratowałeś, Urielu!

Mój Boże, pomyślała Taran. Czego ja chcę od tego cudownego anioła? Chciałabym zachować go czystym i nietkniętym, takim, jakim jest. A jednocześnie pragnę, by się ze mną kochał, co oczywiście unicestwi jego bajeczną czystość.

Nie, to głupie określenie. Nie czystość, bo przecież człowiek nie staje się zbrukany z powodu ziemskiej miłości. Tak myślą jedynie religijni fanatycy. Ale niewinność utraci. To, co jest w nim najpiękniejsze.

O, gdybyż tak na wieki mógł pozostać taki, jaki jest teraz. Niestety, życie, świat, a pewnie też i ja sama, odciśniemy na nim swoje piętno.

Na szczęście będzie się to odbywało stopniowo, może nawet niezauważalnie.

Poza tym oboje będziemy dojrzewać. i może wszystko ułoży się dobrze.

Minęło sporo czasu, nim zauważyła, że Uriel wciąż wspomina tamten dzień, kiedy się topiła, a on ją uratował.

- Tak, tak - mówił. - Taki byłem wtedy zmęczony, że utraciłem wiele z mojej nadprzyrodzonej siły i dzięki temu mogłaś mnie zobaczyć.

- Leżałeś na trawie - przytaknęła. - Wyłoniłeś się z nicości. A ja zachowywałam się okropnie.

Oboje zachichotali skrępowani wspomnieniem tamtych wydarzeń.

Owszem, rzeczywiście, zachowywałaś się paskudnie - śmiał się Uriel. - W całym moim życiu nie doznałem takiego szoku.

- W którym życiu? - spytała zaczepnie. - Umierałeś przecież wielokrotnie. Ale ja tak strasznie chciałam zobaczyć, jak też jest zbudowany anioł. Więc kiedy, spałeś..

- To naprawdę okropne, co zrobiłaś - rzeki Uriel. - Jak ty mogłaś wsunąć rękę pod moją koszulę? Ale na szczęście w porę się obudziłem.

- Naprawdę?

Uriel aż podskoczył.

- A co ty sobie wyobrażasz? Sięgnęłaś dłonią ledwo odrobinę nad kolano

Tak, ale zdążyłam zobaczyć!

- Zobaczyć? Co takiego?

- Nie bądź niemądry, Urielu! Rżaleś na piecach w tej cieniutkiej koszuli. I dobrze widziałam, że moja bliskość nie pozostała bez wpływu na ciebie. Nie, nic uciekaj ode mnie tak jak wtedy! Przypomnij sobie, kto wtedy się pojawił!

- Sigilion! - wykrzyknął przystając. - Tak, to było naprawdę straszne! Teraz jednak nie przyjdzie.

- Nie. Ale ty mimo wszystko uciekasz?

- Nie uciekam. Lecz żywię dla ciebie wielki respekt, moja kochana, poza tyra nic zapominaj., że byłem niegdyś prawie aniołem, a w życiu, które teraz pamiętam, mnichem.

- Prawie mnichem. 'Tak, wiem. To bardzo podnosi twoją atrakcyjność, w moich oczach.

Uriel westchnął.

- Życzyłbym sobie, żebyś z tego nie żartowała! Dla mnie kobieta jest nietykalna. Poza tym zostałem wychowany w cnocie, a to niełatwo w człowieku wykorzenić. Taran, kochanie, czy ty nie rozumiesz, że jesteś dla mnie jak święta?

O, do licha, pomyślała, ale nie powiedziała nic.

Położył ręce na jej ramionach, a ona odwróciła się tak, by mógł objąć jej plecy. Przytulał ją lekko, leciuteńko, czuła ciepło jego rąk, choć dotykał jej tak delikatnie. I właśnie ten dotyk, jak piórka, najbardziej ją podniecał.

- Taran, moja najdroższa - powiedział cicho, a ona spojrzała w jego jasne, niebieskie oczy o czystym, niewinnym spojrzeniu tak dla niego charakterystycznym. - Czy ty nie rozumiesz, jak bardzo cię kocham? Twoje ciało jest dla mnie niczym świątynia...

Drzwi są otwarte, chciała szepnąć, wołała jednak posłuchać dalszego ciągu.

W oddali rozległ się armatni strzał.

Boże, czyżby wojna zaczęła się na poważnie? Musimy jak najszybciej się stąd wynosić, ale przedtem trzeba wydostać mamę i babcię z wojskowej komendantury. I Nera, myślała Taran w popłochu, ale nie powiedziała nic, bo nie chciała przerywać uroczystych wyznań Uriela. Może zresztą on sądzi, że ten huk to grzmot? Czy istniały już armaty w czasach, kiedy on miał zamiar zostać mnichem? Chyba nie.

Jego usta znajdowały się kusząco blisko niej, Taran jednak nie chciała być tą stroną, która rozpoczyna pieszczoty. Nie tym razem. Wolałaby być uwodzoną, a nie tylko

wciąż się narzucać, co jest przecież bardzo niekobiece. Zawsze zresztą odgrywała teatr, teraz również, i tym razem była niewinną, nie reagującą na jego bliskość panienką z dobrego domu.

Uriel najwyraźniej uważał, że jest jej z tym do twarzy.

- Delikatne ruchy twoich dłoni są takie piękne - mruzczał. - Takie kobiece...

To powinien być słyszeć Villemann! Ileż to razy mówił, że Taran porusza się czasami jak parobek.

- Kiedy patrzę na twoje biodra kołyszące się pod cienką, wciąż jeszcze letnią sukienką, to czuję takie rozkoszne mrowienie pod skórą. Nie potrafię tego opisać.

Ale ja bardzo dobrze potrafię, myślała Taran wciąż milcząca, ze spuszczonej nieśmiało oczyma. Masz na mnie ochotę, kochany Urielu. 1 cudownie jest słuchać twoich słów. Mów dalej, mów, bardzo cię proszę`:

Unosiła wzrok, powolutku, w wystudiowany sposób. Z najniewinniejszą miną świata patrzyła na niego błagalnie. Uriel z drzeniem wciągał powietrze.

- Jesteś taka piękna - wyszeptał. - jesteś najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widziałem.

Proste słowa. Ale trafiły do serca, w oczach Taran pojawiły się łzy i cała jej gra nagle przestała mieć jakiegokolwiek znaczenie, rozplynęła się niczym mgła w gorącej fali wzruszenia.

- O, Uriel - szepnęła i zarzuciła mu ręce na szyję. On zastygł w bezruchu, a po chwili cofnął się o krok jakby przestraszony, że nie zdoła się opanować. Taran niczego nie zauważyła. - O, Uriel, jesteś taki delikatny i taki dobry, kocham cię tak, że brak mi słów! Kocham cię strasznie! Ty naprawdę zasługujesz na czystą, sympatyczną dziewczynę, która...

- Taran, co ty? - zapytał spłoszony, ujmując ją pod brodę. - Ty przecież jesteś czystą, sympatyczną dziewczyną! Ty sobie tylko wyobrażasz, że jesteś trochę zepsuta. Nawet nie wiesz, jaka jesteś słodka, kiedy decydujesz się wymówić jakieś brzydkie słowo czy też kiedy się gniewasz na głupich ludzi.

Słodka? Nigdy by nie przypuszczała, że usłyszy takie słowo. Ale usłyszała.

Taran wzdychała rozkosznie bliska uniesienia.

Uriel zaczynał mieć kłopoty. Jej delikatne ciało w cieniutkiej muślinowej sukience, rozgrzane w ten nieoczekiwanie ciepły dzień, było tak blisko. miał jej do powiedzenia wiele pięknych słów, ale teraz utkwili mu w gardle i oddychał z trudem.

- Mów jeszcze - szepnęła.

Policzek Taran przytulał się do jego twarzy, jej włosy łaskotały go po czole.

Zachichotała.

- Kłujesz, Urielu. Masz zarost.

- Wiesz, mieszkamy w dosyć prymitywnych warunkach - odpowiedział ze śmiechem.

- Złości cię to?

- Nie, wprost przeciwnie. To wywołuje w całym moim ciele cudowne dreszcze.

Odsunął się odrobinę w tył.

- Nie chciałbym cię dotknąć, Taran - rzekł, choć jego ręce robiły coś dokładnie odwrotnego. Pieściły jej ramiona i po kryjomu zakradały się pod bluzkę.

Taran drżała i uśmiechała się błogo.

- Nigdy nikomu nie pozwoliłam robić czegoś takiego - szepnęła. - Uriel, zdaje mi się, że powinniśmy przerwać tę zabawę.

- Tak - potwierdził ochryple, ale nie zakończył pieszczot, choć najwyraźniej się starał.

- O, to niezwykle wzdychała Taran, gdy palce Uriela dotknęły jej piersi. Nie, nie cofaj ręki!

Delikatnie położyła dłoń na jego płaskim brzuchu i Uriel jęknął.

- Taran, ja nie mogę...

Dziewczyna szeptała gorączkowo:

- Kochany, nie powinniśmy tego robić. Nie wolno nam przekraczać granic, obiecałam to babci, a takie obietnice są święte.

- Tak jest, absolutnie.

- Ale troszkę możemy chyba oszukać?

Popatrzył na nią pytająco, widziała, jak bardzo jest wzruszony, nie miała wątpliwości, że i ciało, i dusza Uriela znajdują się już po drugiej stronie wyznaczonej granicy.

Podjęli niebezpieczną grę, ale przecież oboje byli tacy niedoświadczeni, a przy tym tacy ciekawi, i byli wolni, mieli do siebie należeć już do końca życia, komuż więc

sprawiliby przykrość, gdyby mimo wszystko nie dotrzymali obietnicy i ulegli swoim pragnieniom?

Żadne z nich nie miało pojęcia, na jaki niebezpieczny teren wkroczyli. Jak trudno im teraz będzie dotrzymać złożonych przyrzeczeń.

Osunęli się na kolana. Rycerski Uriel rozesał na ziemi płaszcz, by Taran miała na czym usiąść. Na pół leżąc, odchyłona do tyłu oparła się na łokciach.

- Pieść mnie, Urielu, pieść tak, jak przed chwilą.

Ostrożnie rozpiął jej sukienkę. Poczul ból, gdy zobaczył, jaką Taran ma różową skórę, niczym najpiękniejsze róże w klasztorным ogrodzie. Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ucałował najpierw jedną, potem drugą jej pierś. Że Taran jest tym zachwycona, poznawał po jej rozkosznym uśmiechu i po tym, jak pełną garścią chwyciła jego włosy i mocno zacisnęła rękę.

- Zostaw mnie... - szepnęła jednak.

Uriel pozwolił dłoni dziewczyny przesuwac się badawczo pod jego koszulą. Znowu jej ręka spoczywała na jego płaskim brzuchu i powolutku, drżąc, zmierzała w dół.

Mój Boże, czy jej się naprawdę podoba to moje nędzne ciało, które w klasztorze biczowałem z taką siłą po to, by stać się dobrym człowiekiem?

Akurat teraz nie byłby w stanie wskazać żadnego związku pomiędzy samobiczowaniem się a dobrocią serca.

O, jej ręka zsunęła się już bardzo nisko! Nie powinna tego robić, nie powinna. Mimo to jego ciało poddawało się pieszczocie, przyjmowało pozycję ułatwiającą Taran dotarcie do celu.

Czuł na swojej piersi uderzenia jej serca. A może to jego serce tak bilo? Tak mocno, że każde uderzenie sprawiało mu ból.

Oboje wciąż znajdowali się w tym pięknym stadium wzajemnego zauroczenia, kiedy jeszcze nie jest się do końca pewnym uczuć drugiej strony. Kiedy szuka się odzewu z lękiem, że wydaje się samego siebie na łaskę ukochanej osoby, lecz także z gorącym pragnieniem, by tak właśnie postąpić, kiedy pragnie się tylko wiernego, zaufanego przyjaciela.

Ciałem Taran wstrząsały dreszcze tak silne, że ją to przestraszyło. Wiedziała, że oto wszelkie bariery zostały przekroczone i że ona niczego już nie kontroluje. Ostrożnie przesunęła palce jeszcze niżej i wtedy oboje zamarli ze zgrozy.

W lesie dały się słyszeć jakieś czyste, jasne głosy. Na wzgórze wspinała się gromadka dzieci.

Taran i Uriel zerwali się na równe nogi i pospiesznie porządkowali ubrania. Taran ze zdumieniem stwierdziła, że jest okropnie zdyszana, ale z Urielem wcale nie było lepiej.

- Uratowani w ostatniej sekundzie - rzekł ochryplym głosem. - Naprawdę czuwa nad nami jakiś anioł stróż!

Taran kiwała głową, niezdolna do wydobycia głosu, by mu odpowiedzieć.

- Tak, tak, bo ja sam nie byłbym już w stanie się powstrzymać.

- Ani ja - mruknęła zgnębiona.

Uśmiechnęli się do siebie promiennie, zgodni w ocenach. „Ty i ja. My”. Cudowne słowa dla osamotnionych dusz.

Uriel wziął ją za rękę i zaczęli zbiegać ze zbocza w dół, jak najdalej od głosów dzieci. Nie zauważeni przez nikogo wrócili do miasta, od strony, gdzie przedtem nie byli. Wyglądało zresztą na to, że w ogóle niewiele ludzi bywa w tej okolicy.

Musieli się przedzierać przez kolczaste zarośla tak, że w końcu, kiedy dotarli do brzegu, wyglądali dość strasznie. Rzeka oddzielała pustkowie od terenów zabudowanych.

- O Boże, jak my się przedostaniemy na drugą stronę? - jęknęła Taran.

Uriel uważnie badał wzrokiem okolicę.

- Obawiam się, że będziemy musieli przedzierać się przez zarośla aż do mostu, przez który szliśmy w tamtą stronę.

Przedzierać się, to było właściwe określenie. Na ziemi, wśród krzewów porastających brzeg, leżały całe zwałowiska kamieni. Bardziej otwarte odcinki były krótkie i trafiały się rzadko. Taran nie chciała narzekać, ale bardzo poważnie obawiała się o całość swojej sukni, w ogóle zbyt eleganckiej jak na spacer, ale włożyła ją, bo chciała zrobić wrażenie na Urielu. Teraz tego gorzko żałowała. Ostre krzewy już w kilku miejscach rozdarły delikatny materiał. Uriel bardzo nad tym ubolewał, ale nic przecież nie mógł poradzić.

Zabudowa po tamtej stronie rzeki zaczynała zmieniać charakter. Widzieli teraz tyły licznych bogatych domów ze schodzącymi aż do wody ogrodami, bardzo zadbanymi, w najmniejszym stopniu nie przypominającymi chaszczy, przez które tutaj brnęli.

Taran potykała się o kamienie. W dalszym ciągu nie widzieli mostu, znajdował się za zakolem rzeki. Dziewczyna przedzierała się przez gęstwinę jeżyn. Nic nie wskazywało na to, by mieszkańcy eleganckiego brzegu kiedykolwiek zachodzili na krańce swych ogrodów, bowiem nad samą wodą również one przemieniały się w gęste chaszczce.

- Co za obrzydlistwo - prychnęli Taran, kiedy mijali coś wstrętnego, wystającego z wody tuż przy brzegu.

Uriel stanął jak wryty, zrobił to tak gwałtownie, że Taran wpadła na niego. Odwrócił się ku niej błady jak ściana.

- Taran... W wodzie leży coś naprawdę potwornego. Nie patrz w tamtą stronę!

Ale to najbardziej, nierozsądne słowa, jakie można było powiedzieć dziewczynie takiej jak Taran. Oczywiście, spojrzała natychmiast.

- O, do licha - wykrztusiła. żałując, że go nie posłuchała.

Akurat w tym miejscu rzeka była wąska, a brzegi wysokie. Po przeciwległej stronie, na -wpół zanurzona w wodzie, leżała jakaś kobieta. Prąd rzeki poruszał jej suknię, martwe oczy w obrzmiałej twarzy wpatrywały się w niebo.

Biedaczka - uzalila się nad nią Taran. - Taka okropna, taka brzydka śmierć!

7

Spoglądali na ogród po tamtej stronie. Bardzo elegancki dom zdawał się zapewniać swoim mieszkańcom pełną ochronę przed zewnętrznym światem.

- Musimy ich zawiadomić - zdecydowała Taran.

- Tak. Sami nie mogą jej zobaczyć, wysoki brzeg zasłania widok. Chodź, biegniemy!

Z wielkim wysiłkiem, w ubłoconych butach dotarli w końcu do mostu i przeszli na drugą stronę.

- Dom jest biały z czerwonym dachem - powiedział Uriel. - Zdaje mi się, że przy ścianach rosną pnące róże.

- Zgadza się - potwierdziła Taran zdyszana, kiedy biegli ładną ulicą. Tutaj było cicho i elegancko, domy stały na rozległych posesjach, w otoczeniu ogrodów i parków, oddzielone od świata wysokimi parkanami.

- To tu! - zawołał Uriel po chwili.

Taran przystanęła i obejrzała swoje ubranie.

- Boże, jak ja wyglądam - jęknęła. - Nie mogę w tym stanie wejść do eleganckiego domu.

Nie mieli jednak czasu do stracenia. Prąd w każdej chwili mógł unieść zwłoki nieszczęsnej kobiety i pociągnąć je w dół rzeki.

Pomagali sobie nawzajem doprowadzić się do porządku, na ogół jednak z marnym skutkiem. Sukienka Taran była podarta, Uriel miał przemoczone buty, oboje byli ubłoceni. Co tam, nie warto się przejmować. Przyglądali włosy, poprawili jak mogli ubrania i poszli. Nie wybierali się przecież z niedzielną wizytą.

Dom trwał w ciszy. Nieco przestraszeni zapukali ostrożnie do drzwi.

Służący otworzył tak szybko, jakby z wnętrza domu widziano, że Taran i Uriel nadchodzą. Stojący, w drzwiach mężczyzna miał nieprzeniknioną, pełną godności minę.

Taran przeprosiła, że się narzucają, ale, że, niestety, muszą zawiadomić, iż w rzece., na tyłach ogrodu, leżą zwłoki kobiety.

Służący - spoglądał na nią surowo.

- Nie mamy z tym nic wspólnego - wycedził przez zęby. Próbował zamknąć drzwi, lecz stopa Taran była szybsza.

Chce pan powiedzieć, że to nie jest nikt: z tego domu? Z głębi domu dał się słyszeć głos starsze) kobiety:

- O co chodzi, Julius?

Służący wyjaśnił.

Jejmość wkroczyła do hallu. Wyglądała dokładnie tak, jak sobie wyobrazili na podstawie brzmienia jej głosu. Srebrnosiwe, wysoko upięte włosy, kwaśna jak po wypiciu octu mina.

- To hrabiowska siedziba, o niczym nie mamy pojęcia - oznajmiła lodowatym tonem.

- Owszem, to widać - powiedział Uriel, kiedy drzwi zatrzasnęły im się przed nosem. - Oni z pewnością mają rację. Przecież zwłoki mogły tu spłynąć nawet z bardzo daleka. Prąd w rzece jest wartki.

- Myślę, że rzeczywiście tak było - przytaknęła Taran. - Topielica ma jednak na sobie piękną suknię, tyle zdołałam zauważyć. Nie mogła więc zostać tu przywleczona z

daleka. Musimy się spieszyć, ciekawość weźmie górę nad poczuciem godności i Juliusz może w każdej chwili wyciągnąć trupa. Nie, zapomnij o tym ostatnim słowie, nie powinnam była tak powiedzieć o tej bezbronnej nieszczęśnicy.

Uriel skinął głową. Szli szybko, niekiedy podbiegali kawałek w dół ulicy, na której bawiło się w milczeniu kilkoro paradnie ubranych dzieci pod opieką nianieek.

Kolejny dom. Dużo sympatyczniejsza pokojówka. To samo pytanie, ale tutaj odpowiedź była inna.

- O Chryste Panie! Naprawdę tak źle się to dla niej skończyło? O, nieszczęsna kobieta! Nie, nie powinna była nigdy zabierać swoich...

Przestraszona dziewczyna zamilkła. Opanowała się i po chwili rzekła już znacznie spokojniej:

- To musi być pani kapitanowa von Blancke. Zniknęła parę dni temu.

- Gdzie mieszka mieszkała pani kapitanowa? - zapytał Uriel. - Musimy tam iść i poinformować o nieszczęściu.

Pokojówka wyszła z nimi aż do bramy i pokazała w górę ulicy.

- Widzicie ten dom z wieloma kominami na wielkim dachu? To tam.

Podziękowali za pomoc i pospieszyli we wskazanym kierunku.

- Może powinniśmy najpierw wezwać służby porządkowe? - zastanawiała się Taran. - Nie wiemy jednak, gdzie się one podczas tych niepokojów mogą znajdować, a poza tym myślę, że najważniejsze jest, by rodzina się o wszystkim dowiedziała możliwie szybko.

W tej eleganckiej posiadłości żadnych śladów wojny się nie widziało. Panowała tu jakaś ponura cisza, jakby coś złego czaiło się w ogrodach. Taran mimo woli zadrżała.

Uważam, że postąpiliśmy słusznie - uspokajał ją Uriel, który najwyraźniej nie miał żadnych złych przeczuć. - Zresztą dlaczego to my mielibyśmy wzywać władze z powodu nieszczęścia, które się przytrafiło jakiejś rodzinie?

- Masz rację. Oto i ten dom.

Otworzyli piękną kutą w żelazie furtkę i weszli do starannie utrzymanego ogrodu. Pracujący w nim miody chłopak przyglądał im się z zaciekawieniem, oni jednak uznali, że najpierw trzeba rozmawiać z gospodarzem.

Tym razem nie otworzył im żaden służący. W ogóle nikt nie podszedł do drzwi. Czekali, spoglądali na siebie niepewnie, aż nagle w głębi domu rozległy się jakieś głosy.

- Ktoś tam jednak jest - mruknął Uriel.

- Wygląda na to, że wszyscy są bardzo zajęci - odparła Taran zniecierpliwiona.

Uriel ponownie zastukał kołatką w kształcie lwiej głowy. Chłopiec z ogrodu wciąż im się przyglądał z dziwną miną.

Z okna parteru w prawym skrzydle domu rozległ się teraz wyraźnie zagniewany głos kobiety.

- Nie, zostaw mnie, muszę iść otworzyć!

Tymczasem za drzwiami dały się słyszeć ciężkie kroki.

- Gdzie przepadła cała służba w tym grzesznym domu? - zadudnił gniewny głos, - Czy naprawdę sam muszę otwierać drzwi?

Drzwi rozwarły się gwałtownie i głos ryknął jeszcze głośniej:

- No? O co chodzi?

W progu stał jakiś oficer. Bardziej po oficersku nikt by nie mógł wyglądać, pomyślała Taran. Mężczyzna był ogromny niczym dom, potężny i sapał ciężko, czerwony na twarzy, jakby mu zaraz miały popękać żyły. Ubrany w mundur, nosił zaczesane w górę wąsy i długie bokobrody, ciemne włosy ze śladami siwizny miał krótko ostrzyżone. Nabiegłe krwią niebieskie oczy wpatrywały się chłodno w przybyszów, kiedy jednak wzrok jego padł na Taran, złagodniał i ukłonił się z galanterią.

- Łaskawa pani... Proszę mi wybaczyć to niekonwencjonalne przyjęcie; służący wyszedł z domu załatwić pilną sprawę.

Wpuścił gości do wielkiego, ciemnego hallu. Zaraz też pojawiła się jakaś pokojówka z wypiekami na twarzy, wygładzając po drodze włosy i ubranie. W uchylonych drzwiach pokoju ukazały się dwie eleganckie damy i przyglądały się przybyłym z zaciekawieniem, a na szczycie schodów wiodących na piętro stała przestraszona młoda dziewczyna trzymając się kurczowo poręczy.

- Niestety, przynosimy niedobre wiadomości - zaczęła Taran, ale zaraz przerwał jej jakiś mężczyzna, który nadszedł z tej samej strony, co zarumieniona pokojówka.

Mężczyzna był również oficerem, choć wyglądał na znacznie młodszego. W jego ładnej i zdradzającej słabość charakteru twarzy czaiła się ironia. Dekadent, to

pierwsze słowo, jakie przyszło Taran do głowy na jego widok. Zwróciła uwagę na miny obu szlachetnych pań, kiedy go zobaczyły. Jedna wyrażała niechęć, druga natomiast wściekłą zazdrość. Spojrzenia, jakie między sobą wymieniły, też wiele mówiły. Taran wolałaby nie używać określenia „nienawiść”, raczej pełna podejrzliwości czujność.

Ponownie zwróciła się do starszego z mężczyzn.

- Bardzo nam przykro, że przychodzimy z takimi wiadomościami, ale w rzece za państwa ogrodem leży w wodzie topielica. Wydaje nam się, że znaleźliśmy pańską małżonkę, kapitanie von Blancke.

Ów rosy mężczyzna zrobił się, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej czerwony na twarzy i Taran całkiem poważnie się przestraszyła, czy mężczyzna nie eksploduje. Młodszy oficer wielokrotnie otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg. Obie damy z cichymi okrzykami przerażenia podeszły bliżej. Pokojówka uciekła z głośnym szlochem.

- Moją małżonkę? - ryknął potężny. - Ja moją małżonkę utraciłem wiele lat temu! Ona z pewnością nie ma z tym nic wspólnego, a poza tym, to mnie należy tytułować pułkownikiem. To jest kapitan von Blancke - wskazał obojętnym gestem młodszego. - Mój syn, niestety.

Najwyraźniej nie miał zbyt dobrego mniemania o swoim potomku, co zresztą Taran i Uriel potrafili zrozumieć.

Ręce i podbródek syna zaczęły drżeć.

- Służba... jej szuka - wyjąkał. - Czy mógłbym dostać szklaneczkę wina?

Po chwili pokojówka podała mu, o co prosił.

Podziękował jej dziwnym, jakby, kokietyjnym uśmiechem, który do nastroju chwili pasował wyjątkowo źle.

Zdaje się, że ten pan nie przepuści żadnej kobiecie, pomyślała Taran. Ale w obecności ojca wszystko leci mu z rąk.

- Pożegnamy już państwa - oznajmiła. - Możemy się jeszcze podjąć poinformowania prefekta o naszym odkryciu...

- Nie! - zawołali chórem wszyscy zebrani.

Ale świeżo owdowiały kapitan opanował się bardzo szybko.

- Naturalnie, bardzo prosimy! Przecież i tak ktoś musi to zrobić. Gdzie państwo mieszkają?

Taran wyjaśniła. Kiedy wspomniała, że jej babkę, księżną Theresę von Habsburg, zatrzymały władze i pozostali muszą na nią czekać w ciasnej i niewygodnej gospodzie, twarze gospodarzy rozbliły. Księżna? Ale dlaczego pani nie powiedziała tego wcześniej? Oczywiście, że państwo nie mogą mieszkać w przepelnionej gospodzie. U nas jest dość miejsca dla gości, prosimy sprowadzić się tutaj! Taran uprzedziła, że orszak księżnej jest liczny. Nic nie szkodzi, wszyscy się pomieszczą, zapraszamy uprzejmie.

Najbardziej nalegał młodszy von Blancke. Nie sprawiał wrażenia załamane go tak tragiczną śmiercią żony. Obie panie go popierały, pułkownik też mamrotał coś w rodzaju zaproszenia. Zdaje się, że syn potrzebował wokół siebie ludzi. Jedyne w towarzystwie czuje się dobrze.

Taran wahała się. Atmosfera tego domu nie robiła na niej najlepszego wrażenia. Spoglądała pytająco na Uriela, on jednak decyzję pozostawił jej.

Nie wiadomo, co sprawiło, że Taran się w końcu zdecydowała. Uprzejmie podziękowała w imieniu całej swojej rodziny i obiecała, że przeniosą się do domu pułkownika jeszcze dzisiaj wieczora.

Niepewnym głosem dodała jeszcze:

- A to dziecko, które widziałam na schodach? Czy to pańska córka, kapitanie?

- Córka? Ach, tak, to Wirginia. Tak, to moja córka. Może powinienem... Dziecko straciło przecież matkę...

- Tak też uważam - rzekła Taran, próbując ukryć irytację. - Ona teraz pana potrzebuje.

Kapitan ruszył schodami na górę, a obie panie pospieszyły za nim.

Taran i Uriel zamienili jeszcze kilka słów ze starszym von Blancke, po czym opuścili dom.

Dostali adres domu prefekta i najpierw wstąpili tam. Prefekt obiecał zająć się zmarłą.

W drodze do gospody Uriel westchnął:

- Dlaczego tak postanowiłaś, Taran? Dlaczego przyjęłaś zaproszenie? Ten dom mi się nie podoba.

- Mnie też nie. Ale chciałam po prostu sprowadzić tu tatę i Dolga. A poza tym to dziecko, którym nikt się nie przejmuje...

- Rozumiem.

Uśmiechnął się z czułością.

Zawsze jestem bardzo wzruszony twoim dobrym sercem, Taran. Można by sądzić, że jesteś oschłą, wyzbytą sentymentów dziewczyną, ale wiem, jak jest naprawdę. Masz rację, w oczach tej biednej malej widziałem strach i błaganie o pomoc. Musimy zbadać, co się za tym kryje. Żeby tylko te sprawy nie zatrzymały nas tu zbyt długo.

- Pojedziemy dalej, jak tylko granica zostanie znowu otwarta. A teraz sprowadzimy tatę i Dolga do tego tajemniczego domu, chciałabym, żeby oni wszystko obejrzeni.

Ale Taran nie mogła zabrać ojca. Okazało się, że również Móri został wezwany przez władze. Nikt nie wiedział, dlaczego, ale oznaczało to, że z gościny u państwa von Blancke skorzysta tylko sześcioro młodych. Dali Móriemu adres, zanim się pożegnał.

On zaś długo stał, niepewny, i przyglądał się młodym, zwłaszcza Taran i Urielowi.

- O co chodzi, tato? - zapytała Taran.

Móri westchnął.

- Rzecz jasna bardzo pragnę zobaczyć Tiril, babcię i Erlinga, ale w żaden sposób nie mogę zrozumieć, dlaczego komendant mnie wzywa. 1 wcale mnie to nie cieszy, Taran. To oczywiście dobrze, że chcesz pomóc nieszczęśliwemu dziecku, nasza rodzina zawsze tak postępuje, ale nic w tej sprawie nie jest takie, jak powinno. szczególnie niepokoję się o ciebie i Uriela. Nazywaj to intuicją, czy jak chcesz. Dotykaliście może czegoś w tym domu, czego nie powinniście ruszać?

- Nie zrobiliśmy nic poza tym, że przypadkiem natknęliśmy się na zaginioną, żonę kapitana. Nie wygląda. zresztą, by to wywarło większe wrażenie na kimś poza córeczką zmarłej.

Móri kiwał zamysłony głową, po czym powtórzył jeszcze wszystkie ostrzeżenia i napomnienia, że powinni być ostrożni, i niechętnie opuścił młodych.

- Oni zaś, zagubieni, długo stali w pokoju chłopców.

Villemann powiedział to samo co Uriel:

- Dlaczego przyjęłaś zaproszenie, Taran? Co powinniśmy teraz zrobić? I dlaczego mamy tracić czas na cudze sprawy?

Dolg jednak się z nim nie zgadzał.

- To w żadnym razie nie jest strata czasu, wprost przeciwnie! Niebezpieczeństwo czai się również w tej gospodzie. Wczoraj wieczorem ktoś tu przybył. Nie wiem kto, słyszałem tylko hałasy, ale poczułem się bardzo nieprzyjemnie. Myślę, że dobrze będzie stąd zniknąć na jakiś czas.

- Zakon rycerski? - zapytał Rafael cicho.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że powinniśmy się zachowywać bezgłośnie. I słuchać władz tak, jak to czynią nasi rodzice, jesteśmy bowiem we wrogim kraju, wiecie przecież. Poza tym tak jak powiedziałem: Zarówno tata, jak i ja mamy złe przecucie. Przecucie, że wszędzie czai się niebezpieczeństwo.

Spoglądali na niego, kuląc się z lękiem. Kiedy Móri czy Dolg są niespokojni, to z pewnością istnieją powody, żeby się bać. A tym razem niepokoją się obaj jednocześnie.

- A propos nieprzyjemnych przecuć - wtrąciła Taran.

- Obawiam się, że w domu pułkownika nie będzie lepiej. Dolg spojrział na nią pytająco.

- Zaczekaj, to sam zobaczysz - skwitowała Taran.

- W tej szlachetnej rodzinie von Blancke jest coś, co mi się bardzo nie podoba, jakieś szaleństwo, choć to, oczywiście, z nami nie ma nic wspólnego.

Taran była chyba jednak zbyt wielką optymistką. Na razie rzeczywiście są osobami postronnymi, czy to jednak mądrze przeprowadzać się do tego domu? To tak, jakby się przenieść z deszczu pod rynnę.

Kiedy w godzinę później stali gotowi do drogi, a wszystkie rzeczy zostały starannie zapakowane, nadal nie mieli wielkiego pojęcia, co może im grozić. Mrok już zapadł, ulice patrolowali żołnierze, którzy co parę minut składali głośnie raporty swoim zwierzchnikom. „Wybiła godzina ósma i wszędzie panuje spokój. Nigdzie nie widać wroga!”

Już mieli wyruszyć, gdy przyszedł prefekt, rzeczowy mężczyzna, niepozbawiony rozsądku, którego awantury graniczne lokalnych książąt specjalnie nie martwiły, i poprosił o rozmowę z „Fraulein Taran”.

Przyjęli go wszyscy razem w pokoju dziewcząt.

- Pragnę z państwem przedyskutować pewną sprawę oznajmił tajemniczo. - Nie chciałbym jednak składać na barki państwa takiej odpowiedzialności... Zrozumiałem

mianowicie, że wszyscy państwo zamierzają spędzić kilka najbliższych dni w domu kapitana von Blancke?

- Zgadza się - potwierdził Dolg, który zawsze, kiedy byli razem, przejmował rolę przywódcy, co zresztą wszyscy uznawali za rzecz najzupełniej naturalną.

Prefekt miał trudności z określeniem, kim Dolg jest w tej grupie i w ogóle kim jest w życiu, ale jako człowiek kulturalny starał się nie zwracać na to uwagi.

- Znakomicie - ucieszył się. - Czy byliby państwo skłonni przeprowadzić dla mnie kilka dyskretnych obserwacji? Dyskrecja jest bardzo ważna, chodzi o to, by nikomu nie stało się z tego powodu nic złego. Nigdy bym sobie nie darował, gdyby coś...

- Proszę powiedzieć, o co chodzi - rzekł Dolg.

- Oczywiście. Widzicie państwo, zmarła kobieta jest rzeczywiście żoną kapitana von Blancke. Zresztą nie, najlepiej będzie, jeśli państwo o niczym się nie dowiedzą.

Teraz rozbudził pan naszą ciekawość - wtrącił Villemann. - Widzi pan, my jesteśmy doświadczeni, jeśli chodzi o niebezpieczeństwa. I na ogół dajemy sobie dobrze radę, cała szóstka. Ale może tu nie chodzi o zagrożenia?

- Nie wiem, możliwe, że nie. Ale potrzebna mi jest państwa pomoc, wszyscy państwo wyglądają na rzeczowych i rozumnych ludzi. Tak, no więc na ciele zmarłej odkryliśmy coś bardzo dziwnego. Ślady sznura na szyi. Sznura nie ma, ale nie ulega wątpliwości, że go użyto! Żona kapitana nie utonąła. Musiała zostać uduszona, a potem wrzucona do rzeki.

- O mój Boże! - jęknęła Taran.

Uriel wahał się.

- Czy w tej sytuacji możemy narażać Taran i Danielle na niebezpieczeństwo? Może one powinny zostać w gospodzie, a tylko my czterej, Dolg, Villemann, Rafael i ja, przeniesiemy się do kapitana?

- A co my będziemy tu same robić? - zapytała Taran.

- Kto się tu nami zaopiekuje?

- Nie, nie - poparł ją Dolg. - To jeszcze gorzej. - Ja też nie mógłbym się zgodzić na takie rozwiązanie

- rzekł prefekt. - Będę przychodził do domu rodziny von Blancke kilka razy w ciągu dnia. Jest powód, bo przecież doszło tam do ciężkiego przestępstwa. A pod moją nieobecność panowie będą się opiekować panienkami.

Wszyscy uznali, że to najlepsze rozwiązanie.

- I... - zakończył prefekt. - Nie muszą się państwo martwić o rodziców i dziadków. Komendant to wprawdzie wielki słuźbista, ale oficer, który się nimi opiekuje, jest moim przyjacielem. To porządny człowiek.

- Dobrze o tym wiedzieć - powiedział Dolg.

Słowa prefekta wszystkim przyniosły ulgę.

W mroku miasto wyglądało zupełnie inaczej. Puste, tylko żołnierze krążyli po ulicach, a z nimi młodzi nie mieli ochoty się spotkać, przemykali się więc bocznymi uliczkami pod osłoną ciemności. W którymś momencie dobiegły ich odgłosy kłótni z jakiegoś domu, a słowa przekleści Austriacy, powinno się was powystrzelać, wszystkich co do jednego, to wtedy moglibyśmy wkroczyć do Austrii” nie napełniły ich optymizmem.

- Jak to dobrze, że możemy rozmawiać po norwesku - szepnął Villemann. - Czasami bardzo się to przydaje.

- Masz rację - przyznał Rafael cierpka.

Kiedy już, się zbliżali do domu rodziny von Blancke, z mroku wyłonił się oddział żołnierzy tak, jakby czekał właśnie na tę chwilę; i otoczył szóstkę przybyszów.

- Fraulein Taran?

To ja - odpowiedziała. - O co chodzi?

Żołnierze chcieli ją zabrać ze sobą, ale Taran upierała się, że nie pójdzie. Uriel położył rękę na ramieniu ukochanej, chcąc ją ochronić. Żołnierze wytłumaczyli, że mania i babcia Taran potrzebują jej pomocy, chodzi o jakieś wydarzenia z przeszłości, których nie pamiętają.

Młodzi ludzie spoglądali po sobie,

- To mi pachnie szytą grubymi nićmi wymówką - rzekł Dałą po norwesku. Nie podoba mi się to wszystko.

- Mnie również przyznał Villemann. - Ale jesteśmy gośćmi w tym kraju i chyba powinniśmy robić, co sobie gospodarze życzą, zwłaszcza xv te pełne napięcia dni.

Kiedy nadal się wahali, jeden z żołnierzy wyjął list z pieczęcią komendanta. Poznali pismo Theresy:

Taran, przyjdź do nas jak najszybciej. Nic Ci tutaj nie grozi, natomiast w mieście nie będziesz cackiem bezpieczna. Poza tym potrzebujemy Twojej pomocy. Zabierz ze sobą Uriela!

Babcia

- Chyba powinniśmy iść - rzekła Taran niepewnie po niemiecku, ujmując Uriela pod rękę, jakby szukała u mego pomocy.

- Ale przecież tylko wy znacie panów von Blancke! - zawołał Villemann wzburzony. - Nie możemy tam iść sami, nikt nas nie zna.

- Wszystko będzie dobrze - uspokoił go jeden z żołnierzy. - Kapitan von Blancke został już poinformowany, że przyjdzie tylko pani rodzina, Fraulein Taran.

- Szczerze powiedziawszy, cała ta sprawa zaczyna się coraz bardziej komplikować - rzekł Rafael zirytowany.

- Cóż to za dziwna gra? Najpierw zabrano troje z nas, potem jednego, a teraz jeszcze dwoje, ni stąd, ni zowąd. A Dolg ostrzegał nas przed kimś czy przed czymś w gospodzie. Co to znaczy?

Taran poklepała go po ramieniu.

- Spiesz teraz, Rafaelu, na ratunek dziewczycy - uśmiechnęła się. - My z Urielem wrócimy najpóźniej jutro rano. Chcę się dowiedzieć czegoś więcej o tym mrocznym domu.

Żołnierze zabrali ją i Uriela, a pozostała czwórka, Danielle, Rafael, Villemann i Dolg, nadal stała na ulicy, niczego nie rozumiejąc.

Jesienny wiatr szeleścił liśćmi i kołysał gałęziami jak w jakimś upiornym tańcu.

Dolę spoglądał w stronę domu, do którego mieli wejść. Taran wyjaśniła im, który to budynek. W mroku robił on przygnębiające wrażenie.

To dach sprawia, że donn wydaje się taki ciężki i nieforemny. Dach jest niebywale wysoki, a zarazem sięga niemal ziemi, na dodatek ze wszystkich stron.

Dla odmiany to Danielle i Rafael mieli się teraz znaleźć w centrum dramatycznych wydarzeń...

8

Dwa dni przed tym wszystkim komendant miasta siedział w swoim wspaniale urządzonym gabinecie w budynku garnizonu i studiował plany ewentualnej obrony, na wypadek gdyby Austro-Węgry naruszyły granicę niemiecką w pobliżu jego miasta.

Miał szczerą nadzieję, że do tego dojdzie. Komendant bardzo teraz potrzebował niedużej wojny. Więcej sławy, więcej martwych wrogów, by mógł pokonać kolejne stopnie w swojej wojskowej karierze.

Dlaczego więc nie miałby zaatakować jako pierwszy? Co prawda zwierzchnictwo przestrzegało przed jakimiś głupstwami, komendant skrzywił się cierpko. Czekać, wciąż tylko czekać, tylko to mu nieustannie zalecano. Żadnej bohaterowszczyzny, żadnego awanturnictwa!

W drzwiach stanął jeden z podwładnych. Zameldował, że pewna francuska dama pragnie rozmawiać z panem komendantem w bardzo ważnej sprawie.

Francuska? Co Francuzi mają wspólnego z tym, co się tu dzieje? Ale dlaczego nie? W końcu tu się przecież nic nie dzieje.

- Wprowadzić!

Pełne pychy zadufanie komendanta doznało uszczerbku na widok wchodzącej. Wkroczyła do pokoju niczym królowa, ubrana na czarno, z gęstą woalką przesłaniającą twarz. Nie na tyle jednak gęstą, by nie mógł dostrzec spoza niej dwojga cudownych oczu i niezwykle pięknej twarzy.

Przedstawiła się jako madame Galet, wdowa z Awinionu.

Komendant zapytał uprzejmie, co ją sprowadza.

Pani uchyliła woalkę i komendant jęknął. Rzeczywiście była piękna, ale te jej oczy dosłownie go oczarowały.

Biedak nawet się nie domyślał, że właśnie tak jest naprawdę. Największą sztuką Pajęczycy było hipnotyzowanie, a takim zarozumiałym mężczyznom najłatwiej zawrócić w głowie. Ten tutaj to kompletne zero, najzupełniej nieprzydatny do czarodziejskiego napoju.

- Panie komendancie, podejrzewam, że do pańskiego miasta przybył austriacki szpieg - oznajmiła piękna dama.

„Do pańskiego miasta”, te słowa były niczym miód, trafiały mu wprost do serca. Już tylko z tego powodu od razu stał się zagorzałym wielbicielem kobiety, która tak wiele rozumie.

- Słyszałam, że w jednej z gospód zatrzymała się księżna Theresa von Habsburg.

Członek rodziny Habsburgów? Wizja niepojętych sukcesów zrodziła się w głowie komendanta. Musi schwytać tego cesarskiego szpiega! Sława! Awanse! Co najmniej generalskie szlify!

Rozmawiali ze sobą konspiracyjnym szeptem. Pajęczycza posługiwała się swoimi uwodzicielskimi oczyma najlepiej jak potrafiła, chociaż przeciwnik nie należał do najbardziej podniecających. Zbyt szybko i zbyt chętnie wpadał we wszystkie jej pułapki.

Tak, komendant powinien pojmać księżnę. Oczywiście, wiele osób w jej orszaku również należy uwięzić, tak będzie najrozsądniej. A przesłuchać należy wszystkich, i to im szybciej, tym lepiej.

Gdzie pan komendant zamierza ich umieścić?

O, to przecież księżna, trzeba jej zapewnić wygody...

Nie za wielkie. Proszę pamiętać, że to zdrajczyń!

Zadowolony komendant wysłał żołnierzy, by sprowadzili wysoko urodzoną panią. Dobre traktowanie, oczywiście! Cesarz austriacki nie powinien mieć mu nic do zarzucenia. To księżna popełnia przestępstwo, mogła przecież doprowadzić do wybuchu wojny!

Wydał oficerowi dyżurnemu rozkaz zatrzymania księżnej w areszcie garnizonowym, po czym zaczął się przygotowywać do spędzenia upojnego wieczoru z piękną wdówką z Awinionu.

Ale Pajęczycza wpadła w gniew, kiedy się dowiedziała, jak mało znaczące osoby pojmano. Tylko księżna Theresa, jej córka i mąż? A co mi po nich?

Nie doszło do żadnego upojnego wieczoru. Piękna czarownica zniknęła z miasta i komendant siedział w domu sam. Musiał obiecać nieznajomej, że aresztuje również zięcia księżnej, tego Islandczyka.

Na razie wystarczy mi jeden, pomyślała Pajęczycza. I czarnoksiężnik, i jego syn za jednym zamachem, to mogłoby być niestrawne.

Tymczasem oficer dyżurny zajmował się trojgiem aresztantów i starał się, by czuli się jak najlepiej. To on był przyjacielem prefekta i to on nie mógł pojąć, co tych troje sympatycznych i kulturalnych ludzi robi w areszcie.

Nazywał się Bonifacjusz Kemp i bardzo lubił swoje nazwisko. Nie podobało mu się, że jego przełożony przyjmuje takie wizyty, jak owa tajemnicza pani w czerni. Sądził, że to ona właśnie wydała polecenie zamknięcia w odosobnieniu księżnej i jej bliskich, a teraz jeszcze nieznajoma życzy sobie, by trzymano ich w ciemnicy.

Bonifacjusz nie chciał mieć z tym nic wspólnego. W tajemnicy przeprowadził więźniów do swego prywatnego mieszkania, gdzie mogli się całkiem wygodnie rozlokować. Nawet jeśli niższy stopniem oficer nie mieszka zbyt komfortowo... Komendantowi zameldował, że więźniowie znajdują się, zgodnie z rozkazem, w garnizonowych lochach.

Tylko Bonifacjusz miał klucze do podziemi.

Móri i Dolg przeczuwali słusznie: Nic złego nie mogło się stać Theresie, Tiril i Erlingowi.

Francuska wiedźma L'Araignee zamieszkała w gospodzie, nadal w żałobie po mężu, którego nigdy nie miała. Musiała wykazać jak największą ostrożność, żeby jej nikt nie zaczął podejrzewać. Umiała jednak węszyć w skrytości. Dowiedziała się już, że ani księżna, ani jej mąż i córka nie mają przy sobie szlachetnych kamieni. Strażnicy przeszukali ich dokładnie, gdy tylko więźniowie znaleźli się w areszcie.

Musiał je ukrywać ktoś inny.

Pajęczycza nie przypuszczała, że te kamienie są takie wielkie. Szukała, jeśli tak można powiedzieć, normalnych klejnotów, może tylko odrobinę większych niż zazwyczaj bywają.

Ponieważ pokój chłopców był tym pomieszczeniem, do którego się jeszcze nie zdołała zakraść, była przekonana, że kamienie znajdują się właśnie tam.

Ale drzwi zastała zamknięte. Na klucz, to znaczy, że nikogo wewnątrz nie ma.

Tego dnia nie zdołała wyrządzić rodzinie czarnoksiężnika żadnej krzywdy. Bo albo wszyscy siedzieli w swoich pokojach, albo gdzieś znikali bez śladu. Nie mogła jeść posiłków w dużej sali jadalnej, bo wtedy musiałaby zdjąć woalkę, a tego za nic robić nie chciała. Wszyscy członkowie orszaku księżnej widzieli ją przecież na wiejskiej drodze i z pewnością by ją rozpoznali.

Wieczorem spostrzegła młodą parę wychodzącą z gospody, owego wysokiego blondyna, świętego, jak go określała, i tę smarkulę, której się wydaje, że jest ładna.

To nieprawda, Taran wcale tak o sobie nie myślała, lecz Pajęczycza nienawidziła wszystkich kobiet, które mogły być jej rywalkami wszystko jedno w jakiej sprawie.

A już ładnym kobietom życzyła jak najgorzej.

Skoro nic jej się nie udało, postanowiła wrócić do koszar i przyszła akurat w odpowiedniej chwili, by widzieć, że Móri został wezwany na przesłuchania.

L'Araignee znalazła punkt obserwacyjny, z którego sama była niewidoczna.

Tak, to prawdziwy czarnoksiężnik! Widziała go co prawda tylko z boku, ale mimo wszystko zaimponował jej bardzo.

Nie za wysoki, można powiedzieć normalnego wzrostu. Czarne długie włosy bez śladu siwizny. A przecież wiedziała, że musiał być w wieku, w którym większość ludzi już dawno posiwała, miał przecież dorosłe dzieci. Proste ramiona i plecy, podniesiona głowa. Przystojny mężczyzna! Mógłby się jednak odwrócić w jej stronę. Próbowała pokierować jego zachowaniem. Odwróć się, myślała. Odwróć się! Co jest, do diabła? Ta sztuka przecież zawsze udaje jej się znakomicie, a tymczasem teraz Móri był kompletnie głuchy na jej rozkazy. Czyżby naprawdę był tak cholernie silny?

Móri ze zdumieniem wpatrywał się w komendanta. Co się dzieje z oczami tego człowieka? I mówi jakoś bełkotliwie, czyżby był pijany? Chyba nie, raczej sprawia wrażenie zahipnotyzowanego. Głupie i całkiem bez sensu pytania, jakie zadawał, również na to wskazywały.

Móri wyczuwał w pomieszczeniu obecność jakiejś złej energii. Skąd mogłaby pochodzić?

Powoli się obracał i wodził wzrokiem po urządzonym z przepychem gabinecie komendanta. W kątach panował mrok, a kręte strome schody wiodły na pogrążone w ciemnościach pięterko.

Pajęczycza cofnęła się mimo woli, gdy zobaczyła jego twarz.

Spotkali się już wcześniej na wiejskiej drodze. Wtedy on zaoferował pomoc damie w potrzebie.

Teraz wszystkie zmysły obojga były napięte do ostateczności. On mrużąc oczy poszukiwał źródła siły myśli, czyli jej właśnie. Ona ukryła się za poręczą schodów na galerijce, z której go obserwowała.

Cholera, zaklęła w duchu. Ten człowiek ma w sobie moc! Moje magiczne sztuczki są, rzecz jasna, silniejsze, nie o to chodzi, tylko że nie mogę działać akurat teraz, nie mam na to ani czasu, ani ochoty.

Czarnoksiężnik został, oczywiście, przeszukany, więc nie ma przy sobie klejnotów. Można się go zatem po prostu pozbyć, im szybciej, tym lepiej. Taki przeciwnik na nic mi się nie przyda, raczej przeciwnie. O, dzięki, nareszcie się odwrócił.

Komendant stwierdził, że Móri jest tak samo kulturalny i sympatyczny jak troje wcześniej aresztowanych. Odpowiadał spokojnie i bardzo dokładnie na jego pytania. Nie bardzo wiedząc, co dalej, oficer pozwolił Islandczykowi odejść. Komendant w ogóle mało z tego rozumiał, nie umiałby wyjaśnić, dlaczego wzywa tych ludzi ani dlaczego zadaje im te wszystkie pytania.

Jego mózg był dziwnie ociężały. I pusty, jakby napływały doń myśli kogoś innego, wypierając jego własne.

Kiedy Móri został wyprowadzony, z galeryjki zeszła owa piękna francuska dama. Dziwne, nie umiał sobie przypomnieć, by wchodziła na górę. A poza tym, co ona tam miała do roboty?

Zapomniał jednak o swoim zdziwieniu w tej samej chwili, kiedy je sobie uświadomił.

- Ten człowiek jest śmiertelnie niebezpieczny - syknęła Francuzka.

- Naprawdę? - zapytał komendant z niemądrą miną. - A mnie się zdawało...

- To zły mag, który zaprzedał duszę diabłu!

- O, Panie Jezu - szepnął komendant i przeżegnał się pospiesznie.

- Rozstrzelaj go! Natychmiast!

- Ale ja nie mogę...

Znowu ta jakaś dziwna mgła przesłoniła jego myśli, głowa ciążyła jak z ołowiu. Te oczy! Jakie cudownie piękne, jakie przenikliwe, jakie mamiące!

- Tak. Oczywiście - wyjąkał bełkotliwie.

Wezwał oficera dyżurnego, Bonifacjusza Kempa, ale wtedy Pajęczycza wycofała się do prywatnych pokojów komendanta, gdzie zamierzała spędzić z nim parę chwil. Znowu odczuwała niepokój w całym ciele, mrowienie w dole brzucha, minęło już wiele czasu, od kiedy opuściła tę górską wioskę w Alpach francuskich. Brat Willum był jej ostatnim kochankiem, a przecież nie okazał się szczególnie satysfakcjonujący. Tak bardzo potrzebowała teraz mężczyzny, że mógł to być nawet ten komendancina.

On tymczasem wydał rozkaz natychmiastowego wykonania egzekucji, po czym pospieszył do swojej pięknej. Tak czarująco poruszała stopami, najwyraźniej go zachęcała, pokazując raz po raz cudowne, szczupłe kostki.

Kiedy wszedł do pokoju, ona na wpół leżała na łóżku i przeciągała się leniwie. Wsunęła rękę pod bieliznę, bo sama myśl o tym, że stała się przyczyną rychłej śmierci czarnoksiężnika, podniecała ją ponad wszelkie wyobrażenie. Czarne spódnice zadarła nad kolana, a jej białe uda i łydki bieleły się zachęcająco.

Komendant nie potrzebował więcej sygnałów. Zamknął drzwi na klucz i zaczął rozpinać pas.

Bonifacjusz, który żywił głęboką sympatię dla swoich gości, odprowadził Móriego na bok w pomieszczeniach garnizonowych.

- Muszę wydać rozkaz egzekucji - szepnął. - Proszę nie protestować! Naładowałem karabiny zwietrzałym prochem. Czy po strzałach może pan udawać martwego?

Móri potwierdził skinieniem głowy. Położył rękę na ramieniu oficera.

- Dziękuję! Bardzo się jednak niepokoję o moją żonę i oboje teściów. Czy oni naprawdę znajdują się w lochu? A może też zostali...

- Spokojnie - rzeki Bonifacjusz. - Wszyscy troje odpoczywają w moim mieszkaniu. Przeszmuglowałem ich tam po kryjomu, oficjalnie jednak mają przebywać w lochach.

- Dziękuję ci, mój przyjacielu - szepnął Móri wzruszony. - Wynagrodzimy pana najlepiej jak można.

- Nie, nie oczekuję niczego takiego. Ale co się dzieje z pozostałymi członkami pańskiej rodziny? Musimy zapewnić im bezpieczeństwo, dopóki te jakieś złe moce działają w mieście. Nie wiem, co to jest ani skąd się bierze, ale komendant nigdy się tak nie zachowywał. On się musi znajdować pod czymś złym wpływem. Mam wrażenie, że został zaczarowany.

Móri patrzył na nieładną, lecz sympatyczną twarz oficera.

- Odniosłem dokładnie takie samo wrażenie. A jeśli chodzi o moją rodzinę, to myślę, że nic im nie grozi. Moja córka, Taran, i jej narzeczony, odkryli zwłoki kobiety, która utonęła, i rodzina tej biedaczki zaproponowała, by moje dzieci zamieszkały w ich domu. U kapitana von Blancke. Tam nie muszą się obawiać tej złej siły, którą wyczuwałem również w gospodzie.

Bonifacjusz wyglądał na bardzo zmartwionego.

- W domu kapitana von Blancke? To bardzo nieprzyjemna pomyłka, mój panie. Kapitan jest podwładnym i najbliższym współpracownikiem komendanta i we wszystkim go naśladuje. Spotykają się też na prywatnym gruncie.

- Rzeczywiście niedobrze - rzekł Móri zamyślony.

- Niedobrze. A co gorsza, krótko przed przyjściem tutaj, dosłownie pół godziny temu, rozmawiałem z moim przyjacielem prefektem. Otóż opowiedział mi on, że znaleziono jakąś zamordowaną kobietę, nie wymienił wprawdzie jej nazwiska, ale to może być kapitanowa. Została uduszona i zwłoki wrzucono do rzeki.

- Och, nie! Nasze dzieci nie mogą mieszkać w takim domu!

- Dom kapitana von Blancke to potworne miejsce - rzekł Bonifacjusz poważnie. - Ludzie mówią, że dzieją się tam rzeczy, które strach głośno wspominać.

- Moje dzieci twierdziły, że trzeba ratować jakąś mieszkającą tam dziewczynkę.

- Chodzi o Wirginię, wiem. To rzeczywiście wielkoduszny zamiar, ale moment wybrany fatalnie. Zaraz tam pošlę paru żołnierzy, żeby sprowadzili młodych państwa do mojego domu.

- Proszę tak zrobić! I dziękuję panu za jego wyjątkową życzliwość!

Bonifacjusz spojrział na niego spod oka.

- Nie cierpię ich obu, i komendanta, i kapitana, natomiast pańska rodzina od początku wzbudziła moją sympatię. Szlachetni ludzie. O dobrych sercach.

Dziękuję jeszcze raz - Móri uśmiechnął się blado.

To właśnie wtedy, kiedy Móri mówił „moje dzieci” o mających zamieszkać w domu kapitana młodych członkach swojej rodziny, doszło do fatalnej pomyłki. On bowiem miał na myśli wszystkich sześcioro, ale nie wspomniał o tym Bonifacjuszowi. Ten zaś słyszał jedynie o dwojgu, o Taran i Urielu.

Kiedy więc wysłani przez niego żołnierze zatrzymali narzeczonych na ulicy, zabrali ze sobą do koszar tylko ich.

Owo brzemienne w skutki nieporozumienie zrodziło się w tych gorączkowych chwilach, kiedy Móri był prowadzony na plac egzekucyjny na tyłach zabudowań garnizonu.

Oficer dyżurny, którego żołnierze bardzo lubili, odwrotnie niż komendanta, wybrał do plutonu egzekucyjnego swoich zaufanych ludzi. Wszyscy zostali poinformowani, że w ich karabinach znajduje się zwietrzały proch oraz że więzień musi natychmiast po „egzekucji” zostać usunięty z placu.

Pajęczycza i komendant przeżywali chwile uniesienia, kiedy na zewnątrz dały się słyszeć głośne rozkazy. Oczy L'Araignée rozbłysły.

- Chcę to zobaczyć - jęknęła i zerwała się z łóżka tak gwałtownie, że komendant o mało nie spadł na podłogę. Nagusieńka stanęła w oknie. Na szczęście było ono umieszczone tak wysoko w ścianie, że z zewnątrz dało się dostrzec tylko jej twarz. Zresztą i tak nikt nie patrzył teraz w tę stronę.

Komendant, któremu się nie spodobało, że przerywa mu akurat w takiej rozkosznej chwili, pobiegł za nią i wziął ją od tyłu. Kiedy na zewnątrz rozległa się salwa i Móri osunął się na ziemię, w pokoju komendanta również nastąpił finał. Oboje

kochankowie dygotali we wspólnym uniesieniu. Pajęczycyca nigdy przedtem nie przeżyła takiej wszechogarniającej, niemal trudnej do zniesienia rozkoszy.

- Cóż za ekstaza - jęczała zdyszana, niemal bez sił. - Cóż za fantastyczna ekstaza!

- Tak, tak - gulgotał napuszony komendant. - ja to potrafię, mam zwyczaj dawać moim kobietom przeżycia, jakich z innymi nie zaznają.

Ty? pomyślała Pajęczycyca, patrząc na niego z obrzydzeniem. Ty? Potrzebny był tylko twój członek w moim ciele, nic więcej. Ale widzieć umierającego człowieka akurat w chwili, kiedy się przeżywa spełnienie... A w dodatku śmierć straszego czarnoksiężnika!

To więcej niż człowiek może oczekiwać.

Skreśliła Móriego jako ewentualnego kochanka w tym samym momencie, w którym w gabinecie komendanta ujrzała jego twarz.

Ten mężczyzna był dla niej zbyt silny i posiadał zbyt rozległą magiczną wiedzę. Nie odważyłaby się próbować na nim swoich sztuczek.

Po wszystkim będzie jednak musiała prosić komendanta o ciało Islandczyka. Jest w nim z pewnością kilka godnych uwagi organów.

Komendant będzie mógł żyć, Pajęczycyca tym razem nie pożre swego kochanka. Zresztą on może się jej jeszcze przydać w przyszłości.

L'Araignee odetchnęła. Wypełnia już część swego zadania. Starszy czarnoksiężnik nie żyje. Teraz pozostał jeszcze młodszy. To będzie dla niej smakowity kąsek!

No i klejnoty, rzecz jasna! Trzeba myśleć i o sprawach materialnych na tym świecie.

Kiedy jednak późnym wieczorem wróciła do gospody, wściekła. bo ciało czarnoksiężnika sprzątnięta z placu natychmiast po egzekucji i niezwłocznie spalono, by uniknąć ewentualnego przekleństwa, tutaj również doznała szoku. Zdobył, której już była pewna, umknęła jej sprzed nosa. Co więcej, nikt nie umiał powiedzieć, gdzie się podziało sześcioro młodych, którzy jeszcze niedawno tu byli.

Marie-Christine Galet, we własnym mniemaniu najbardziej niebezpieczna czarownica, usiadła w swoim pokoju i wściekle kopała ścianę, miotając przekleństwa, od których zarumieniłyby się nawet najbardziej prymitywny robotnik portowy.

9

Czworo młodych ludzi czuło się dość niepewnie, kiedy jako całkiem przecież obcy ludzie pukali do drzwi domu rodziny von Blancke.

Byli jednak dziećmi i wnukami najprawdziwszej księżnej, przyjęto ich więc nadzwyczaj życzliwie. No cóż, gospodarze zdawali się okazywać zrozumienie dla faktu, że ich pierwsi goście, Uriel i Taran, zostali zatrzymani przez władze.

Natychmiast wydano polecenie służbie, by przygotowała każdemu z nowo przybyłych oddzielny pokój. Chłopcy zapewniali, że nie jest to konieczne, podczas podróży przywykli do mieszkania w ciasnocie, ale obie szlachetne panie nalegały, by rozlokować wszystkich jak najwygodniej.

Dziwne, ale na młodych nie robiło to najlepszego wrażenia.

Nie ulegało wątpliwości, że obie kobiety rywalizują teraz między sobą o to, która zostanie panią domu. Troszkę za wcześnie, myślał Rafael. Przecież kapitanowa dopiero co rozstała się z życiem. W ogóle Rafael źle się czuł w tym ponurym domu, w którym atmosfera aż kipiała od tłumionego erotyzmu.

Nie lubił też obu sióstr zmarłej kapitanowej, które go wprost pożerały oczyma. Uważał, że ich przenikliwe, pełne zawiści spojrzenia oraz sposób, w jaki jedna drugą pilnowała, są wstrętne. Odnosił ponadto wrażenie, że sam gospodarz, kapitan von Blancke, jest człowiekiem, na którym nie można polegać, słabym pod każdym względem, a już najbardziej nie podobał się dobrze wychowanemu Rafaelowi ruch, jaki uczyniła jedna z kobiet. Po kryjomu, za plecami wszystkich, błyskawicznie wyciągnęła rękę i pieśczołtliwie pogłaskała kapitana w kroku, po czym natychmiast rękę cofnęła.

Kapitan sprawiał wrażenie współwinnego, a nie zaszokowanego, czego przecież należało oczekiwać. Rafael przyjął to z obrzydzeniem, zwłaszcza że dom powinien być być pogrążony w żałobie.

Co to Taran mówiła, wspominając słowa służącej z sąsiedniego domu? „Biedna kobieta! Nie powinna była nigdy sprowadzać tu swoich...”

Swoich sióstr? Bo przecież te kobiety są siostrami zmarłej.

Nosiły imiona Elisabeth i Emilia, lecz nazywano je po prostu Lilly i Milly. Lilly była wysoka, chuda i wyniosła pewnie dlatego, że to siostra Milly otrzymała od losu całą urodę. No, powiedzmy, i tak przecież wszystko zależy od gustu. Rafaelowi na przykład nie podobała się pulchna sylwetka Milly ani jej słodka, pozbawiona wyrazu lalkowata twarzyczka. Zadbana aż do przesady, by pod każdym względem wydawać się pociągająca. Lilly też nie była wcale zabawna z tą swoją skwaszoną, wyrażającą niezadowolony ze wszystkiego miną.

Mówiąc wprost były to dwie wygłodniałe stare panny, które w domu rodzonej siostry przy każdej okazji rzucały się na szwagra.

Bo rzeczywiście obie patrzyły na niego tak samo rozgorączkowanymi oczyma. On zaś wyglądał na łatwą, pozbawioną charakteru zdobycz.

Obrzydlistwo!

Szkoda tylko tego starego patriarchy, pułkownika von Blancke. Nie mógł przecież nie zdawać sobie sprawy z tego, co dzieje się pod jego dachem. Moralność starej daty, jaką niewątpliwie wyznawał, sposób, w jaki odnosił się do syna, wskazywały wyraźnie, że brzydzi go ta rozwiązłość. Pułkownik, bardzo silny mężczyzna i wzór żołnierza, teraz z pewnością ponad sześćdziesięcioletni, nie zaszczycał obu kobiet ani jednym spojrzeniem. Rafael słyszał, że starszy pan mruknął do kapitana coś w rodzaju: „W tym domu rozpusty rzeczywiście potrzebne było oczyszczenie, ale umarła nie ta co trzeba. Weź się w garść, chłopcze, twoje zachowanie uraga mundurowi, który nosisz!”

Villemann natomiast zdawał się przypadać staremu panu do gustu. Raz po raz pułkownik poklepywał chłopca po ramieniu.

- Przystojny młodzian - mruczał. - Wspaniały materiał na żołnierza. Powinien pan być rekrutem w mojej armii, młody człowieku!

Villemann, mimo sympatycznego uśmiechu starego oficera, wzdragał się na samą myśl o tym, że miałby się znaleźć w wojsku. Rafael rozumiał to znakomicie. Towarzysz jego dziecięcych zabaw tak samo jak on nie znajdował w żołnierskim życiu niczego interesującego.

Pułkownik tymczasem nie przestawał zachwycać się blond włosami Villemanna, jego niebieskimi oczyma i znakomitą budową. Ani Rafael, ani Dolg nie budzili ciekawości starszego pana, obaj ciemnowłosi i obaj marzyciele, choć każdy po swojemu.

Po sposobie wyrażania się pułkownika Rafael wnioskował, że jest to człowiek bardzo bogobojny. Często mówił o wielkości i dobroci Boga, a także o jego gniewie.

Wciąż stali wszyscy w hallu i rozmawiali, gdy wysoko na schodach ukazała się Wirginia.

Rafael patrzył na nią z otwartymi ustami.

Była to najczarowniejsza, najbardziej poetycka istota, jaką kiedykolwiek widział. Prawdziwa księżniczka z bajki! Jej wiek trudno było określić, bo sprawiała wrażenie bardzo jeszcze niedojrzałej i dziecinnej. Mogła mieć równie dobrze jedenaście lat, jak i osiemnaście. Włosy tak jasne, że niemal białe, nosiła upięte w taki sposób, że z tyłu gęste loki opadały aż na ramiona. Zdumiewająco ciemne przy tych jasnych włosach oczy patrzyły na niego przestraszone i zaciekawione.

Piwnie oczy i jasne włosy to nie jest najzwyczajniejsze połączenie, lecz Rafael natychmiast dostrzegł, że Wirginia musiała je odziedziczyć po rodzinie matki. Ciotka Molly miała takie same.

Pułkownik na widok wnuczki zareagował zgoła odmiennie niż Rafael. Daleki od zachwyty zawołał:

- Co to za głupstwa, Fritz! Natychmiast jazda na górę i ubrać mi się po żołniersku!

- No, no, ojczy - mitygował go kapitan. - Przecież mamy gości!

Wirginia zatrzymała się, nie wiedząc, którego z nich słuchać.

Pułkownik mruknął:

- No trudno, ten jeden raz niech będzie.

Odwrócił się gniewnie na pięcie i poszedł do jakiegoś pokoju.

Kapitan von Blancke wyjaśniał gościom z wymuszonym uśmiechem:

- Mój ojciec i córka oraz syn sąsiadów prowadzą taką grę. Ponieważ ojciec wyszedł już ze służby, teraz zajmuje się ćwiczeniem obojga dzieci, Franzla i Frizl, jak nazywa moją córkę. Zresztą wszyscy troje znakomicie się bawią. Tyle tylko, że ojciec nie rozumie; iż mała Wirginia dorasta i zaczynają ją interesować bardziej kobiece sprawy. Nie, Wirginio, nie musisz się przebierać, wyglądasz bardzo ładnie w tym, co masz na sobie. Bardzo dobrze, że się akurat dzisiaj tak ubrałaś.

Uśmiech ulgi rozjaśnił delikatną twarzyczkę dziewczynki. Zeszła na dół tanecznym krokiem, wyglądała przy tym jak stąpający leciutko elf.

Rafael zapomniało bożym świecie. Zapomniało wszystkim, widział tylko tę małą, cudowną istotę, która była niejako odpowiedzią na jego sny i marzenia. To dlatego nigdy przedtem nie mógł się zakochać. To dlatego uważał, że znajome dziewczyny są niezdarne, rozchichotane i niemądre. On czekał na tę tutaj. Zawsze wiedział, że ona istnieje, a teraz patrzył na nią z odległości kilku metrów.

Spójrz na mnie, Wirginio! Spójrz, jestem tutaj. Ty i ja zostaliśmy stworzeni dla siebie.

Musiała jednak minąć dłuższa chwila, zanim jej wzrok spoczął na nim. W tym momencie Rafael miał wrażenie, że pokój rozjaśniła potężna błyskawica. Nic się, oczywiście, takiego nie stało, ale bywa czasami, że dwie dusze nagle znajdują wzajemne głębokie porozumienie. I tak właśnie stało się teraz.

Rafaelowi zdawało się, że jej oczy błagają: „Zabierz mnie stąd!”

Potem niechętnie, jakby największym wysiłkiem woli jej spojrzenie przesunęło się dalej.

Muszę ją uratować, myślał zaniepokojony. Och, Boże, nie pozwól, by ona uległa czarowi Dolga lub Villemanna. Obaj są przecież o tyle więcej warci niż ja. Ale ona nie może wybrać żadnego z nich, nie może popełnić błędu.

To oczywiste, że przyrodni bracia również mogli się nią zachwycić, mogłoby się nawet wdać dziwne, gdyby było inaczej, myślał w popłochu, a serce bilo mu gwałtownie, przepelnione nagłym lękiem. Co on by w takim razie uczynił? Za nic nie chciałby przecież zranić swoich najlepszych przyjaciół i towarzyszy dziecięcych zabaw.

Villemann... O, Najświętsza Panienko, Villemann też nie może oderwać od niej oczu. Co robić? Co robić?

Tak jak jego przybrana matka, Rafael był wierzącym katolikiem, w tej wierze zresztą zostali wychowani oboje z siostrą. Danielle stała teraz trochę zaskoczona i wpatrywała się w tę cudowną istotę, która właśnie zeszła ze schodów. Rafael czuł, że spotkanie może być trudne dla większości jego bliskich. Ale dziewczynę trzeba koniecznie uratować, zabrać ją z tego cuchnącego bagna bezbożności i łajdactwa. Ona należy do niego, czy jego najbliżsi tego nie widzą? Czy nie rozumieją, że on przez całe życie czekał właśnie na tę kobietę?

Nie, ona z pewnością nie ma jedenastu lat, to niemożliwe! Ale jeśli nawet tak jest, to Rafael będzie cierpliwy...

Wirginia wciąż stała na ostatnim stopniu schodów, ubrana w błękitną jedwabną sukienkę.

- Czy mama nadal nie wróciła do domu?

Mój Boże, pomyślał Rafael wstrząśnięty. Nikt jej nie powiedział makabrycznym odkryciu? Jakże to okropne! Wszyscy oniemieli.

- Twoja matka nie żyje, Wirginio - oznajmił w końcu ojciec dziewczyny, kapitan, bezbarwnym głosem. - To jej ciało znaleziono w rzece.

Oczy Wirginii stały się jeszcze większe i przerażone jak u ściganego zwierzęcia, a wargi drżały leciutko.

Obdarzony gorącym sercem i spontaniczny Villemann podskoczył do niej i przytulił do siebie.

- Płacz, moje dziecko, masz do tego pełne prawo - mówił jak do malej dziewczynki. - Tak... Płacz ci pomoże. O, nie, myślał Rafael zrozpaczony. Ja powinienem był to

zrobić. Ale ja jestem niedomyślny, stoję tu tylko i gapię się. Teraz ona przywiąże się do kochanego Villemanna i wszystko pójdzie nie tak, nie tak!

O mało nie skończył ze zgrozy, kiedy dziewczynka położyła ufnie głowę na ramieniu Villemanna i rozszlochała się bezradnie.

Siostra Rafaela, Danielle, nie miała w czasie ostatniego tygodnia najłatwiejszego życia. Od chwili, kiedy Taran wyjawiała, że Villemann jest w niej zakochany, i to od wielu lat.

Danielle robiła co mogła, by trzymać się z daleka od Villemanna, starała się, rzecz jasna, nie czynić tego ostentacyjnie, a kiedy już musiała z nim rozmawiać, traktowała go jak najbardziej neutralnie. Bez dodawania odwagi, ale też bez wrogości; życzliwa obojętność.

Ten dom nie bardzo jej się spodobał. Ów służący, który stoi za plecami zebranych, miody, rosły, dość przystojny mężczyzna, do którego obie szlachetnie urodzone panie zwracały się pogardliwie, nieustannie wydawały mu jakieś polecenia... Służący rzucił Danielle dziwnie uważne, jakby wszystkowiedzące spojrzenie, pełne niechęci, ale z wymownym uśmieszkiem na dodatek. Zarumieniła się wtedy po korzonki włosów.

Był to, jak się okazało, człowiek do wszystkiego w tym domu, ten sam, którego Taran i Uriel spotkali pracującego w ogrodzie. Wkrótce jednak mieli się przekonać, że odgrywał tutaj rolę kogoś więcej niż tylko służącego. Nazywano go Symeon, niekiedy zwracano się do niego bardzo poufale.

Co on może o mnie wiedzieć, zastanawiała się Danielle, patrząc na jego bezczelny uśmiech. Przecież nie popełniła nigdy większego grzechu ponad to, że zakochała się w niewłaściwym mężczyźnie.

Dolg bowiem nadal zdawał się widzieć w niej jedynie młodszą siostrę.

No właśnie, Dolg. Zachowywał się dziwnie cicho, odkąd weszli do tego domu z ciężkimi schodami, urządzonego ciemnymi meblami o mrocznych obiciach, stał z tyłu, kryjąc się w cieniu. Spojrzała na niego ukradkiem, kiedy tak trwali od kilku minut wszyscy, znieruchomiali jak na zbiorowym portrecie, ale targani gwałtownymi uczuciami, co dawało się zauważyć, bo powietrze było naładowane niczym przed burzą.

Dolg stał bez ruchu i zdawało się, że wchłania w siebie atmosferę domu. Ludzie jakby go zupełnie nie interesowali. Czegoś innego poszukiwał swoimi wrażliwymi zmysłami...

Cały Dolg, pomyślała Danielle ze smutkiem. Zawsze inny niż pozostali. Zauważyli zdziwienie, niemal szok gospodarzy, kiedy tutaj wszedł, ale do takich reakcji obcych,

zarówno on sam, jak i Danielle od dawna przywykli do tego stopnia, że prawie nie zwracali na to uwagi.

Ona jednak potrzebowała teraz jego zainteresowania, czuła się bowiem bardzo zagubiona w tym domu. Przecież Dolg zawsze był tym, który obejmował przywództwo w każdej sytuacji, a teraz wyraźnie usuwał się w cień. Dlaczego? Pragnęła jego wsparcia, chciała wiedzieć, że może na nim polegać.

Danielle bała się tego mówiącego głośno i niewyraźnie starszego pana o gniewnych oczach. On też całą swoją osobą wyrażał niechęć, a może nawet obrzydzenie, ale to się odnosiło do członków jego rodziny. Z kobietami najwyraźniej nie chciał mieć do czynienia, a na swego syna, kapitana, po prostu wrzeszczał.

Kapitan natomiast wciąż nie mógł przybrać postawy oficera. Wyglądał raczej jak nad wiek wyrosnięty chłopak, który najchętniej nadal trzymałby się matczynej spódnicy. Z pewnością został zmuszony do wybrania wojskowej kariery, Danielle odnosiła jednak wrażenie, że gdyby sam miał wybierać sobie zawód, to nie wiedziałby, co go naprawdę interesuje. Należał do tych ludzi pozbawionych większych talentów, którzy chętnie korzystają z przyjemności życia, lecz nie mają ochoty na nic więcej.

Ukradkiem spoglądała na innych członków rodziny. Ponieważ Danielle nadal żyła w przekonaniu, że małżeństwo sprowadza się jedynie do świadczenia sobie wzajemnych uprzejmości i życzliwości, a dzieci Bóg jakimś sposobem zsyła z nieba - pod tym względem wychowanie Theresy całkowicie zawiodło - nie zauważyła, że atmosfera w hallu wprost ocieka erotyzmem. Odbierała ciężki nastrój pożądania jak coś nieczystego, dławiącego, nie potrafiłaby jednak wyjaśnić, skąd się to bierze.

Teraz Wirginia zeszła ze schodów i Danielle poczuła, że po pierwszym wzruszeniu na widok czegoś tak delikatnego i doskonale pięknego cała jej niepewność wróciła i zalała ją potężną falą. Zauważyła podziw w oczach swego brata, a potem widziała, jak Villemann pociesza osieroconą dziewczynkę.

Nigdy jeszcze Danielle nie czuła się aż taka bezradna! Nie miała odwagi nawet spojrzeć w stronę Dolga. Za nic nie chciała zobaczyć tego samego uwielbienia w jego oczach.

W końcu ciężki nastrój zastał przerwany. Wysoka, sztywna Lilly poprosiła, by wszyscy udali się do swoich pokoi i rozpakowali się, a za chwilę zostanie podany poczęstunek.

Tak właśnie powiedziała: poczęstunek, a nie po prostu kolacja. Najwyraźniej miał to być bardzo elegancki posiłek, niezależnie od tego, co zostanie podane.

Ton, jakim przemawiała Lilly, nie pozostawiał wątpliwości, że to ona będzie teraz pełnić honory gospodyni.

Milly nie wyglądała na zachwyconą takim obrotem sprawy.

Pomocne dłonie zaniósł na górę ich bagaże. To pokojówka i jeden ze służących, a także ów bezwstydnny chłopak do wszystkiego. To znaczy nie, nic takiego nie robił, on miał tylko coś obraźliwego we wzroku i w swoim wieloznacznym uśmiechu.

Gdzie miejsce na żalobę w tym domu, zastanawiał się Rafael, mijając wiszący nad schodami całkiem nowy portret kobiety. Pani na portrecie stanowiła jakby połączenie dwóch obecnych w domu kobiet, Lilly i Milly, była czymś w rodzaju łagodnego przejścia między jedną a drugą. To z pewnością ich siostra, zmarła żona kapitana, uznał Rafael. Tak, miała te same ciemne oczy i takie same jasne włosy.

Wirginia stała obok niego. Zatrzymała się dokładnie w tym samym momencie co on.

- To twoja mama? - zapytał łagodnie.

- Tak - szepnęła ze łzami w oczach. - Tak strasznie za nią tęsknię!

Rafael spojrzął na nią ukradkiem. Księżniczka elfów, przyszło mu do głowy. Nie, ona nie może mieć tylko jedenaście lat, to niemożliwe, pomyślał znowu.

A jeśli jednak ma tylko tyle? To trudno, będzie na nią czekał i tak. Będzie żył w cnotcie i niewinności, aż ona dojrzeje do zamążpójścia.

Nie sądził jednak, by istniała taka potrzeba.

- Wybacz, jeśli moje pytanie zabrzmiało niezbyt uprzejmie, zastanawiam się jednak, ile ty masz lat, Wirginio - szepnął nieśmiało.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

- Szesnaście. Tak, wiem, że wyglądam bardzo dziecinnie, ale to z pewnością minie.

Szesnaście! Dzięki Ci, dobry Boże. W takim razie będzie musiał czekać o pięć lat krócej.

Widział, jakie dziecinne i nie rozwinięte jeszcze jest jej ciało. Piersi ledwo zaczęły się zarysowywać. W jakiś sposób jednak właśnie ta jej niedojrzałość pociągała go najbardziej. Ale też Rafael odnosił się z prawdziwą czcią do tej niewinności i czystości, jaka bila z twarzy dziewczyny.

O, potrafi dać jej tak wiele! Będzie pisał wiersze dla niej i o niej, będzie wobec niej zawsze taki rycerski, jak to tylko możliwe! Wirginia była ucieleśnieniem wszystkiego, o czym marzył i śnił.

Podszedł Villemann i objąwszy delikatnie ramiona dziewczyny, pomógł jej wejść na górę.

O, wstydzie! Dlaczego to on, Rafael, nie pomyślał o tym?

Pokoje znajdowały się na piętrze, nad nimi był jeszcze tylko strych, gdzie mieszkała służba. Rafael dostał bardzo wygodną sypialnię ze stylowymi meblami i mansardowym oknem w spłaszczonym od tej strony dachu. Otworzył lufcik i wyjrzał na zewnątrz, zaraz się też okazało, że Villemann mieszka obok i że on też wygląda na dwór. Obaj młodzi ludzie pomachali sobie życzliwie. W tej części dachu znajdował się długi rząd takich samych mansardowych okien.

Za jednym z nich znajduje się z pewnością ona.

Rafael poczuł, że przepelnia go błogość. Nagle życie zyskało nowe wymiary-, pomyślał całkiem banalnie, któż jednak nie bywa banalny w swoim pierwszym zakochaniu?

Przy poczęstunku, który okazał się normalną kolacją, honory przy stole pełnił von Blancke senior. A był to gospodarz surowy. Jako elegancki oficer poprowadził do stołu jedyną kobietę wśród gości, czyli Danielle, skłonił się uprzejmie i ucałował jej rękę, ale na tym skończyły się uprzejme gesty. Rozmowa przy stole była zabroniona. Wszyscy siedzieli wyprostowani, a kiedy nie jedli, opierali nadgarstki o krawędź stołu. Żadne chrząkanie, nie mówiąc o mlaskaniu, nie mogło być tolerowane. Dozwolone były tylko najbardziej niezbędne, cicho wypowiedane słowa, takie jak „proszę bardzo” czy dziękuję”.

Wszyscy goście dziękowali Stwórcy, że nie ma z nimi Taran. Ona by tu sobie nie dała rady, ze swoim nieustannym szczebiotaniem i swoimi mało dyplomatycznymi komentarzami.

Kapitan miał wieloletnie doświadczenie, lecz jego szwagierki z największą trudnością poddawały się dyscyplinie. Zamiast słów wymieniały więc spojrzenia, a Rafael, który siedział obok Milly, czuł kolano sąsiadki tulące się do jego uda. Próbował się odsunąć, ona jednak działała tak zdecydowanie, że nic mu z tego nie wyszło. Pani pociła się z wysiłku, by zwrócić jego uwagę, on jednak trwał w uporze. Co go obchodzi ta wystrojona kukła, skoro naprzeciwko siedzi Wirginia i spuszcza nieśmiało wzrok za każdym razem, gdy Rafael na nią spogląda? Czyż to nie oznacza, że ona też ukradkiem spogląda w jego stronę?

Danielle również było trudno. Dokładnie naprzeciwko niej siedział kapitan von Blancke i najwyraźniej starał się wypróbować na niej swoje flirciarskie umiejętności. Sprawa tym bardziej podniecająca, że w tym domu przy stole było to najsurowiej zakazane, a także dlatego, że panienska taka onieśmielona i wreszcie również

dlatego, że obie szwagierki nie mogły ukryć wściekłości. Lilly w którymś momencie uderzyła demonstracyjnie widelcem o talerz tak głośno, że wszyscy aż podskoczyli.

Danielle nie była w stanie zrozumieć tego człowieka. Przecież właśnie dzisiaj dowiedział się o tragicznej śmierci żony. Co to za zachowanie?

Zresztą Danielle nie przywykła do męskiej adoracji. Znała dotychczas jedynie na wpół dorosłych chłopców, pryszczatych, o tłuszczących się włosach, którzy na ogół byli tak nieśmiali, że wprost żal jej się robiło, gdy na nich spoglądała. Kapitan zaś był mężczyzną doświadczonym, przyzwyczajonym do tego, że kobiety padały przed nim niczym muchy. Tak więc Danielle czuła się okropnie i nie wiedziała, gdzie podziąć oczy.

Nastrój nieco zelżał, kiedy do sali wszedł prefekt. Odmówił uprzejmie, kiedy zapraszano go do stołu, zażądał natomiast, by pozwolono mu obejrzeć pokój zmarłej pani kapitanowej, bo, jak powiedział, może znajdzie tam coś, co rzuci choć trochę światła na to całkiem niezrozumiałe przestępstwo.

Szeroka twarz pułkownika zrobiła się czerwona z gniewu.

- Nie chce pan chyba insynuować...

- Ja niczego nie insynuuję. Mogę tam pójść?

Rzecz jasna pozwolono mu. Jednak wszyscy dorośli domownicy bardzo się zdenerwowali, czy ich przypadkiem nie podejrzewa. Tylko Wirginia była za młoda, by rozumieć aluzje.

Kiedy prefekt wrócił, wstawano właśnie od stołu. Prefekt dyskretnie poprosił Villemanna o chwilkę rozmowy w cztery oczy.

Młody człowiek poszedł za nim z wypiekami na twarzy.

- Znalazłem coś, co może się okazać ważnym tropem - rzekł prefekt cicho. - Pani kapitanowa zaczęła pisać list, a potem wyrzuciła go do kosza na papiery. Najwyraźniej jednak chybiła, bo karta trafiła za stojącą w pobliżu szafkę.

Pokazał Villemannowi wygładzony papier. List nosił bardzo świeżą datę.

- Zniknęła tego samego dnia - szepnął prefekt. Kapitanowa zdążyła napisać tylko parę słów: Kochanie!

Co ja mam robić? Odkryłam w moim domu coś ohydneho. Popelniane tu Są takie grzechy, że nie można... Najwyraźniej nie była w stanie pisać dalej.

- Nie przypuszczam, by zdążyła napisać i wysłać inny list - stwierdził prefekt.

- Chyba nie. To jednak oznacza, że przestępcy należy szukać w tym domu - rzekł Villemann.

- Przez cały czas się tego spodziewaliśmy. To dlatego prosiłem państwa o pomoc i dlatego ostrzegłem, że muszą państwo być bardzo ostrożni. Polegam na was, bo mam wrażenie, że stoicie mocno na ziemi, i to pod wieloma względami.

O, gdyby pan tylko wiedział, jak mocno, pomyślał Villemann. I jakie siły mamy za sobą...

Głośno jednak powiedział w zamyśleniu:

- Przestępca musiał się domyślać, że żona kapitana coś wie.

- Tak. Proszę w to nie mieszać waszej siostry, ale wy wszyscy trzej próbujcie coś znaleźć, jak najdyskretniej, rzecz jasna. Postarajcie się dowiedzieć, co też mogła odkryć pani kapitanowa. Ale nie szukajcie za wszelką cenę, to by mogło być brzemienne w skutki.

- Będziemy się mieć na baczności. Ale, o ile rozumiem, w tym domu dzieje się to i owo - rzekł Villemann z grymasem. - Już moja siostra, Taran, i Uriel natknęli się na dość tanią, jak myślę, historię pomiędzy panem kapitanem a jedną z pokojówek. Jestem jednak zaskoczony, że pyta pan właśnie mnie, panie prefekcie. Naszym naturalnym przywódcą jest zawsze Dolg, zwłaszcza że zarówno on, jak i Rafael są ode mnie starsi.

- Młody Rafael chodzi z głową w chmurach. A Dolg... Rozumiem, że to wasz niepisany przywódca, ale... On mnie trochę przeraża. Nie bardzo się wyznaję na takich jak on.

„Na takich”, czyż o Dolgu, najlepszym z ludzi, można tak mówić?

Mimo wszystko jednak Villemann był też dumny z tego, że to właśnie on został wybrany.

Prefekt pożegnał się i wyszedł.

Noc zapadała nad ponurym domostwem rodziny von Blancke.

W jakiś czas potem Dolg otworzył bezgłośnie drzwi swojej sypialni i na palcach, cichutko zbiegł po schodach na dół.

10

Ledwo Rafael zdążył zasnąć, a natychmiast obudził go jakiś dziwny hałas.

Ponieważ hałas docierał do niego przez sen, nie potrafił go ani zidentyfikować, ani zlokalizować.

Gdy się ocknął, znowu wszystko trwało pogrążone w ciszy. Młody człowiek leżał z szeroko otwartymi oczyma i nasłuchiwał.

Mimo że dom był bardzo wysoki, stare, rosnące za oknem drzewo przesłaniało widok. Na dworze bardzo jasno świecił księżyc i wiał silny wiatr, więc gałęzie drzewa się kołysały i stukały delikatnie o dach. Chybotliwe cienie wypełniały pokój.

Jesień. Idzie ku zimie, myślał. Dobrze będzie wrócić do domu z zimnej Północy, mimo że bardzo lubię śnieg. Ale w górskich rejonach Austrii też jest dużo śniegu, a klimat w ogóle znacznie łagodniejszy niż na przykład w Norwegii.

Rafael przypominał sobie inne okolice, w górach szwajcarskich, a także inny dom: Virneburg.

Zadrzał na myśl o tym. Przypominał sobie tamtego chudziutkiego, drobnego chłopca, jakim wtedy był. Chłopca, który został zamknięty w wieży, a siostra, mała Danielle, nie miała do niego dostępu. Wszyscy jej mówili, że Rafael nie żyje.

Przykuto go łańcuchem do łóżka. Wciąż jeszcze miał brzydkie blizny nad kostkami. Rany nadgarstków były znacznie płytsze, bo tutaj kajdany nakładano tylko wówczas, gdy Rafael zachowywał się szczególnie niespokojnie i próbował się uwolnić.

Gdzie znajdowałby się dzisiaj, gdyby wtedy Taran, Villemann i Dolg nie przyszli do domu jego matki? I gdyby nie zjawiała się ich babcia, księżna Theresa, która zajęła się nim i jego siostrą, zabrała ich do siebie. Z pewnością on i Danielle już by dawno zmarli, bo przecież stanowili tylko kłopot dla wszystkich dorosłych w Virneburg.

Właśnie niedawno oboje się dowiedzieli, że żadne z ich prześladowców już nie żyje. Dzieci były całkiem wolne i bardzo szczęśliwe w swojej nowej rodzinie. Zresztą od dawna nie uważały tej rodziny za nową. Oboje należeli do niej, byli jej częścią. Nie znali też już innej matki poza Theresą i innego ojca poza Erlingiern, za nic na świecie nie chcieliby mieć innych rodziców. A towarzysze dziecięcych zabaw byli w jakimś sensie ich przyrodnim rodzeństwem, chociaż to sprawa dużo bardziej skomplikowana. Pod względem prawnym Rafael i Danielle byli ciotką i wujem trojga dzieci Tiril i Móriego, ale to wszystko nie miało najmniejszego znaczenia. Żadne rodzeństwo nie mogło dorastać w większej przyjaźni i harmonii niż piątka z Theresenhof.

Rafael zamknął oczy. W doświadczeniach Wirginii rozpoznawał swój los, swoje straszne dzieciństwo. Biedna dziewczynka, powinna już przestać cierpieć, podobnie jak to się stało z nim i Danielle. On musi ją wydostać z tego domu.

O, mógł jej dać tak wiele czułości! Takie piękne i bogate życie. Theresa i jej rodzina pozostanie dla niego dobrym przykładem. Życie Wirginii potoczy się tak samo jak jego.

Nagle znowu drgnął, gdy rozległ się jakiś głos, który nie wiadomo skąd pochodził. Po stronie, gdzie znajdował się pokój Villemanna, panowała cisza. Ale z drugiej strony, z tyłu za jego głową...

Gwałtowny rumieniec wypłynął na policzki Rafaela.

Mieszkająca po drugiej stronie korytarza Danielle również została obudzona przez jakieś hałasy, ale nie wiedziała, co to takiego. Czy ktoś wykonuje ćwiczenia gimnastyczne w środku nocy? Skacze na łóżku, czy robi coś podobnego? Słyszała rytmiczne skrzypienie, a potem przeciągły jęk. Odgłosy wydały jej się obrzydliwe, ale tamtych zdawało się to radować.

Po chwili wszystko ucichło i zmęczona Danielle ponownie zasnęła.

Rafael czuł głuchą złość i smutek. Czy nikt w tym domu nie cierpi z powodu śmierci kapitanowej? Próbował sobie przypomnieć twarz z portretu. Artysta musiał być świetnym psychologiem. Nadal jej wyraz niezadowolenia zgodny przecież z tym, co okazywała jedna z jej siostr. jeśli nawet żona kapitana była od niej ładniejsza, to na pewno nie była sympatyczniejsza ani bardziej radosna. Ale wiedziało tym tak niewiele, nie jego rzeczą było sądzić.

Cóż za odpychająca rodzina! Próbował sobie przypomnieć, kto mieszka w pokoju obok niego. W każdym razie nie Wirginia, wieczorem poszła dalej korytarzem, nie miał zresztą pojęcia, które są jej drzwi, bo zniknęła mu za zakrętem. Obok niego nie mógł mieszkać ani stary von Blancke, ani kapitan, ich pokoje znajdowały się w skrzydle za schodami. Chyba więc jedna z siostr, Lilly lub Milly, tylko tego mógł się spodziewać.

Sąsiednie drzwi otworzyły się ostrożnie. Ktoś wyszedł na korytarz.

Rafael zerwał się z łóżka i uchylił swoje drzwi. Zdążył jednak zobaczyć tylko jakąś męską postać znikającą za zakrętem, oddalającą się w stronę schodów. Dokąd ów mężczyzna udał się potem, nie mógł już zobaczyć.

Zegar w hallu na dole wybijał swoje uderzenia, których nikt nie słuchał. Wybił godzinę pierwszą. Potem drugą. I trzecią. Nastąpiła godzina wilka, którą w różnych okolicach wiąże się z różnymi porami. Niektórzy mówią, że wypada ona między trzecią a czwartą nad ranem, inni, że między czwartą a piątą, jeszcze inni, że między piątą a szóstą rano. W każdym razie jest to ta pora doby, kiedy ludzie są najsłabsi i kiedy światem rządzą złe moce.

Danielle, na wpół uśpiona, miała wrażenie, że znowu coś słyszy. Była zbyt zmęczona, by się obudzić, ale zdawało jej się, jakby ktoś się nad nią pochylał i przyglądał się jej. Trudno jej było rozstrzygnąć, czy śpi, czy czuwa, myśli jej się mąciły.

Ale czuła gniew. Więc pewnie był to koszmarne sen.

Z takim przekonaniem ponownie zapadła w sen.

Nie zdążyła jednak zasnąć głęboko. Wielokrotnie na wpół się budziła. Na koniec ocknęła się ostatecznie z nieprzyjemnym uczuciem, że natychmiast musi odwiedzić toaletę.

Danielle należała do tej licznej grupy kobiet, które cierpią z powodu wrażliwego na przeziębienia pęcherza. Zawsze tak było, żeby nie wiem, gdzie się znajdowała, w kościele, z wizytą, w podróży, gdzie załatwianie takich spraw wydawało się niemal niemożliwe, ona musiała koniecznie i bezzwłocznie udać się do toalety.

Dlatego tak bardzo nie lubiła nocować w obcych domach. I pierwsze, co robiła w nowym miejscu, to ustalała możliwości « wiadomej sprawie.

I teraz właśnie „musiała”, co do tego nie było najmniejszych wątpliwości. A to oznaczało, że trzeba wyjść na podwórze. W środku nocy. Nie, chyba już dniało, przez niewielkie mansardowe okno wpadał blady brzask, więc na dworze nie powinno być całkiem ciemno.

Ale co będzie, jeśli kogoś spotka? Poza tym na dworze pewnie jest zimno, a ona w samej nocnej koszuli...

Może powinna się ubrać? Nie, nie zdąży, czas zaczynał naglić!

Naturalnie, w pokoju musiał się znajdować nocnik, może pod łóżkiem albo pod umywalką czy w jakimś innym miejscu, we wszystkich domach wystawiało się przecież te naczynia na noc. Ale tym by się później musiały zająć służące, a Danielle była bardzo młoda i wstydliva.

Chcę wracać do domu, myślała rozżalona. Do bezpiecznego Theresenhof.

Leżała jeszcze chwilę czekając, że może się niedługo rozwidni.

Nie, to na nic, jeśli nadal będzie zwlekać, to naprawdę dojdzie do katastrofy. Opanowała wstyd i postanowiła zajrzeć pod łóżko.

Pochyliła głowę tak mocno, że włosami dotykała podłogi.

Pod łóżkiem jednak stały tylko jej własne buty.

Ale nagle poczuła, że o coś zaczepiła włosami, potrząsnęła mocno głową, szarpnęła, aż zabolęło, i zdołała się uwolnić.

Przyjrzała się uważnie, co by to mogło być.

Cała podłoga pod łóżkiem i jeszcze kawałek poza nim w stronę drzwi została jakby czymś posypana.

Niczego takiego tu nie było wcześniej, kiedy kładła się spać.

Co to jest?

Nie zastanawiając się, chwyciła to coś w rękę i natychmiast puściła.

Kolce?

Kolce dzikiej róży albo berberysu, albo jeszcze czegoś innego, po ciemku nie umiała określić. Ich koniuszki zdawały się kleić do rąk.

Danielle zapaliła stojącą na nocnym stoliku lampkę i oświetliła podłogę.

Tych dziwnych kolców było mniej, niż początkowo sądziła, lecz zostały tak ułożone, by absolutnie nie mogła ich wyminąć i musiała na nie nastąpić bosymi nogami.

I wszystkie zostały ustawione czubkami do góry.

Dlaczego? Dlaczego ktoś robi coś takiego? Dlaczego ustawia kolce na sztorc?

Z gardła przestraszonej dziewczyny wydobyło się stłumione wołanie o pomoc:

- Dolg! Rafael! Villemann! Ratunku!

Ponieważ Villemann mieszkał dokładnie na wprost jej pokoju po przeciwnej stronie korytarza, on usłyszał pierwszy i natychmiast pobiegł, nakładając po drodze spodnie, potknął się o nie, lecz zaraz znowu stanął na nogi. Tuż za nim zjawił się Rafael, który zajmował sąsiedni pokój.

Dolga jednak nie było.

Obaj chłopcy otworzyli drzwi do pokoju Danielle.

- Nie, nie wchodźcie - wyjąkała. - Na podłodze pełno jest kłujących kolców. Spróbujcie wydostać mnie stąd przez okno.

- Kolców? - zapytał Rafael zdumiony. - Ale przecież kolce nie są niebezpieczne.

- One zostały w czymś zanurzone. Nie dotykajcie ich!

- Co ty wygadujesz? Ja wprawdzie nie widzę wyraźnie, co jest na podłodze, ale przecież...

- Chodź - przerwał mu Villemann. - Musimy wydostać stąd Danielle inną drogą.

- Którędy? Przez dach?

Danielle szepnęła zdyszana:

- Za moim oknem nie ma dachu, tylko wąskie przejście.

- Balkon?

- Nie, raczej coś w rodzaju gzymsu. Moglibyście na to wejść?

- Postaramy się - odparł Villemann.

Zniknęli obaj, Danielle natomiast wpatrywała się lękliwie w drzwi. A gdyby tak ktoś teraz wszedł? Ktoś, kto chciałby jej wyrządzić krzywdę.

Nie wychodząc z łóżka przysunęła do siebie krzesło, po czym włożyła majtki, pończochy i buty. Więcej nie zdążyła, bo rozległo się ciche pukanie w szybę. Zaniepokojona, że musi bardzo dziwnie wyglądać w nocnej koszuli i w butach, wzięła sukienkę i resztę ubrania pod pachę i stanęła na łóżku. Z wielkim wysiłkiem dotarła do okna. Wyglądało na to, że nikt go od bardzo dawna nie otwierał, bo ramy sprawiały wrażenie sklejonych.

Okienko było nieduże i umieszczone wysoko. Ale życzliwe ręce pozwoliły jej się wydostać na zewnątrz.

O mało nie pacnęła całym ciężarem i niezbyt pięknie na szeroki gzyms pod oknem, ale Villemann był bardzo ostrożny i delikatny, tak że wyszła elegancko i z godnością. Dach był z tej strony w dużej części porośnięty dzikim winem. Danielle wpadła w objęcia Villemanna, a on podtrzymywał ją delikatnie i cicho pocieszał.

Nie miała serca, żeby go odepchnąć, zresztą wcale też nie miała na to ochoty.

- Powinniśmy byli zabrać jeden z tych kolców - powiedział Rafael. - Jakoś o tym nie pomyślałem.

- Nigdy w życiu nie odważyłabym się podnieść tego z podłogi - zadrżała Danielle. - One były takie... groźne.

Villemann bardzo ostrożnie wyjął coś z jej włosów.

Proszę, tutaj masz jeden. Nie, nie dotykaj tego, Rafaelu! Najpierw trzeba to dokładnie zbadać. Masz rację, Danielle, one zostały czymś wysmarowane. I dlatego ten przylepił się do twoich włosów.

Powąchał kolec.

Wypuścił już Danielle z objęć, a ona nieoczekiwanie poczuła się bardzo samotna.

Villemann stał się ostatnimi czasy bardzo dorosły. Ale jakże on się zachwycił małą Wirginią!

Co tam, nic mnie to nie obchodzi. Ja mam Dolga. Co ja sobie właściwie wyobrażam?

Och, jaka straszna samotność!

Przez cały czas bardzo uważali wszyscy troje, by nie podnosić głosu, porozumiewali się szeptem.

- Przeczolgaliliśmy się tamtędy - powiedział Rafael. - Żeby nas nikt nie zobaczył z okien. Z powrotem też będziemy musieli się czolgać.

Nie było to wcale łatwe, w nocnej koszuli, ze zwiniętym w węzełek ubraniem pod pachą, który trzeba było mocno trzymać. Zwróciła uwagę na to, że obaj chłopcy są bez butów. Żeby też ona była taka mądra! Ale nie, a teraz jej buty stukają o podłogę i musi iść na palcach. Tylko że trudno wybierać, niesienie butów też w tych warunkach nie jest niczym łatwym, a wracać do pokoju za nic nie chciała. Nigdy w życiu! Zabrała więc ze sobą swoje rzeczy.

Po chwili znaleźli się w górnym hallu i Villemann szepnął bardzo, bardzo cicho:

- Idziemy do mojego pokoju. Zdaje mi się, że jest największy.

Rafael skinął głową. I właśnie w tej chwili zobaczyli jakiś cień na schodach. Ktoś szedł na górę.

Danielle instynktownie złapała Villemanna za ramię tak mocno, że aż musiał opanować jęk, nie chciał jej zrazić akurat teraz, kiedy zwróciła na niego uwagę.

- To Dolg - szepnął zdławionym głosem. Obdarzonemu poczuciem humoru Villemannowi cała ta sytuacja, w której się znalazł, wydała się zabawna, więc roześmiał się cicho.

Zaczekali na brata i przyjaciela, on zaś przyglądał im się, niczego nie pojmując.

Rafael wyjaśnił półgłosem:

- Ktoś chciał zrobić krzywdę Danielle. Teraz przemykamy się do pokoju Villemanna.

- Nie - zaprotestował Dolg. - Chodźcie do mnie, tam nikt nam nie będzie przeszkadzał.

Poszli za nim na koniec skrzydła, w którym najwyraźniej nikt inny nie mieszkał. Zdawali sobie sprawę z tego, że znajdują się teraz nad wielkim salonem.

Zamknęli za sobą drzwi. Wszyscy czworo rozsiedli się na ogromnym łóżku Dolga, Danielle zrzuciła buty na podłogę. Czuła się znakomicie, siedząc z podciągniętymi kolanami, oparta o ścianę pomiędzy Villemannem i Dolgiem, który ulokował się w narożniku łoża. Rafael opierał się o poduszki przy wezłowniu. Danielle z zadowoleniem poruszała palcami stóp. Nareszcie bezpieczna, nareszcie! A wizyta w toalecie? Dawno zapomniała o takiej potrzebie.

Villemann i Rafael opowiadali Dolgowi, co się stało.

- Dobrze, że zabraliście chociaż jeden kolec - rzekł Dolg ponuro. Kolec leżał teraz na jego nocnym stoliku. Żadne z nich nie odważyłoby się trzymać go w ręce ani schować do kieszeni. - Oddamy go prefektowi.

- Prawdopodobnie są to całkiem zwyczajne kolce i żadnej trucizny na nich nie ma - rzekł Rafael. - A poza tym, dlaczego ktoś miałby krzywdzić Danielle?

- Też się nad tym zastanawiam - westchnął Dolg. - Ale nie zgadzam się z tobą. Uważam, że kolce zostały w czymś zanurzone. Może w czymś tak banalnym, jak środek nasenny?

- Dlaczego ktoś miałby chcieć uspić Danielle? - zastanawiał się Villemann.

Dziewczyna się zamyśliła.

- Wcześniej w nocy słyszałam jakieś hałasy...

- Ja też - wtrącił Rafael bardzo zadowolony, że w pokoju jest ciemno. - Ten, kto mieszka obok mnie, nie wiem, kto to jest, miał w nocy gościa. Kiedy wychodził, wyrząłem na korytarz, ale zdążyłem tylko zobaczyć jakąś postać idącą w stronę schodów. Czy widziałeś, Dolg, kogoś schodzącego na dół?

- Nie - odparł zapytany. - A musiałbym widzieć, bo miałem przez cały czas hall na widoku.

Spojrzeli na niego pytająco, ale nie otrzymali żadnych wyjaśnień, czym się tam zajmował.

- Tak, tylko że nocny gość mógł pójść korytarzem po tamtej stronie schodów - zauważył Villemann.

- Nie - zaprotestował Rafael stanowczo. - Ja na pewno słyszałem kroki na schodach.

Na chwilę zaległa cisza.

- Na schodach dla służby - powiedziała nagle Danielle. - Ktoś musiał wchodzić na strych.

- Oczywiście! - potwierdził Dolg. - Danielle, jesteś genialna!

Po raz pierwszy w życiu ktoś nazwał ją genialną, wchłaniała więc w siebie ten komplement jak zwiędły kwiat wodę.

- W takim razie wiemy też, kto to mógł być, prawda?

- rzucił Villemann.

- Oczywiście. Ech! - Rafael skrzywił się.

- A poza tym ja wiem, kto mieszka w pokoju obok

- szepnął Villemann. - To jedna z sióstr. Chyba ta, która ma na imię Milly, ta pulchna. Czyli ta uważana za ponętą. Chociaż moim zdaniem to wymalowana lala.

- Żona kapitana nie powinna była sprowadzać tutaj swoich sióstr - rzekł Rafael. - Co prawda, to prawda. Wygląda na to, że jeśli chodzi o mężczyzn, to obie panie są wszystkożerne. I tak dobrze, że nie rzuciły się na nas! Chociaż jedna próbowała na mnie przy stole naprawdę ordynarnych sztuczek. Nie odważyła się jednak na otwarty atak.

- Tak myślisz? - zapytał Villemann cierpko. - Wieczorem ktoś się dobijał do moich drzwi, ale na szczęście zamknąłem je na klucz. Pytałem, czy to może ty, Danielle, ale usłyszałem tylko pospieszne oddalające się kroki i szelest sukni. Więc musiała to być kobieta.

- Ja przecież nie przychodzę nocami do twojego pokoju - oburzyła się Danielle.

- Nie, rzeczywiście, niczego takiego nie robisz - bąknął Villemann.

Danielle usłyszała w jego głosie smutek i pożałowała swego nie kontrolowanego wybuchu.

- Ale dlaczego chcieli zaatakować Danielle? - zastanawiał się Rafael. - Naprawdę nie ma po temu żadnych powodów. Dziewczyna zamyśliła się.

- A może... - powiedziała po chwili z wahaniem. - Przy stole kapitan uwodził mnie bez najmniejszej żenady.

- Tak, ja też zwróciłem na to uwagę - przyznał Villemann.

- No właśnie. I obie siostry posyłały mi mordercze spojrzenia. Wydawało mi się to śmieszne, ale one były naprawdę złe na mnie.

Villemann skinął głową.

To oczywiste, że nie życzą tu sobie żadnych rywalek! Widzieliście przecież wszyscy, jak się to skończyło z żoną kapitana.

Danielle zadrżała.

Rafael starał się skierować rozmowę na inne tory.

- Dolg... Bardzo byśmy chcieli wiedzieć, gdzie byłeś? Jeśli możesz nam powiedzieć, rzecz jasna.

Głos Dolga zabrzmiał ciepło i serdecznie.

- Oczywiście, że mogę! Jesteście przecież moimi najlepszymi przyjaciółmi. Oprócz was mam jeszcze tylko Taran i Uriela, a poza tym sprawa dotyczy nas wszystkich.

Usiedli wygodniej, gotowi słuchać. Danielle okryła stopy kołdrą, ściągając ją zdecydowanie ze swego brata, on jednak pociągnął okrycie z powrotem w swoją stronę.

- Ty masz pończochy - powiedział. - A ja jestem bosy.

Villemann okazał się gentlemanem i tak wszystko urządził, by obojgu było ciepło. Własną marynarką okrył też ramiona Danielle.

Dziękuję ci - szepnęła. - Teraz będzie mi naprawdę dobrze. Nocna koszula jest jednak bardzo cienka. Dolg zaczął opowiadać.

11

- Bardzo żałuję, że nie miałem czasu dokładniej przyjrzeć się ludziom w tym domu - zaczął Dolg swoim niskim, łagodnym głosem, który Danielle zawsze tak kochała. - Zajęty byłem czym innym.

Kiwali głowami. Danielle widziała w bladym świetle wczesnego poranka jego pięknie wyrzeźbiony profil. Był tak urodziwy, że sprawiało jej to ból. Dolg mówił dalej:

- Już w pierwszej chwili, kiedy weszliśmy tutaj, poczułem, że jest w tym domu coś, co mnie wciąga i wabi.

- Widzieliśmy to - przyznał Villemann. - Kiedy staliśmy w hallu na dole, miałeś ten swój dziwny wyraz twarzy.

- Tak. Czuję, że coś jest... Nie, nie wadliwe, ale właśnie takie jak powinno.

- Co? - zdziwił się Villemann. - Mnie się zdawało, że wszystko jest na opak w tym prze...

- Nie przeklinaj, Villemann - upomniął go Rafael. - Pozwól Dolgowi mówić!

Dolg uśmiechnął się blado.

- Rozumiem reakcję Villemanna i myślę, że wszyscy ją podzielacie, prawda? Ale ja nie miałem na myśli ludzi. Villemannie... Wyjmij szafirową kulę!

Młodszy brat Dolga nie ruszał się ostatnio nigdzie bez wielkiego szafiru. Taran powiedziała kiedyś, że on go zabiera nawet udając się na stronę, co wprawiło Villemanna w złość i mówił wtedy, że skoro Dolg powierzył kamień jego opiece, to on go będzie strzegł w każdych okolicznościach. Gotów jest oddać za niego życie! „No, miejmy nadzieję, że nie będziesz musiał poświęcać życia w takim miejscu jak wygodka” - dokuczała mu Taran. „Co najwyżej wpadniesz do dziury. Albo nabawisz się zatwardzenia”. Po tej rozmowie Villemann był długo obrażony. Później jednak zapomniało wszystkim.

Teraz wyjął wielki szafir ze skórzanego woreczka, który nosił zawsze u pasa. Wydobył drogocenny klejnot. Ale...?

- Oj! - jęknęło troje z obecnych.

- Jest tak, jak myślałem - dodał czwarty, czyli Dolg, łagodnym głosem.

Kamień jaśniał i skrzył się w mroku. Pulsował płomiennie, otoczony migotliwą aureolą światła.

- Schowaj go - polecił Dolg Villemannowi, który natychmiast to wykonał. Ułożył klejnot ostrożnie w wyścielonej aksamitem sakiewce i jak poprzednio ukrył pod ubraniem.

Dolg pochylił się ku przodowi.

- Rozumiecie chyba, że znaleźliśmy się tutaj nie przez czysty przypadek. To nie my sami odkryliśmy to miejsce i nie z własnej woli tu przybyliśmy.

- Co ty mówisz? - zdziwił się Rafael.

- Tak jest. Zaraz usłyszycie coś więcej. Przez cały wieczór byłem bardzo niespokojny, a potem nie mogłem zasnąć. Wymknąłem się więc z tego oto pokoju i wyszedłem na schody. Żeby się rozejrzeć. Nie dosłownie, rzecz jasna, chociaż ja dość dobrze widzę w ciemnościach, to najlepsza cecha moich dziwnych oczu. W każdym razie ciemna noc nie pozbawia mnie zdolności widzenia. I poszedłem za czymś, co mnie do siebie wzywało.

Głęboko wciągnął powietrze.

- Nie znalazłem tego, usiadłem więc w wygodnym fotelu w tutejszej wspaniałej bibliotece. Miałem stamtąd widok na hall i dlatego mogę z całą pewnością stwierdzić, że nikt nie chodził po schodach. Ktoś jednak przyszedł...

- Przyszedł? Skąd? - zapytał Villemann szeptem. - Znikąd. To był Cień.

- Aha - szepnął znowu Villemann.

- Usiadł w fotelu naprzeciwko mnie. Ja przecież wiem, że on nie ma zwyczaju siadać, domyślałem się więc, że sprawa zabierze nam sporo czasu. Przywitałem się z nim i powiedziałem, jak bardzo się cieszę, widząc go znowu, bo rzeczywiście tak było. Minęło przecież wiele miesięcy od ostatniego, spotkania. W drodze z Norwegii do domu musieliśmy radzić sobie sami, dokładnie tak jak duchy przepowiedziały.

- No, jak dotychczas robiliśmy to nieźle - odważyła się wtrącić Danielle.

- Masz rację - Dolg uśmiechnął się do niej. - Otóż i Cień powiedział mi, że nasi rodzice i reszta towarzystwa ma się dobrze pod opieką pewnego człowieka, który nazywa się Bonifacjusz Kamp czy jakoś tak, a jest przyjacielem prefekta i naprawdę porządnym człowiekiem. Tak że o naszych bliskich nie musimy się martwić.

- Dobrze to wiedzieć - rzekł Rafael z westchnieniem ulgi. Dolg zaś dodał:

- Tak, tylko że oni niepokoją się o nas i dlatego jutro rano któreś z nich tu przyjdzie. Ktoś z naszych krewnych, nie przedstawiciel duchów.

- No dobrze, a co z Cieniem? Czego on od ciebie chciał? - niecierpliwił się Villemann.

No więc powiedział, że to on i duchy skierowały Taran i Uriela ku rzece, od tamtej strony, tak by mogli odkryć przy brzegu zwłoki kobiety w wodzie. Dzięki temu uzyskaliśmy wiarygodny powód do odwiedzenia domu pułkownika von Blancke.

- A dlaczego to było takie konieczne?

- Ponieważ właśnie tutaj znajduje się ważny trop wiodący do Świętego Słońca i jego tajemnicy.

- Niemożliwe! - zawołał Villemann. - Zdażyłeś już coś znaleźć? A może Cień ci powiedział, o co dokładnie chodzi? Powiedział ci, gdzie się to znajduje?

- Odpowiedź na twoje pytania jest jedna i brzmi: Nie! No, może w związku z tym ostatnim „gdzie?” udzielił mi pewnych wskazówek, poza tym jednak był bardzo tajemniczy.

Gdzieś na piętrze głównego budynku trzasnęły jakieś drzwi i po chwili poprzez szum drzew na dworze doszedł do nich krzyk czy może raczej przeciągłe wycie.

Rafaël zadrżał.

- Cóż to za okropny dom! Musimy stąd zabrać jak najszybciej małą Wirginię.

- Tak jest! - potwierdził Villemann z taką stanowczością, że Danielle poczuła ssanie w dołku.

- A poza tym, Dolg - rzekł znowu Rafaël. - Czy oglądałeś czerwony kamień? Czy on też tak promieniuje?

- Nie oglądałem, ale z nim nic się na pewno nie dzieje. Przecież to tylko szafir wskazuje, że w pobliżu znajduje się coś, co ma związek z tajemnicą Świętego Słońca. Coś, co może nam pomóc, pozwolić nam zrobić krok naprzód. Czerwony kamień tylko ostrzega.

- Dobrze, ale mimo to popatrz na niego teraz - poprosił Villemann.

- Czemu nie? - uśmiechnął się Dolg i wyjął z futerału czerwony farangil. - Ale, co to...? Miałeś rację, Rafaëlu! Kamień wysyłał ciemnoczerwone, pulsujące fale światła.

- Ostrzega nas - rzekł Dolg cicho.

- Przed tym, czego szukasz?

- Nie, nie! Cień powiedział wyraźnie, że bardzo ważne jest, bym to znalazł. Nie, promieniowanie czerwonego kamienia oznacza na ogół obecność któregoś z członków rycerskiego zakonu... Ale to przecież niemożliwe.

- Moim zdaniem farangil ostrzega nas przed złem panującym w tym domu - oznajmił Rafaël. - Mogliśmy się przecież sami przekonać, że ktoś chciał zrobić krzywdę Danielle.

- Masz rację, to był bardzo zły postępek - zgodził się Dolg. - Ale nie musi to oznaczać nic więcej, jak tylko chęć dokuczenia malej Danielle. Stąpienie po ostrych kolcach nie

należy do przyjemności, ale wciąż nie wiemy przecież, jak poważne niebezpieczeństwo jej groziło.

- Nie wiemy, czy kolce zostały zanurzone w czymś trującym, tak?

- Tak, ale to już nie nasza sprawa. Zajmie się tym prefekt. Danielle przerwała im trochę zniecierpliwiona: - Ale co ci powiedział Cień, Dolgu?

- No cóż, wyrażał się dość ogólnikowo - przyznał Dolg z jednym ze swoich najcieplejszych uśmiechów, które pojawiały się na jego wargach tak rzadko, że wszyscy w rodzinie za nimi tęsknili. - Ale dobrze, opowiem wam.

I zaczął zdawać przyjaciółom sprawę z tego, co przeżył ostatniej nocy.

Siedział więc Dolg w fotelu naprzeciwko swego opiekuna i zapytał, gdzie znajduje się ten jakiś wątek, który może ich naprowadzić na trop tajemnicy Świętego Słońca.

Nie, tak łatwo tego nie odnajdziecie - odpowiedział Cień i Dolg dostrzegł na jego zawsze tak surowej twarzy wyraz rozbawienia. Od czasu bowiem, kiedy wielki opiekun Dolga mógł potrzymać cudowny szafir, jego rysy stały się dużo wyraźniejsze, w ogóle cała postać wylaniała się na tyle z mroku, że był już bardziej człowiekiem niż cieniem. - Wiesz dobrze, Dolgu, że my przez cały czas udzielaliśmy wam najróżniejszych wskazówek, kierowaliśmy was w odpowiednią stronę, jeśli tak mogę powiedzieć. Więcej nam nie wolno i, szczerze mówiąc, więcej też nie możemy. Zresztą więcej wam przecież nie obiecywaliśmy. Bo nie należymy już do świata żywych. Niektórzy z nas, jak na przykład Nidhogg i Zwierzę, a także panie wody i powietrza nigdy nie zaznali ziemskiego życia. Są oni jedynie wyobrażeniami postaci. Tak czy inaczej nie jesteśmy w stanie dotrzeć do Świętego Słońca. Może to uczynić jedynie żyjąca istota. Nam pozostaje więc tylko czekać i mieć nadzieję, że się wam, szczególnie zaś tobie, poszczęści.

Dolg widział, jak nieprawdopodobnie wielu ich było i jak wielką mieli nadzieję. Wiele duchów należących do wielu różnych kategorii.

Powiedział łagodnie:

- Z pewnością wiesz, mój przyjacielu występujący pod postacią ducha, że my sami szczególnie nie pragniemy dotrzeć do Świętego Słońca. Zdajemy sobie jednak sprawę z tego, jak wiele to znaczy dla was.

- Bardzo wiele. Dużo więcej niż możesz pojąć. Dolg skinął głową.

- A zatem to, co znajduje się w tym domu, może nas posunąć dalej w naszych poszukiwaniach?

- Tak. Jeśli w ogóle rozumiesz, co to wszystko znaczy.

- Masz na myśli, że czeka nas jeszcze więcej zagadek i tajemnic?

- Właściwie nie. Jedynie pogłębienie zagadki, którą już sformułowaliście. Powiedzmy, że jak dotąd znalazłeś połowę odpowiedzi.

- Dzięki - rzekł Dolg cierpko.

Rozejrzał się wokół.

- Skoro zostałem „wciągnięty” do tej biblioteki, to przypuszczam, że owo „pół odpowiedzi” znajduje się gdzieś tutaj?

- Masz rację.

- Czy to księga?

- I tym razem masz rację.

- Bardzo stara księga?

- Nie, wprost przeciwnie! Całkiem nowa.

Kto w tym domu interesuje się literaturą?

- Tego nie wiem.

- Cóż, kapitan to z pewnością nie. On jest pusty w środku niczym elegancki kosz na śmieci. Siostry nieboszczki kapitanowej też nie, bo one mają w głowach tylko jedno, a sądząc po portrecie nie przypuszczam też, że sama kapitanowa miała tego rodzaju potrzeby. Nie, to musi być ów groźny pułkownik.

- Ludzie mieszkający w tym domu nic nas nie obchodzą. Tylko książka. Oni może nawet wcale nie wiedzą, że mają ją na swoich półkach.

- Skoro książka jest nowa, to musi znajdować się w kraju więcej egzemplarzy. Dlaczego mamy szukać akurat tej?

- Nie zbliżyliście się jeszcze do żadnego egzemplarza. Dopiero teraz.

Dolg uśmiechnął się pod nosem.

- Nie muszę chyba w tej sytuacji pytać, czy to przypadkiem nie ty doprowadziłeś do tej awantury na granicy? Żeby nas zatrzymać w tym mieście.

- Nie, nie musisz pytać - odparł Cię z krzywym uśmiechem. - Ale nie, to nie my. Awantury ludzie wznecają sami i robią to dużo lepiej. Przyznać jednak muszę, że bardzo nam to odpowiadało.

Dolg wstał.

- Czy mógłbym już teraz zacząć szukać? Może udzielisz mi jakiejś wskazówki?

- Niestety...

- Rozumiem.

Tak więc Dolg musiał błądzić po omacku.

- Jest za ciemno, nawet nie widzę tytułów.

- Nie przejmuj się tytułami. Znajdziesz, co trzeba, ale poczekaj do jutra!

Dolg znowu został sam. Przez chwilę stał bezradny, nie wiedząc, co począć, a potem wszedł schodami na górę, gdzie spotkał troje swoich wzburzonych przyjaciół.

- Aha - rzekł Rafael. - Więc to było tak. A teraz wszyscy razem znajdujemy się tutaj. I wcale nie jesteśmy mądrzejsi.

Dolg wyprostował plecy.

- Teraz powinniśmy chyba jednak trochę odpocząć. Potem rozdzielimy między siebie zadania. Ja będę szukał tej tajemniczej książki. Villemann, ty pomożesz prefektowi w ustalaniu, kto zamordował żonę kapitana, i zadbasz, by zostały zbadane ciernie z pokoju Danielle. Ty, Rafaelu, będziesz musiał zabrać z tego domu małą Wirginię!

- Ale szczęściarz! - rzekł Villemann z zazdrością. - Może byś się zamienił?

- O, nie, nie! - zawołał Rafael. - Zajmij się swoimi mordercami!

Danielle skuliła się na łóżku. Czuliła się jeszcze mniej ważna niż kiedykolwiek.

Nie miała sumienia złościć się na nieszczęsną dziewczynkę, ale z trudem opanowywali chęć rzucenia się z pięściami na Villemanna.

Zanim zdążyła się zastanowić nad swoją reakcją, Dolg zwrócił się do niej:

- A ty, Danielle, musisz się trzymać z daleka od wszystkich domowników, zanim nie dowiemy się czegoś więcej o nieprzyjemnej nocnej wizycie w twoim pokoju.

- Ja nie zamierzam wracać do mojego pokoju - powiedziała Danielle, starając się, by jej głos brzmiał gniewnie, lecz wypadło to blado i piskliwie.

- Oczywiście, że nie musisz tego robić. Chłopcy, wy pójdziecie do jej pokoju, Danielle zostanie u mnie.

Serce dziewczyny zaczęło bić radośnie. Dolg chce, żeby została z nim! Czy słuch jej nie myli?

- Nie odważyłbym się ciebie stąd wypuścić - dodał Dolg. - Chcę nieustannie mieć cię na oku. Możesz zając moje łóżko, ja będę spał na kanapie.

Nie należał do rzadkości fakt, że chłopcy i dziewczęta w czasie podróży dzielili sypialnie. Dochodziło do tego często, bo w przydrożnych gospodach nie zawsze było tyle miejsca, ile by sobie życzyli. Teraz jednak Danielle uważała, że to coś całkiem innego, Dolg chce zatrzymać ją przy sobie, nigdy przedtem nie byli sami, w każdym razie nie w ten sposób, nie spali w tym samym pokoju.

Wyobraźnia Danielle była niewinna i czysta niczym świeży śnieg. Dla niej mogli spać obok siebie w jednym łóżku, nawet bardzo by tego chciała, bo czułaby się znacznie bezpieczniejsza w tym ponurym domu, mogąc objąć Dolga i przytulić się do niego. Ale, rzecz jasna, nie mogła tych swoich pragnień wypowiedzieć głośno. To nie leżało w jej naturze. Urodziła się jako istota nieśmiała i pozbawiona pewności siebie, okrutna tyrania pierwszych wychowawców wcale sprawy nie poprawiła, a fakt, że przybrana matka, księżna Theresa, była wierzącą katoliczką, przyczynił się jeszcze bardziej do pogłębienia w dziewczynie takich cech, jak powściągliwość, skłonność do podziwiania stanowczego charakteru innych ludzi i uleganie wpływom.

A Dolg? Nie, on w ogóle nie myślał o nowej sytuacji w ten sposób. Było sprawą naturalną, że oddaje jej swoje łóżko. W pewnym sensie Dolg był równie cnotliwy jak Danielle. Różnica polegała na tym, że o ile Danielle nie podejrzewała istnienia tej strony życia, to Dolg miał świadomość siły erotyzmu i wszystkiego, co kształtuje stosunki między mężczyzną i kobietą. Jego to jednak w żadnej mierze nie dotyczyło.

Niekiedy miewał wrażenie, że coś traci, ale z drugiej strony wydawało mu się czymś bardzo męczącym i trudnym być w kimś zakochanym. W stosunkach pomiędzy dwojgiem zajętych sobą ludzi dominowały podejrzliwość, niepewność, brak stabilizacji.

W gruncie rzeczy mógł uważać się za szczęśliwca, że go to omija.

Pogłaskał po policzku dziewczynę, która leżała skulona na jego łóżku i w coraz jaśniejszym świetle poranka wpatrywała się w Dolga ogromnymi oczyma.

Mała Danielle! Zdawała się o tyle słabsza od reszty „rodzeństwa”! Życie w Virneburg jej chyba dało się najbardziej we znaki, wydawało się, że nadal nie może uwierzyć, iż

jest coś warta i że wszyscy ją kochają. Jako dziecko miała zwyczaj przytulać się mocno do Theresy i Erlinga, jakby chciała „wycisnąć” z nich czułość i troskliwość. Dolg pamiętał, że zawsze chodziła za resztą dzieci milcząca, pełna podziwu dla wszystkiego, co robiły, i przestraszona, że każą jej odejść. Nigdy nic takiego nie miało miejsca, ale jeśli Dolg miałby być szczery, to często zapominali o jej istnieniu.

O, bardzo dobrze wiedział, że Danielle go uwielbia. On jednak starał się okazywać jej obojętną życzliwość, żeby jej nie odpychać, ale też nie budzić w niej niepotrzebnych nadziei. Ale było z nim tak, jak to kiedyś złośliwie powiedziała Taran, gdy uwielbienie Danielle stało się aż nazbyt widoczne: „To chyba trudne być aż tak kochanym!”

Tak rzeczywiście jest. Zwłaszcza jeśli człowiek nie potrafi odwzajemnić uczucia.

Poczuł skurcz serca z żalu. Wiedział zresztą, że jego młodszy brat zawsze był bardzo zajęty Danielle. Nie chciał, by Villemann cierpiał, był na to za dobry.

Przed cierpieniami miłości zachowaj nas, Panie, modlił się w duchu, przekształcając starą łacińską modlitwę mieszkańców Europy, przerażonych napadami wikingów, zaczynającą się od słów: „A furore Normanorum...”, czyli: „Od wściekłości Normanów zachowaj nas, Panie!”

Skulił się na kanapie i okrył dokładnie kocem. Roześmiał się cicho, gdy Danielle wyszeptała nieśmiało „dobranoc”.

- Może raczej powinniśmy sobie życzyć dobrego poranka? - mruknął.

Odpowiedziała mu uśmiechem i skuliła się jeszcze bardziej.

Dolg myślało szafirowym kamieniu, o tym, jak pięknie jaśniał ostatniej nocy, by pokazać, że w tym domu istnieje jakiś ślad, który być może doprowadzi ich do Świętego Słońca. Cofnął się myślami w czasie i z dumą wspominał tamtą noc, kiedy jako dwunastoletni chłopiec znalazł ten klejnot. Przypominał sobie, jak mocno wtedy kamień promieniował, jakie wibrujące światło z niego emanowało. On sam był przyczyną tego światła. On był drogą do celu.

Z tą cudowną myślą zasnął.

Wkrótce jednak raz jeszcze wyrwał go ze snu krzyk w głębi domu. Kto krzyczy tak przejmująco po nocy? Zastanawiał się.

Głębokie, głuche wołanie i zdawało mu się, że docierają do niego ordynarne słowa i przekleństwa, ale może to tylko złudzenie. Dolg odnosił wrażenie, iż mimo ordynarnego brzmienia jest to głos kobiety, która krzyczy z wściekłości. To chyba któraś ze służących, bo przecież inne panie miały delikatne, łagodnie brzmiące głosy. Może kogoś dręczą ponure sny?

Ktoś łomotał gniewnie w ścianę, by zmusić krzyczącą do milczenia, ale wywołało to jedynie nową falę przekleństw. Dolg ich, rzecz jasna, nie rozumiał, ale domyślał się z tonacji, że to obelgi. Nie, o koszmarnym śnie nie może tu być mowy.

Co się dzieje w tym domu? zastanawiał się. Niewierność, zaniedbywanie dziecka, zazdrość, wyuzdanie, które nawet on zauważa, morderstwo...

Wszystko naraz w jednym domu.

Gdzie kryje się źródło aż takiego zła?

Krzyki umilkły.

Dolg z westchnieniem ulgi ułożył się wygodniej. Trudno, teraz przynajmniej widzieli już i słyszeli wszystko, nic gorszego przytrafić się nie może.

Ale, oczywiście, mogło. To był dopiero wstęp.

CZĘŚĆ TRZECIA

DOM HAŃBY

12

Następny dzień był dniem ważnych wizyt.

Tak, pierwszy przybył prefekt, ale nie robił z tego wielkiej sprawy. miał co innego na głowie, niż zastanawiać się, jakie wyrze wrażenie.

Zebrali się w pokoju Dolga, czworo gości w domu państwa von Blancke oraz prefekt. Było przedpołudnie po zjedzonym w sztywnej i nieprzyjemnej atmosferze śniadaniu, podczas którego jedynym sympatyczniejszym zjawiskiem było jawne uwielbienie, jakie Rafael okazywał malej Wirginii i jej nieśmiałe uśmiechy posyłane mu w odpowiedzi. Wyglądało na to, że większość mieszkańców domu ma za sobą trudną noc.

Żadne inne imię nie pasowałoby tak dobrze do młodziutkiej wnuczki pułkownika jak właśnie Wirginia, co przecież oznacza dziewiczość.

Villemann oznajmił z najwyższym szacunkiem, że on i jego rodzeństwo nie powinni już więcej nadużywać gościnności tego domu, co spotkało się z gwałtownymi protestami i zapewnieniami, że nikomu nie przeszkadzają. Wprost przeciwnie, mała Wirginia rozkwita w ich obecności, a wszyscy inni cieszą się bardzo z tak młodego towarzystwa.

Śniadanie, dzięki Bogu, jakoś minęło i goście znaleźli się nareszcie sami.

Prefekt uniósł do światła niewielki cierń i długo obracał go w palcach. Czworo młodych przyglądało mu się z szacunkiem, co zdawało się sprawiać mu przyjemność.

Milo było uwolnić się od żelaznej, narzuconej przez pułkownika dyscypliny przy jadalnym stole i znaleźć się w pokoju wespół z tym sympatycznym prefektem.

Policjant powąchał ostrożnie cierń i zmarszczył czoło.

- Cuchnie podejrzenie trucizną na szczury, którą moja matka ma zwyczaj wykladać w piwnicy - stwierdził z grymasem. - Poproszę mego przyjaciela, specjalistę w takich sprawach, by go dla mnie zbadał, wydaje mi się jednak, że... Przypominam sobie, że mój ojciec używał też tego jako trucizny na lisy. Bardzo skuteczny środek, jeśli to rzeczywiście ten sam, który mam na myśli, nie wiem tylko, jak się nazywa.

Dolg przerwał mu:

- Ale czy trucizna na szczury to nie jest środek działający wewnętrznie? Czy może też działać, kiedy przedostanie się do krwi na przykład w wyniku skaleczenia?

- Nie wiem. Nie przypuszczam też, by ktoś w tym domu znalazł się na takich sprawach. Zakładano chyba jednak, że tak czy inaczej trucizna spełni swoje zadanie. Panno Danielle, niech pani dziękuje Stwórcy, że zajrzała pani pod łóżko i odkryła te ciernie!

Na twarzy Danielle pojawił się rumieniec. Będzie musiała wyjaśnić, dlaczego zaglądała pod łóżko. Teraz myślała o tym, jak po kryjomu wymknęła się z pokoju, kiedy Dolg już zasnął, i złożyła wreszcie tak długo odkładaną wizytę w toalecie. Dom był wciąż wtedy pogrążony w nocnej ciszy. Dniało już wyraźnie, lecz dla służby dzień pracy jeszcze się nie rozpoczął. Szła przez podwórze przestraszona, ale nikt się nią nie zainteresował.

Moim zdaniem sprawa zaczyna wyglądać coraz bardziej nieprzyjemnie - rzekł prefekt. - Myślę, moje dzieci, że powinniście mimo wszystko opuścić ten dom.

Teraz jednak wszyscy czworo zaprotestowali stanowczo, nie przeciwko temu, że nazywa się ich dziećmi, lecz przeciwko porzucaniu pracy, którą wykonali za ledwie w połowie. Prefekt musiał się poddać.

Wkrótce się rozeszli. Villemann został z prefektem, by mu pomagać. Rafael zamierzał iść z Wirginią na spacer do ogrodu i był tym bardzo przejęty. miał przed sobą cudowną perspektywę, sam na sam z tą niezwykłą dziewczyną, a ponadto to jego zadaniem było przekonać Wirginię, by z nimi uciekła. To przecież główna sprawa, która zatrzymywała ich w tym domu. Drugi powód to to, że Dolg natrafił na trop czegoś, co wiązało się ze Świętym Słońcem. Rozwiązanie tajemnicy morderstwa kapitanowej nie należało do nich, to zmartwienie prefekta.

Dolg ponownie odwiedził bibliotekę i zabrał ze sobą Danielle. Nie wolno było za żadną cenę pozwolić, by spotkała się bez świadków z którymś z mieszkańców domu. Przez jakiś czas dotrzymywał im towarzystwa stary von Blancke, który pomagał Dolgowi przeglądać książki, chociaż Dolg nie powiedział nic poza tym, że domowa biblioteka wydaje mu się bardzo ciekawa oraz że jego najbardziej interesuje nowo wydawana literatura fachowa.

Wszyscy czworo mieli nadzieję, że niepokoje graniczne wkrótce ustaną i że będą mogli opuścić zarówno to miasto, jak i dom, w którym się znaleźli, bo i jedno, i drugie zbrzydło im bardzo.

Rafael spacerował pośród jesiennych róż, którymi wysadzone były żwirowane alejki prowadzące w dół ku rzece. Zerwał piękny kwiat i z elegancją podał go Wirginii. Dziewczyna miała na sobie tę samą jasnoniebieską jedwabną suknię co poprzedniego wieczora, z koronkami przy szyi i wokół nadgarstków. Wyglądała zachwycająco! Czegoś bardziej niewinnego Rafael nie umiał sobie wyobrazić.

Wirginia szła w milczeniu z pochyloną głową i wachała różę, którą trzymała w szczipułkach palców.

- Wirginio - zaczął po chwili Rafael niepewnie. - Mam nadzieję, że wolno mi tak panią nazywać.

Onieśmielona skinęła głową.

- Dziękuję, Wirginio... Czy tobie jest w tym domu dobrze? Czy nigdy nie pragniesz się stąd wyrwać? Odwróciła zarumienioną twarz.

- Owszem - szepnęła. - Owszem, bardzo często tego pragnę. Ojciec nie ma dla mnie czasu, a dziadek jest wyłącznie surowy, moje ciotki natomiast... One mnie w ogóle nie dostrzegają. A teraz, kiedy utraciłam jedynego towarzysza zabaw, i potem jeszcze... ukochaną mamę... Teraz nie mam już nikogo. Nic mnie tu nie trzyma.

- To jedź z nami do Theresenhof - rzekł Rafael z zapalem. - Wiesz, ja cię dobrze rozumiem, bo ja również miałem bardzo trudne i samotne dzieciństwo. Ale moi przybrani rodzice, księżna Theresa i Erling Muller, są cudownymi ludźmi i...

Przerwał sam sobie.

- Twój towarzysz zabaw? Kto to był? Może ukochany pies?

- Nie, nie! To Frantzl. Mieszkał w domu obok. Ale... Nie, nie chcę już o nim rozmawiać!

- Chłopiec sąsiadów - rzekł Rafael w zamyśleniu. - Czy mieszkał w tym dużym białym domu?

Tak. Oni mają wielu synów. Frantzl i ja byliśmy równolatkami. To bardzo miły chłopiec, z dobrej rodziny. Bawiliśmy się razem i on zaczął... No, kiedy zrobiliśmy się trochę starsi, to on się zmienił... znaczy jego uczucia do mnie, a ja nie mogłam...

- Oczywiście, bardzo dobrze to rozumiem.

Mocno ścisnęła jego rękę i spojrzała mu głęboko w oczy. O, te jej cudowne, ciemnobrązowe oczy! Niczym leśne jeziora.

- Jesteś taki dorosły, Rafaelu. I tyle rozumiesz. Prawda, że nie można przyjmować miłości, której się samemu nie odwzajemnia? Musiałam go zranić, chociaż starałam się mówić tak ostrożnie jak to tylko możliwe. On... przeżył to bardzo mocno. Tak mocno, że już go teraz nie ma.

Ostatnie słowa wypowiedziała ledwo dosłyszalnie, zabrzmiały jak leciutki powiew wiatru.

- O, nie - jęknął Rafael. - O, moja ty biedna, ile musiałaś wycierpieć!

- Jak ty wiele rozumiesz, Rafaelu - powtórzyła. - I jesteś taki przystojny, i taki romantyczny! Wiesz co, kiedy cię pierwszy raz zobaczyłam, to pomyślałam sobie, że jesteś rycerzem w białej zbroi.

Roześmiała się cicho, jak dziecko, którym przecież mimo swoich szesnastu lat nie przestała być.

Wirginia nie była pierwszą dziewczyną, która na widok Rafaela pomyślała, że to rycerz w białej zbroi. Już mu to kiedyś mówiono, w jej ustach jednak brzmiało to zupełnie inaczej. Jej słowa przepelniły go taką błogością, że o mało się nie rozplakał.

- Wirginio - wybąkał, szukając czegoś w kieszeni. - Napisałem dla ciebie wiersz dziś w nocy. Chciałabyś posłuchać?

- O, tak - zaszczebotała rozpromieniona.

Zatrzymali się w dole alejki, przy ławce otoczonej bzami, bardzo pięknymi, choć o tej porze roku nie było na nich kwiatów. Rafael spoglądał w górę na ponure domostwo i rozwijał jednocześnie swoją drogocenną kartkę. Na dziedzińcu ani w ogrodzie nikogo nie dostrzegął, lecz w oknie na piętrze, za liśćmi dzikiego wina, mignęła mu surowa twarz starego pułkownika.

- Chodź, ukryjemy się tutaj - powiedział, pociągając Wirginię za krzewy bzu. Nie było tam zbyt wygodnie, ale Rafael nie chciał, by mu się ktoś przyglądał w takiej cudownej chwili.

Bał się, że nie zniesie aż tyle szczęścia! Sam na sam z tą nieziemską małą istotą tuż obok!

Wirginia poszła za jego wzrokiem, spojrzała na dom i natychmiast pospieszyła za Rafaelem.

- On jest zawsze taki surowy - szepnęła. - Na pewno zostanę teraz ukarana, ale to nie ma znaczenia.

- Jak to ukarana? - zaczął Rafael wstrząśnięty.

- Nie, po prostu żartowałam - wyjaśniła pospiesznie, ale jej zdenerwowanie świadczyło, że to nie żarty.

- O, ależ... Wirginio - bąkał zaskoczony.

Usiedli na pomalowanej na biało ławce. Wirginia niemal desperacko zacisnęła palce na jego ramieniu.

- Zabierz mnie stąd, ty mój biały rycerzu - poprosiła głosem zdradzającym taki przestach, że serce mu się krajało.

- Niczego bardziej nie pragnę - oznajmił uroczyście. Ukradkiem spojrzała w stronę domu, którego teraz nie widzieli, i blask w jej oczach zgasł.

- Nie - szepnęła. - Nie! Zapomnij o moich słowach! Nie mogę z tobą odejść. Nie mogę. Jestem przykuta do tego domu... na wieki!

Typowy dla takiej młodziutkiej istoty sposób wyrażania się, pomyślał Rafael trzeźwo. Wszystko widzi strasznie dramatycznie, wszystko jest białe lub czarne. Próbował ją uspokajać i przekonywać:

Naprawdę mogę ci zapewnić piękne i bogate pod każdym względem życie, Wirginio. Pokażę ci, że w ludziach jest dużo wspaniałych, ciepłych uczuć.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Co te niewinne oczy musiały już w życiu widzieć, pomyślał głęboko wzruszony. Ona przecież nie mogła tak zupełnie nic nie wiedzieć o życiu swego ojca.

- Pragnę tylko twego dobra, Wirginio - rzekł zbolalym tonem. - Pozwól, bym cię przekonał, że istnieje na tym świecie prawdziwa i czysta miłość!

- Dzięki ci, Rafaelu, za te słowa i za twoje szlachetne serce. Ale czy mógłbyś mi przeczytać twój wiersz?

- Oczywiście! Nie jest taki dobry, jak bym tego pragnął - rzekł skrzępowany. - Ale na pewno mówi trochę o tym, co czuję.

Kiwała głową, chcąc mu dodać odwagi.

Szczerze mówiąc był to chyba najgorszy wiersz, jaki Rafael kiedykolwiek napisał. Coś takiego przepływa jednak przez serce każdego człowieka, kiedy przepełnia je miłość.

Czytał teraz głośno:

O, promyku księżycy, stworzony pośród cichej nocy,
O, pyle gwiazdny, na mą dłoń padający srebrzyście,
Słońce zachodzące nad spokojną taflą wody,

Prowadź mnie do krainy szczęścia wiekuistej.

- Jak pięknie - szepnęła Wirginia, wciągając głęboko powietrze. - Czy ty naprawdę piszesz o mnie?

- Oczywiście! - odparł zachrypniętym ze wzruszenia głosem.

- Czytaj dalej!

- Dobrze, oto druga zwrotka.

Ale nie zdążył nawet zacząć, bo na zwirowanej alejce rozległy się ciężkie kroki i zaraz potem stanął przed nimi pułkownik kipiący gniewem. Oboje zerwali się na równe nogi. Rafael nieporadnie starał się wepchnąć kartkę do kieszeni, co mu się, oczywiście, nie udawało, jakby na potwierdzenie przysłowia, że nieszczęścia zawsze chodzą parami.

- My czytaliśmy wiersze, dziadku - wyjąkała Wirginia.

- Chodź! - ryknął pułkownik w odpowiedzi i szarpnął ją z całej siły za rękę. - Czy nie wiesz, Wirginio, że dobrze wychowanej pannie nie przystoi chowanie się z mężczyzną po krzakach? - grzmiał. - Czy nie wystarczy już zachowania twoich ciotek i innej rozwiązłości w tym domu?

Dudniący głos przycichł nieco, kiedy dziadek i wnuczka zniknęli za narożnikiem domu. Rafael, któremu starszy pan nie poświęcił nawet przelotnego spojrzenia i który nigdy nie należał do ludzi reagujących błyskawicznie, stał opuszczony przy ławce ze wspomnieniem twardej ręki szarpiącej delikatne, kruche ramię Wirginii.

O, ona musi stąd uciec! Gdyby to od niego zależało, to jeszcze dzisiaj.

Jak można by to urządzić? Pójść z otwartą przyłbicą do jej ojca i dziadka i powiedzieć, że ją stąd zabieramy, bo ten dom to nie miejsce dla niewinnej, wrażliwej dziewczyny?

Nie, oni by się nigdy na nic takiego nie zgodzili. Wirginia musi uciec. Dzisiaj w nocy!

W pewnym miejscu jednak Rafael popełnił błąd. Jego intymne spotkanie z Wirginią widział nie tylko jej dziadek.

Dolg i Villemann patrzyli na nich z salonu, ponieważ jednak znajdowali się dość daleko od okna, on ich nie dostrzegł.

W głosie Villemanna słychać było rozczarowanie, kiedy pytał:

- Czy ze mną jest coś nie w porządku, Dolg? Dlaczego zawsze jest tak, że jeśli podoba mi się jakaś dziewczyna, to jej na pewno podoba się ktoś inny? Czy nie ma we mnie nic pociągającego?

Dolg przyglądał się w zamyśleniu młodszemu bratu.

- Jesteś zakochany w Wirginii?

- Zakochany? Nie! Po prostu ona mi się bardzo podoba, może bym się i zakochał, gdybym poznał ją lepiej. Ale co ze mną jest nie tak, że żadna dziewczyna mnie nie chce?

- Wszystko jest z tobą w porządku - odparł Dolg z wolna. Uśmiechnął się delikatnie. - Ja chyba nie jestem najodpowiedniejszym człowiekiem do wypowiedzania takich opinii i z pewnością jestem stronnikiem jako twój brat, ale czy naprawdę za wszelką cenę musisz mieć Wirginię? Co w niej jest takiego wyjątkowego?

- Och, ty tego nie widzisz, bo ty w ogóle nie odczuwasz potrzeby kochania kobiety. Ale ona jest naprawdę cudowną dziewczyną, chyba najwspanialszą, jaką dotychczas spotkałem.

Tego było już za wiele dla Danielle, która, nie zauważona przez obu braci, siedziała w małym saloniku obok. Nie chciała dłużej słuchać ich rozmowy, więc odwróciła się na pięcie i pobiegła schodami na górę, by ukryć się w swoim pokoju. Po drodze jednak przypomniała sobie, że pokój został zamknięty, niezależnie od tego, że ciernie uprzętnięto. Nie wiadomo nawet, kto to zrobił, pewnie ten, kto je tam wyłożył.

A poza tym gdy pomyślała chwilę, uznała, że sama do tego pokoju za żadną cenę by nie weszła.

Bezradna oparła się o ścianę i walczyła ze wzbierającym w piersi płaczem. Jej twarz wyrażała głęboką rozpacz. Nie widziała przed sobą przyszłości, nie życzyła tej malej dziewczynie niczego złego, ale czy Wirginia musiała być taka śliczna i taka czarująca, że wszyscy tracą dla niej głowę? Nie wystarczy Rafael, to teraz jeszcze Villemann? Czy na świecie naprawdę nie ma sprawiedliwości?

Sama nie wiedziała, o co właściwie ma pretensję do Villemanna. Jej myśli i uczucia znajdowały się w strasznym stanie i pragnęła tylko przestać istnieć.

Z głębokim westchnieniem wyprostowała się. Nie wolno jej przecież samej błąkać się po tym domu!

Ciągnąc za sobą nogi zaczęła schodzić na dół.

Na szczęście bracia przestali już rozmawiać o Wirginii.

Jednak słowa Dolga brzmiały złowieszczo. Danielle słyszała jedynie zakończenie jego cichej repliki:

- Narosło tu bardzo wiele gniewu, mój bracie. W tym ponurym domu znajduje się wielka zła siła, a ja nie mogę jej zlokalizować. Powinniśmy się stąd usunąć najszybciej jak to możliwe.

Przed południem przyszła Taran z Urielem. Ona nigdy nie pojawiała się w ciszy, zawsze robiła wielkie entree. Teraz też tak było.

Słyszeli jej radosny, rozszczebiotany głos jeszcze daleko na ulicy. Uriel od czasu do czasu odpowiadał coś dobrotliwie. Czworo młodych ludzi w domu pułkownika von Blancke popatrzyło po sobie, a ich twarze się rozjaśniły.

- Bogu dzięki - szepnęła Danielle. - To było nam już bardzo potrzebne.

- Owszem - potwierdził Villemann. - Przyda się odrobina światła w tym ponurym domu.

- Gospodarze uważali zdaje się to samo. Taran i Uriel zostali powitani bardzo serdecznie już przy wejściu. Kapitan przyjmował nowych gości entuzjastycznie, jego szwagierki były nieco bardziej powściągliwe, na Taran prawie nie patrzyły, rzuciły się natomiast na Uriela, którego ścisnęły i demonstracyjnie całowały. Mała Wirginia dygnęła grzecznie, co Taran rozzłościło, bo poczuła się nagle jak stara nobliwa ciotka. Chłopiec pracujący w ogrodzie posłał jej powłóczyście spojrzenie, które z kolei bardzo się nie spodobało Urielowi. Pułkownik mruczał jakieś uprzejmości pod adresem Taran, był w promiennym humorze, pełen oficerskiej galanterii, ofiarował jej piękną różę i ucałował dłoń. Nie szczędził jej przy tym komplementów, które Taran przyjmowała z właściwym sobie wdziękiem.

Ku wielkiej radości czworga rodzeństwa Taran i Uriel przyprowadzili ze sobą Nera. Pies natychmiast znalazł się w pobliżu Dolga i już go nie opuszczał, ci dwaj znowu byli razem i obaj czuli, że wszystko jest po dawnemu.

Taran wsunęła kapitanowi rękę pod ramię i odeszli oboje na stronę, dyskutując o czymś zawzięcie. Lilly i Milly patrzyły na nich z wyraźną niechęcią, lecz Uriel uśmiechał się tylko. On wiedział, czego Taran chce od kapitana. Starła się mianowicie dowiedzieć, jaka była jego zmarła małżonka oraz co mogło doprowadzić do jej śmierci.

Cały dom ożył, gdy tylko pojawiła się Taran.

Zdaje się, że kapitan w ogóle nie mógł egzystować bez ruchu wokół siebie. Służący Symeon miał myśliwskie błyski w oczach, a pułkownik zachowywał się bardzo jowialnie.

Czworo młodych otrzymało wiadomość, że sytuacja w tej części kraju pozostaje napięta, nie ma więc na razie mowy o otwarciu granic. Były to wszystko echa tak zwanej wojny śląskiej, która trwała od kilku lat i co pewien czas dawała o sobie znać poważniejszymi konfliktami. Rywalizacja o spadek po rodzinie Habsburgów sprawiła, że liczne kraje, w tym Bawaria, Francja i Hiszpania, rzucały łakome spojrzenia na tron cesarski w Wiedniu. Nic więc dziwnego, że podróżowanie w rejonach nadgranicznych mogło być niezbyt bezpieczne.

- Jak się mają rodzice? A babcia i dziadek? - pytał Villemann Uriela, kiedy gospodarze weszli do domu, a młodzi zostali sami w ogrodzie. Rafaela z nimi nie było, w jakimś innym miejscu lizał swoje rany.

Uriel odpowiedział spokojnie:

- Dobrze, nawet bardzo dobrze. Mieszkają u wspaniałego człowieka nazwiskiem Bonifacjusz Kemp.

Dolg skinął głową.

- Ciebie też o nim wspominał.

- On jest oficerem w garnizonie - dodał Uriel. - Ale przesznułowałam wszystkich czworo do swojego mieszkania. Bo komendant to nędznik, chciał rozstrzelać Móriego, a pozostałych troje wtrącić do więzienia.

- Ale dlaczego? - wykrzyknął Villemann wstrząśnięty. - Dlaczego chciał zamordować tatę?

Uriel zniżył głos.

- Pan Bonifacjusz mówi, że komendant znajduje się pod wpływem jakiejś tajemniczej, ubranej na czarno damy. Jakiejś wdowy. Pan Bonifacjusz prosi też, byśmy się wszyscy mieli przed nią na baczności, bo wygląda na to, że jest nami bardzo zainteresowana.

- Nie rozumiem, o co chodzi.

- My też nie - przyznał Uriel. - Ale właściwie to my z Taran przychodzimy do was z wiadomością, że dom, w którym się znajdujecie, nie jest bezpieczny.

- Dziękuję. Wiemy o tym.

Teraz Uriel mówił szeptem:

- Ja też. Wyczuwam coś bardzo nieprzyjemnego w tym domu. Jakby ktoś zły nas obserwował.

Nikt się nie uśmiechnął, słysząc jego naiwne określenie. Wszyscy odnosili to samo wrażenie co on, a poza tym wiedzieli, że dom kryje tajemnice, których wcale nie mieli ochoty poznawać.

Te kroki w środku nocy na przykład, skąd mogły pochodzić?

Uriel przerwał powolny spacer wśród krzewów i popatrzył na nich z wielką powagą.

- Więc pan Bonifacjusz Kemp postanowił, że spróbuje przeszmyglować nas wszystkich przez granicę - oznajmił po chwili. - Jutrzejszej nocy, kiedy nie będzie miał służby.

- Wydaje mi się, że jesteśmy winni prawdziwa, wdzięczność temu panu Bonifacjuszowi - westchnął Villemann.

- Rzeczywiście, musimy mu podziękować - przyznał Uriel. - Zresztą Móri zrobił już wiele dla jego chorego synka. Chłopiec dochodzi do zdrowia.

- To dobrze - rzekł Dolg. - I dobrze też, że ma się to stać jutro w nocy, bo akurat teraz nie moglibyśmy opuścić tego domu. Ja muszę znaleźć pewną książkę w bibliotece, a poza tym zabieramy ze sobą tę dziewczynkę, którą widzieliście tu już pierwszego dnia. Ona się strasznie męczy w tym domu.

- Tak, to wzruszająca istota - rzekł Uriel z uśmiechem. - Mam wrażenie, że Rafael i Villemann są w niej troszkę zakochani.

- Nie, ja nie, tylko Rafael. I nie żadne troszkę - uściślił Villemann, lecz gwałtowny rumieniec go zdradził.

Danielle poczuła, jakby coś w niej miało umrzeć.

Co się właściwie ze mną dzieje, pomyślała ze złością. Przecież nie życzę sobie adoracji ze strony Villemanna.

Mogło tak rzeczywiście być, Danielle wpadała jednak w dość zwyczajną pułapkę, nie była w stanie tolerować rywalki nawet do uczuć mężczyzny, którego sama odrzuciła. Może sobie nawet nie zdawała z tego sprawy, lecz podziw Villemanna przyjmowała z prawdziwą przyjemnością. I nie miała zamiaru z niego rezygnować.

Bardzo ludzka reakcja, nawet jeśli niezbyt szlachetna.

Uriel mówił dalej:

- Proszę was, byście się spieszyli, zarówno z szukaniem książki, jak i z przygotowaniem dziewczyny, bo nie mamy zbyt wiele czasu. I, jak powiedział pan Bonifacjusz, bądźcie ostrożni! Ten dom ma bardzo złą opinię. Taran i ja dowiedzieliśmy się o tym już pierwszego dnia, kiedy pytaliśmy sąsiadów o drogę.

- Ale gospodarze są tacy gościnni. I zaprosili nas do siebie mimo wielkiej żałoby... - mówiła Danielle.

- Myślisz, że naprawdę oni są w wielkiej żałobie? - spytał Villemann.

- Mmm - mruknął Dolg z powątpiewaniem. - Zdaje mi się, że gościnnie jest przede wszystkim kapitan. Wygląda mi na to, że on desperacko szuka pociechy w zabawie i rozrywkach. Jakby uciekał od czegoś, czego nie jest w stanie udźwignąć. To jego zasługa, że tutaj mieszkamy. Jego i być może jego ojca, pułkownika. Reszta jest zajęta raczej swoimi sprawami.

- Dziwne kobiety - rzekł Uriel. - To znaczy te dwie szwagierki kapitana.

- Chyba się nigdy nie pogodziły z tym, że siostra wyszła za mąż, a one nie - westchnął Uriel.

- Właściwie to od jak dawna one tu mieszkają? - zastanawiała się Danielle.

- Pytałem o to - wyjaśnił Villemann, który pomagał przecież prefektowi próbującemu rozwiązać tajemnicę śmierci kapitanowej. - Są tu od dziesięciu miesięcy. Kapitanowa musiała przeżyć piekło.

- Kapitan jednak miał się znakomicie - stwierdził Uriel.

- Taki harem z trzema kobietami.

- Było ich więcej - poprawił Villemann. - Nasz kapitan nie gardzi też pokojówkami. Zdaje mi się jednak, że ma współnika w tym chłopcu do wszystkiego, Symeonie. To z pewnością on odwiedzał dzisiejszej nocy pannę Milly. To on mignął Rafaelowi na korytarzu.

- A propos służby - wtrącił Dolg. - Czyście zwrócili uwagę na te dwie starsze kobiety, jedna taka tęższa, a druga o końskiej twarzy? Nie odnoszą się one do nas najlepiej.

- Masz rację, nie cierpią nas - zgodził się Villemann.

- Albo, ściślej biorąc: one w ogóle nie cierpią gości. Ich nienawiść nie jest skierowana specjalnie przeciwko nam. Doszli do rzeki w miejscu, gdzie znajdowało się wyłożone kamieniami nabrzeże, stali tam przez jakiś czas, przyglądając się wolno płynącej wodzie.

I wtedy znowu usłyszeli krzyki. Tym razem jednak znajdowali się tak daleko od domu, że nie docierały do nich zbyt wyraźnie. Rozglądali się wokół, ale niczego specjalnego nie dostrzegli. Nagle wszystko ustało, jakby jakaś dłoń zakryła krzyczące usta.

- Ponura tajemnica tego domu - rzekł Dolg cierpko.

Taran wróciła ze swojego spaceru z kapitanem i Uriel rozjaśnił się jak na widok wschodzącego słońca. Zauważyli to obaj bracia, Dolg i Villemann, i cieszyli się bardzo, że Taran znalazła sobie odpowiedniego chłopca.

- Słyszeliście? - spytała Taran. - Brzmiało to tak, jakby ktoś gwałcił robotnika portowego.

- Taran, proszę cię - upomniął ją Dolg, ' musiał się jednak uśmiechnąć, rozbawiony tym dziwnym określeniem.

Obaj bracia wymienili pełne czułości spojrzenia. Ta ich ukochana siostra jest naprawdę niepoprawna!

- No? - niecierpliwł się Villemann. - Dowiedziałaś się czegoś?

- Owszem. Wydobyłam z niego mnóstwo informacji na temat jego zmarłej małżonki... O, nadchodzi właśnie nasz przyjaciel prefekt. To dobrze, nie będę musiała dwa razy powtarzać. I zdaje się, że wiem też, dlaczego i ojciec, i syn tak bardzo chcą się otaczać młodzieżą.

- Naprawdę? - ucieszył się prefekt.

- Tak. Wygląda na to, że w tym domu straszy, wiecie, jakiś duch...

- Tak myślisz? - zdziwił się Dolg, gryząc źdźbło trawy. - Nie wyczuwam tu żadnych tego rodzaju wibracji. Jakiego rodzaju duch miałby to być i gdzie?

- No nie, tego mi nie powiedział. W ogóle był bardzo tajemniczy i ponury. Wiem tylko, że najbardziej straszy w górnych partiach domu.

Prefekt w zamyśleniu kiwał głową.

Część domu jest na stałe zamknięta. Dowiedziałem się, że najlepiej tam nie wchodzić, co oczywiście jeszcze bardziej pobudziło moją ciekawość. Przemawiałem bardzo władczym tonem, ale to nie pomogło. Oni twierdzą, że klucz zaginął wiele lat temu. Po kryjomu próbowałem sforsować drzwi, lecz okazały się zbyt masywne. Ale przerwaliśmy pannie Taran. Co kapitan mówił na temat swojej żony?

- Dowiedziałam się, że pochodziła z bardzo dobrej rodziny. To wyjaśnia nieznośną pychę i zarozumialstwo jej sióstr. Uważają one mianowicie, że stoją wyżej niż rodzina von Blancke, i kapitanowa prezentowała podobne przekonanie. Podobno potrafiła być nawet dość nieprzyjemna. Niemal codziennie wypominała mężowi, że popełniła megalians.

- Coś takiego może, oczywiście, doprowadzać mężczyznę do szaleństwa, ale nie sądzę, by kapitanowi dokuczyło to aż tak bardzo, że byłby skłonny ją zamordować.

- Nie, oczywiście, że nie, on jest niewinny. Wynika to z jego słów - zapewniała Taran.
- Muszę zresztą powiedzieć, że bardzo sympatycznie się z nim rozmawiało. Jest znacznie ciekawszym człowiekiem, niżby na to wskazywała jego mina i zachowanie.

- Więc małżeństwo nie było szczęśliwe?

- Nie. W tych warunkach? Małżonka była podobno bardzo wymagająca i zawsze miała pretensje w jednej sprawie: dlaczego małżonek nie awansuje? Kapitan, to przecież niemal nikt! Wyszła za niego za męża, ponieważ jego ojciec był takim dynamicznym człowiekiem i zrobił olśniewającą karierę w wojsku. Myślała więc, że syn będzie podobny.

- Cóż, takie pomyłki zdarzają się często - westchnął prefekt. - Nierzadko dzieci rodziców o dominujących osobowościach wyrastają na ludzi słabych i bez charakteru. Jakby dawały za wygraną, zanim jeszcze rozpoczną własną karierę. Ale w następnym pokoleniu zwykle straty zostają odrobione.

Villemann uśmiechał się w rozmarzeniu.

- Nie wydaje mi się, by mała Wirginia, jak pan powiada, odrobiła straty.

No tak, ona rzeczywiście nie jest takim typem. Ale gdyby kapitan miał syna, to sądzę, że... No dobrze, proszę mówić dalej, panno Taran!

- Właściwie to już niewiele zostało.

- Czy kapitanowa też miała takie wybujałe potrzeby erotyczne jak jej siostry?

- Och, wie pan, panie prefekcie, nie mogłam się zmusić do zadania tego pytania!

- Naprawdę? - zapytał z rozbawieniem. - A ja myślałem, że pani się nie cofnie przed niczym!

Zachichotała.

- To prawda, chciałam zapytać, ale jakoś rozmowa nie zeszła na ten temat. On był bardzo ostrożny, jeśli chodzi o sprawy intymne.

- Nietrudno w to uwierzyć - roześmiał się Villemann. - Skoro ktoś ma takie potrzeby. Słyszałem, że nasz dobry kapitan uwiódł większość kobiet w okolicy. Zarówno panie z wyższych sfer, jak i dziewczyny służące. Panny i mężatki, bez różnicy. Moim zdaniem ten człowiek cierpi na kompleks niższości i nieustannie musi sobie udowadniać, jak bardzo jest męski.

Z pewnością - przyznał prefekt. - Ale muszą też w nim drzemać niepospolite siły. Myślę, że możemy założyć, iż to właśnie z początku bardzo cieszyło jego żonę, z czasem jednak zaczęła go mieć dość. I wtedy on ją się rozglądać za innymi możliwościami.

- Tak, to brzmi prawdopodobnie - zgodziła się Taran.

- No właśnie, pamiętamy przecież list, który kapitanowa zaczęła pisać - dodał Dolg. - Stwierdza w nim, że od-kryła coś obrzydliwego, najprawdopodobniej była to niewierność męża. Długo musiała pozostawać ślepa.

- Chyba sprawa siostr była tą kroplą, która przepełniła kielich - rzekł Villemann.

- Czy on się do ciebie nie zalecał, Taran? - zapytał Uriel zaniepokojony.

Zwlekąca z odpowiedzią tak długo, że aż poczerwieniała.

- Nie, nic takiego nie zrobił - odparła w końcu. - Ale zauważyłam, że byłby zainteresowany - zakończyła z łobuzerskim uśmiechem.

- Jak to?

- Och, nie bądź niemądry! Wiesz przecież, że współczesna moda wymaga noszenia bardzo obcisłych spodni. Uriel odwrócił się gwałtownie.

W alejce pojawili się gospodarze i goście zaczęli rozmawiać o czym innym.

Wszyscy razem poszli w stronę domu, zbliżała się bowiem pora posiłku.

Przodem podążał pułkownik, który nareszcie zdawał się być w lepszym humorze. Szeroką dłonią klepnął Villemanna w ramię i zapytał go, czy brał kiedykolwiek udział w wojskowych ćwiczeniach.

- Nie, jestem na to za młody - odpowiedział Villemann cokolwiek skrępowany.

- Nonsens - zagulgotał pułkownik - W moim regimencie byli nawet piętnastoletni chłopcy. Ba, nawet czternastoletni!

- To bardzo młody wiek.

- Jeśli człowiek ma być dobrym żołnierzem, trzeba zacząć go ćwiczyć odpowiednio wcześnie. Musimy sobie po obiedzie urządzić małe ćwiczenia, ty i ja, żebyś mógł mieć chociaż przedsmak prawdziwego męskiego życia. Tylko takie życie ma jakąkolwiek wartość. Zdrowe! Wspaniale!

Villemann mruknął coś niewyraźnie w odpowiedzi.

Biedny Villemann, myślało jego rodzeństwo. On, który tak nie cierpi ślepej dyscypliny. Podejrzewali, że pułkownik zdaje sobie z tego sprawę i świadomie go dręczy, bo po prostu uwielbia wrzeszczeć na ludzi i dominować nad nimi. Gdyby sam znalazł się na miejscu zwykłego rekruta, inaczej patrzyłby na całą sprawę.

Rafael miał szczęście, bo u jego boku szła Wirginia. Kroczył przejęty i nie umiał znaleźć dla niej dość poetyckich określeń, co tam poezja, w ogóle nie był w stanie wykrztusić z siebie słowa.

Kiedy zaś jej dłoń przypadkiem dotknęła jego ręki, musiał panować nad sobą ze wszystkich sił, by nie pochwycić dziewczyny w objęcia. A kiedy ona świadomie szukała jego ręki, był tak wzruszony, że z trudem oddychał. Uścisnął drobną dłoń i miał wrażenie, iż zaraz skona ze szczęścia.

Ale, oczywiście, nic takiego się nie stało.

Taran i Danielle zostały nieco za wszystkimi. Taran objęła szczupłe ramiona młodszej towarzyski.

- No, Danielle, jak tam twoje sprawy?

Zapytana pochyliła głowę, wyglądała teraz bardzo żałośnie.

- Chcę wracać do Theresenhof.

- Nie ty jedna.

Danielle uniosła głowę.

- Ale ja chcę jeszcze dalej, chcę w ogóle odjechać, gdzie mnie oczy poniosą, jak najdalej od wszystkiego!

- Aha, to już aż tak zabrnęłaś - rzekła Taran, która uważała się za osobę niezwykle doświadczoną. - Ale widzisz, moja mała, możesz sobie jechać, jak daleko chcesz, jednak od samej siebie nie odjedziesz. Podróż nic nie pomoże na to, co nosimy w sobie.

- Masz rację - westchnęła Danielle. - Najbardziej ze wszystkiego chciałabym po prostu odjechać od moich problemów. Chociaż akurat w tej chwili chcę być jak najdalej od tej malej, żalostnej...

- Myślisz o Wirginii? Ale ona przecież niczemu nie jest winna. I Dolg wcale się nią nie zajmuje.

- Dolg nie.

Taran przyglądała jej się spod oka.

- Chodzi ci o Villemanna? - zapytała przeciągle.

Danielle nie odpowiedziała. Po prostu odwróciła twarz.

- W takim razie uważam, że powinnaś podziękować młodej panie von Blancke - rzekła zdecydowanym tonem Taran.

- Dlaczego mam dziękować? Jeśli on się z nią ożeni...

- Ech, wyciągasz zbyt pochopne wnioski. Znamy tych ludzi drugi dzień. A poza tym wszystko wskazuje na to, że ona woli twojego brata.

- Tak myślisz? - rozjaśniła się Danielle. Zaraz jednak znowu zmarkotniała. - Ale to nie przeszkadza, że Villemann jest nią bardzo zainteresowany. I że będzie mu przykro, jeśli ona go nie zechce. Och, Taran, czuję się taka odrzucona! Taka sponiewierana!

- Sądzę, że Villemann czuje się jeszcze gorzej - stwierdziła Taran. - Żadna z jego wybranek go nie chce.

- Och, ale ja...

- Co takiego? - zapytała Taran, gdy Danielle zamilkła.

- Nie, nic.

Taran uśmiechnęła się pod nosem bardzo zadowolona.

Tego pięknego i bardzo ciepłego jesiennego dnia stary pułkownik nie pojawił się na obiedzie. Poszedł do proboszcza, by omówić sprawę pogrzebu swojej synowej.

Bez pułkownika, ale za to z Taran nastrój . przy stole był niewątpliwie dużo sympatyczniejszy. Prefekt również zasiadł do posiłku i wszyscy zachowywali się tak, jakby chcieli przynajmniej na chwilę zapomnieć o tragedii.

Kapitan był z tego najwyraźniej bardzo zadowolony.

Przed obiadem na spacerze w parku omal nie wyznał Taran, że nie jest w stanie żałować swojej zmarłej małżonki. Zbyt długo go upokarzała swoją wyniosłością, po prostu zniszczyła ich małżeństwo.

Obiad upływał w sympatycznej atmosferze, wszyscy mówili o całkiem obojętnych sprawach. Tym bardziej więc byli zaszokowani pojawieniem się kogoś absolutnie nieoczekiwanego.

Najpierw coś zaczęło się dziać z Wirginią.

Błękitne oczy dziewczyny stały się większe niż normalnie. Przestała jeść i jak zaczarowana patrzyła w stronę schodów, skąd dochodziły jakieś dziwne odgłosy podobne do jęku. Po chwili z hałasem odrzuciła nóż i widelec, zerwała się na równe nogi i wybiegła, jakby chciała się gdzieś schować. Rafael zamierzał pójść za nią,

lecz Dolg chwycił go za ramię i pociągnął tak mocno, że usiadł z powrotem na swoim miejscu.

Po schodach szła jakaś dziwna postać.

14

Lilly zapomniała o swoich eleganckich manierach i zaklęła:

- O, do cholery...

- Kto nie zamknął drzwi? - syknęła Milly ze złością. - Kristoffer, powinieneś był powiedzieć, żeby...

Po raz pierwszy usłyszeli wtedy imię kapitana, ale żadne z gości nawet tego nie spostrzegło, bo całą ich uwagę pochłaniała dziwna osoba na schodach.

Była to starsza kobieta o czerwonosinej twarzy z przekrzywioną jak czapka wesołego woźnicy peruką. Białą, bardzo ładną i bardzo drogą peruką, która niegdyś musiała być prawdziwym dziełem sztuki. Teraz wyglądała jak długo używane wronie gniazdo. Kobieta mamrotała przez cały czas coś sama do siebie zachrypłym głosem pijaczki. Mimo że trzymała się kurczowo poręczy, szła chwiejnie. Jej ubranie wyglądało, jakby sypiała w nim od dawna, choć kiedyś musiały to być bardzo piękne rzeczy. Kiedy podeszła bliżej drzwi, zebrani przy stole poczuli od niej kwaśny odór.

W końcu kapitan zdołał się wyrwać z odrętwienia. Zaczął głośno wzywać służbę, lecz nikt się nie pokazał. Kiedy Taran spojrzała na niego pytająco, rzekł krótko:

- Moja matka.

- A ja myślałem... - zaczął Rafael. - Pułkownik mówił, że ona...

- Że nie żyje? Nie, tak nie powiedział. Mówił, że utracił żonę. I zapewniam państwa, że moja matka ma najlepszą opiekę, jaką możemy jej dać, ale państwo sami widzą, tu już niewiele można zrobić.

Owszem, wszyscy rozumieli to bardzo dobrze.

- Proszę wybaczyć mojej córce, że tak uciekła - dodał kapitan. - Ona się bardzo wstydzi za swoją babkę.

- Oczywiście - bąknęła Taran.

Starsza pani kierowała się prosto do stołu. Na jej wargach, odsłaniając brak wielu zębów, błąkał się diabelski, zdecydowany uśmieszek.

- Nie, no coś takiego! Siadacie do stołu beze mnie? I Lilly zajmuje moje miejsce? Jazda stąd, łachudro, bo idzie pani tego domu!

Przestraszona Lilly wstała natychmiast. Pułkownikowa mówiła teraz bardzo słodkim głosem:

- Kristoffer, moje dziecko, co te okropne baby zrobiły z syneczkiem mamusi?

Uczyniła ruch, jakby chciała go objąć, ale kiwnęła się w tył i o mało nie upadła. Kapitan rzucił się, by ją przytrzymać. Wszyscy widzieli, że bijący od niej zapach napelnia go obrzydzeniem.

- Już dobrze, droga mammo. Zaraz ktoś przyjdzie, żeby się tobą zająć.

Starsza pani machała rękami, by pokazać, że chce usiąść. On jednak trzymał ją mocno i zdawał się nie zauważać jej wysiłków.

- Neeee - wydyszała przejęta. - Iluż to widzę tutaj ślicznych chłopców! Dlaczego mi o tym nie powiedziałaś? Kristoffer, przedsss... Przedstaw mi ich!

- To jest Rafael, syn księżnej Theresy von Habsburg - zaczął kapitan niechętnie.

W zamglonych oczach starszej damy pojawiły się filuterne błyski.

- No, no, jesteś naprawdę słodziutki! Habsburg, powiadasz? No, no, bo widzisz, ja sama mam w żyłach sporo błękitnej krwi. Nie, na taką okazję to powinnam włożyć moją różową toaletę! Ale mogę się założyć, że nie zgadniesz, ile tak naprawdę mam lat, chłopczyku! No, spróbuj!

Rafael odchylił się do tyłu, jakby chciał się cofnąć. - Zgaduj, zgaduj - powtarzała dama kokieteryjnie.

- Mammo, daj spokój - bąkał kapitan.

Rafael nie odważył się nic powiedzieć. Najchętniej określiłby jej wiek na jakieś siedemdziesiąt pięć lat, ale się powstrzymał.

Z błyszczącymi oczyma pani wyjawiała triumfalnym tonem:

- Mam pięćdziesiąt lat! Nigdy byś nie zgadł, prawda? Ja wiem, że wyglądam znacznie młodziej, i wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś zaczął mnie uwodzić. Nie, nie, i nie wzięłabym ci tego za złe, nie martw się. Tylko, widzisz, ja jestem mężatką - dodała sentymentalnie, kładąc rękę na ramieniu Rafaela. - Więc i tak nic by z tego nie było. O, a tu mamy jeszcze jednego ślicznego młodzieńca!

Rafael odetchnął z ulgą. Teraz odór starego alkoholu buchał w twarz Urielowi.

- Widzisz, chłopczyku o anielskiej twarzy, mój mąż jest pułkownikiem. Bardzo się stara, bym miała wszystko, czego potrzebuję, na moim nocnym stolczku zawsze stoi karafka i kieliszek...

- Tak, a co innego można zrobić - bąknął kapitan do gości.

- Och, mój Boże, jeszcze jeden chłopiec - ucieszyła się stara dama na widok Villemanna. - Ty też jesteś urodziwy, ale myślę, że zostanę, jednak przy tym ciemnowłosym marzycielu. Jak to on ma na imię? Gabriel?

- Rafael.

- O właśnie. Czy zebrał się tu cały chór anielski? A może ja znalazłam się w niebie?

Śmiała się skrzekliwie, po czym znowu zaczęła swoje:

- Kristoffer, mój synku, czy te okropne siostry są dla ciebie niedobre? Nigdy nie powinieneś był się żenić z tą rozpustnicą, która sprowadziła do mojego domu wszystkie grzechy Sodomy i Gomory. Takie same jak ona rozpustnice, ladacznice, które nadal tu siedzą!

Lilly nie wytrzymała.

- Proszę mi wybaczyć, pani pułkownikowo von Blancke, ale czy nie stawia pani problemu na głowie? - zapytała cierpko, ale było widać, że boi się trochę tej dość bezceremonialnej damy.

Pułkownikowa spoglądała na nią mętnym wzrokiem. Coraz trudniej było jej się wysławiać:

- Mój ukochany sssyn hik... ma silną naaturę... hik i ja baaardzo jestem... hik... z niego dumna. Ale to okroopne ze strony wszystkich trzech sióstr hik... okroopne tak to wykorzystywać, jak to roobicie... hik... Ja mam tylko jednego syyynka, Pan nie zechciał dać mi więcej dzieci... hik. Nie chcę, żeby go wykorzystywały kobiety bez serca!

- Mamo, myślę, że najlepiej będzie, jeśli teraz wrócimy na górę - rzekł kapitan ostrożnie.

Matka odepchnęła go stanowczym ruchem. Jej wzrok spoczął teraz na Dolgu.

Ludowe przekadło powiada, że od dzieci i od pijanych można usłyszeć prawdę.

Pani pułkownikowa von Blancke zamilkła i przez chwilę mrużyła oczy.

- To jak sam Zły! - wrzasnęła nagle. - Powiedzcie no mi, czy ja trafiłam do nieba, czy wprost przeciwnie? Ten tutaj może należeć i tu, i tu.

Uczepiła się ramienia swego syna, jakby szukała u niego obrony przed ciosem. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, ona ciągnęła swoje:

- Jesteś urodziwy niczym anioł śmierci, mój chłopcze! Ale mnie się nie podobasz.

- Na ogół nie lubimy tego, czego nie pojmujemy - wtrącił Rafael. - Zapewniam panią jednak, że Dolg jest najwspanialszym człowiekiem na ziemi, obdarzonym wielkim sercem i najczystszy charakterem...

Uciszyła go niechętnym gestem, nie spuszczać oczu z Dolga. Była nim po prostu zafascynowana.

- Nie, nie, nie dlatego cię nie lubię, że... ech, do diabła! Przenikasz mnie na wylot, człowieku. Nie chcę tego! Nie pozwalam...

Zaczęła szlochać, a raczej należałoby powiedzieć ryczeć, przepitym głosem. W końcu kapitan zdecydował się na stanowcze działanie. Delikatnie, lecz zdecydowanie ujął matkę za ramiona.

- Idziemy na górę - oświadczył i pociągnął starszą damę w stronę schodów.

Po drodze pijana pułkownikowa zdążyła zobaczyć Taran i Danielle.

- O, nie, Kristofferze! Dwie nowe dziewczyny! Je też zdążyłeś już zbałamucić? - zachichotała nieprzyjemnie.

- Mamo, na Boga! To są krewne Habsburgów! A poza tym są naszymi gośćmi!

- Czy coś takiego cię kiedykolwiek powstrzymywało? Mój chłopcze, dlaczego ty nie możesz być znowu małym synkiem mamusi? - bełkotała sentymentalnie i zaraz zwróciła się do Danielle i Taran, wyciągając ku nim palec w oskarżycielskim geście: - Wy polujecie na Kristoffera, oczywiście... hik... oczywiście. Ale on jest zajęty. Ożenił się z tą nadętą rozpustnicą, która wprowadziła grzech do mojego domu. Gdzie się teraz podziewa? Chętnie powiedziałabym jej kilka słów prawdy.

Kapitan von Blancke ujął mocniej ramiona matki i siłą wprowadził ją na schody. Potykała się na każdym stopniu.

- Najwyraźniej jeszcze nie wie, że synowa nie żyje - szepnął Villemann do prefekta, który skinął głową.

Do jadalni wciąż docierał ze schodów bełkotliwy głos pułkownikowej. Nieustannie mówiła, jak się martwi o syna, że ma na myśli tylko jego dobro. Traktowała go jak piętnastolatka, przeciwko czemu on głośno protestował.

Narzekania starszej pani urwały się w końcu na słowach o grzechu pierworodnym i o ukąszeniu żmii, potem słyszeli jeszcze, że dopytuje się, gdzie jest jej kieliszek i dlaczego ją zamykają samą w pokoju.

- To nie nasza wina - odpowiedział kapitan, starając się opanować irytację. - Nie mamy innego wyjścia, dla ciebie tak jest najlepiej.

W końcu oboje zniknęli w korytarzu na piętrze. Milly skrzywiła się z obrzydzeniem:

- Pijana świnia!

- Ja bym to raczej nazwał straszną tragedią - wtrącił Dolg poruszony.

- Ja również - zgodził się z nim prefekt. - Pamiętam panią pułkownikową jako bardzo elegancką damę. Może trochę za bardzo dumną ze swojego syna, szczyjącą się nim ponad miarę, ale to przecież nie jest największy grzech. Ale sprawy nie układały się dobrze. Pułkownik wściekał się, że małżonka „niszczy” chłopca, karał więc małego bardzo surowo za najmniejsze przewinienie, po czym, oczywiście, matka pocieszała jedynaka i rozpieszczała go jeszcze bardziej, w następstwie czego ojciec gniewał się... i tak dalej.

Biedne dziecko - westchnął Dolg, który stał teraz wraz z prefektem nieco na uboczu. Po chwili przyłączyła się do nich mała Wirginia, która tymczasem wróciła do jadalni i przestraszona spoglądała w stronę schodów.

Dolg mówił cicho:

- Jedna sprawa mnie zdumiewa. Jak to się dzieje, że w tych czasach niepokoju i zagrożenia wojną, w czasach takiego napięcia, gdy potrzebny jest każdy człowiek zdolny do noszenia broni, zarówno pułkownik, jak i kapitan siedzą sobie spokojnie w domu?

- To łatwo wyjaśnić. Kapitan był w służbie, jest on przecież najbliższym współpracownikiem i przyjacielem komendanta, ale został na kilka dni zwolniony dla przygotowania pogrzebu małżonki. Natomiast pułkownik nie pełni już swoich obowiązków. Został zdymisjonowany za naruszanie dyscypliny, ryte że w odwrotnym od potocznego rozumieniu, pan pułkownik mianowicie wymagał zbyt wiele od swoich podkomendnych, zbyt często stosował chłostę, co prowadziło nawet do okaleczeń żołnierzy. Kiedy doszło do tego, że uderzył żołnierza za to, iż ten nie okazywał odpowiednio dużego entuzjazmu, kielich się przepełnił.

- Uff! - westchnął Dolg. - Zdążyliśmy już zauważyć, że pułkownik również w domu stara się utrzymać żelazną dyscyplinę. Można sobie wyobrazić, co robił z żołnierzami, którzy musieli przecież być mu ślepo posłuszni. Ale mimo wszystko wolno mu nosić mundur?

- Służba żołnierska to jego życie. A poza tym nikogo przecież nie obchodzi to, co pułkownik nosi na sobie w domu. Nie, jego żonie nie było lekko. To wrażliwa kobieta o gorącym sercu, która, niestety, zawsze miała słabość do mocniejszych trunków.

Pojawiły się obie służące o męskim wyglądzie i wbiegły szybko na górę. Zaraz też dał się słyszeć głos kapitana besztającego je za niedostateczną opiekę nad jego matką. A więc to one były pielęgniarkami pułkownikowej? Czy może raczej należałoby powiedzieć: strażniczkami uwięzionej.

Wreszcie kapitan zszedł na dół.

- Proszę nam wybaczyć ten nieprzyjemny incydent - powiedział skrępowany. - Czy możemy wrócić do stołu?

Wszyscy powoli zaczęli zajmować swoje miejsca. Deser wyglądał smakowicie, legumina na gorąco, posypana dużą ilością cynamonu i cukru, z oczkiem masła pośrodku. Wszystko to, niestety, zdążyło już wystygnąć i stężeć.

Dolg siedział obok swojej siostry. Widział, z jakim zapalem próbuje deseru, i nie dziwił się, danie prezentowało się bowiem bardzo zachęcająco.

Ale wzięła do ust tylko jedną łyżkę potrawy, potem uniosła głowę z dziwnym wyrazem twarzy, jakby z niedowierzaniem. Dolg widział, że nie przełknęła tego, co miała w ustach, skrzywiła się nieprzyjemnie i...

Rzucił okiem na jej talerz. Następnie na swój. Po czym wytrącił łyżkę z ręki Taran i szarpnął ją mocno za ramię.

- Nie połkaj tego! - krzyknął. - Chodź do ogrodu, musisz to wypluć!

Posłuchała natychmiast. Uriel podbiegi ze szklanką wody i prosił, by starannie przepłukała usta, ale żeby za nic na świecie nie przełknęła ani kropli. Przyłączył się do nich prefekt i teraz wszyscy trzej otaczali Taran, która prychała, krzywiła się i krzyczała ze strachu i obrzydzenia, plując na wypielegnowane przez Symeona rabatki.

W końcu opanowała się, zaczęła spokojniej oddychać i wytarła usta.

Dziękuję ci, Dolg - wykrztusiła. - Wiecie, to było bardzo słodkie i naprawdę można by się dać nabrać. Ale miało oprócz tego jakiś taki nieprzyjemny smak, że ja...

O mój Boże, Dolg, co to było?

- Nie wiem - odpowiedział. - Ale w twoim cynamonie zobaczyłem jakieś ciemniejsze ziarenka, które musiały zostać rozsypane, kiedy deser był już na talerzu.

Prefekt pospieszył do jadalni, by zabrać talerzyk z fatalnym deserem, lecz Villemann już to przezornie zrobił. Trzymał go teraz mocno w rękach tak, by nikt nie mógł talerza ani wytrącić, ani odebrać.

Wszyscy wyglądali na wstrząśniętych. Wstali od stołu, bo przecież już i tak nikt by nic nie zjadł. Przyglądali się swoim talerzom, te jednak wyglądały normalnie. Z wyjątkiem talerzyka Villemanna. Na nim znajdowały się te same szare ziarenka, co na deserze Taran.

Prefekt wziął na palec jedno ziarenko z talerzyka Taran i bardzo ostrożnie spróbował. Następnie spróbował też ziarenko wzięte z talerza Villemanna.

- Trucizna na szczury? - spytał Villemann cicho.

- Tak mi się zdaje - odparł prefekt. - Ale trzeba to zbadać. - Rozejrzał się wokół. - Kiedy pułkownikowa zeszła na dół, zrobiło się wielkie zamieszanie, zresztą później, gdy kapitan odprowadzał ją na górę, też wszyscy tylko na nią patrzyli. Wstaliśmy od stołu, chodziliśmy po jadalni, nikt się niczym innym nie zajmował.

Po długim milczeniu Rafael stwierdził:

- Nie sędzę, by to mógł zrobić kapitan. Podczas największego zamieszania był na schodach.

Prefekt skinął głową.

- A ktoś inny?

- A czy trucizna nie mogła się znajdować na talerzach od samego początku? - zapytała Taran.

- To możliwe, choć nie przypuszczam. Z jakiego powodu służba miałaby trucić gości? Poza tym te szare ziarenka leżą na samym wierzchu, na warstwie cukru i cynamonu. Nie są też takie wilgotne. Nie, ja myślę, że owa tajemnicza szara substancja została rozsypana dopiero co. Czy mogę obejrzeć wasze ręce? I kieszenie? U wszystkich.

Ogłędziny jednak nie dały pozytywnego rezultatu. Prefekt rozglądał się, czy gdzieś w kącie nie porzucono jakiegoś woreczka czy torebki, także bez skutku.

Po godzinie musiał dać za wygraną. Właśnie wrócił Villemann, który z całym talerzem deseru został wysłany do przyjaciela prefekta, chemika.

Tymczasem wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Danielle i Dolg poszli do biblioteki szukać książki, w czym pomagali im Taran z Urielem. Rafael poprosił Wirginię o chwilę rozmowy, na co ona zgodziła się bardzo chętnie, natomiast prefekt z Villemannem zajęli się ostatnią częścią domu, której jeszcze nie sprawdzili, mianowicie piwnicami.

W pewnym momencie do biblioteki weszła wysoka Lilly, zdenerwowana i przestraszona. Prosiła Taran o rozmowę, lecz Uriel, który teraz nie spuszczał ukochanej z oczu, upierał się, że będzie jej towarzyszył. Taran jednak domyślała się, o co chodzi.

- Mój drogi, to rozmowa dwóch kobiet - tłumaczyła łagodnie. - Usiądziemy tam w okiennej niszy, to będziesz nas przez cały czas widział.

Lilly przyjęła te słowa z wyraźną ulgą, więc Uriel ustąpił.

- Naprawdę nie mam się z tym do kogo zwrócić - zaczęła Lilly, gdy zostały same. - Trudno o takich sprawach rozmawiać z mężczyznami, a twoja kuzynka wydaje się zbyt młoda i niewinna... Ona ma na imię Danielle, prawda?

Taran potwierdziła skinieniem głowy. W głębi duszy zastanawiała się, co też mogą oznaczać „takie sprawy”, jak to określiła Lilly, i dlaczego ona sama, Taran, nie wydaje się młoda i niewinna. Ale co tam, ciekawość była silniejsza od urazy.

- Ja chciałam tylko powiedzieć, że to nie z mojej winy stało się tak, jak się stało - wybuchnęła Lilly.

Taran patrzyła na nią z uprzejmą, wyrażającą zainteresowanie miną. Lilly nie była ładna. Zbyt koścista i niezdarna, w ogóle nie miała talii, nogi i ręce chude, jakby pozbawione mięśni, i wciąż nie wiedziała, gdzie podziąć te ręce, składała je, rozkładała, załamywała, jakby jej przeszkadzały. Twarz też miała brzydką, ale głównie za sprawą ponurej miny, którą niezmiennie prezentowała.

- Byłam najstarszą z trzech siostr - mówiła dalej. - Nasi rodzice i pułkownikostwo postanowili, że Kristoffer ożeni się ze mną. Ja bardzo tego chciałam, on jednak zakochał się w mojej siostrze, zerwał zaręczyny i poślubił ją zamiast mnie. Był to w swoim czasie głośny skandal. Rok temu nasi rodzice zmarli, a ja i Milly nie miałyśmy się gdzie podziąć. Myślę, że nasza siostra, kapitanowa, zaprosiła nas tutaj kierowana złymi uczuciami i potrzebą zademonstrowania mi swojej wyższości. Chciała, żebyśmy widziały, jak jej się poszczęściło i jakie wspaniałe życie prowadzi. Ona... Ona upokarzała nas na każdym kroku, była, mówiąc otwarcie, zła!

- A czy naprawdę była aż taka szczęśliwa? - przerwała jej Taran.

- Nie - wykrztusiła Lilly, zadowolona, że została zrozumiana. - Wcale nie była szczęśliwa, bo jej mąż zdradzał ją dosłownie przez cały czas.

- No tak. Jego matka określiła to mianem „silnej natury”.

- Bardzo delikatnie powiedziane. Najgorsze ze wszystkiego było to, że on się do mnie zalecał, a ja nie miałam dość siły, by go odepchnąć. Przecież kiedyś miał być mój i pewnie też chciałam się zemścić na siostrze.

- Całkiem zrozumiale - rzekła Taran spokojnie. - A co z Milly?

- Milly? - zapytała Lilly z wyraźnym obrzydzeniem. - Milly go uwodziła, a on jest słaby. Milly jest z nas najmłodsza, wciąż jeszcze mogłaby wyjść za mąż i założyć rodzinę. Dla mnie jest już na to za późno.

- Rozumiem - wtrąciła Taran łagodnie. - Ale jak było... to znaczy, czy kapitan nie zrezygnował ze swoich skoków w bok, że tak powiem?

- Z Milly nie romansował - rzekła Lilly krótko. - Bardzo szybko się nią znudził. Natomiast... No tak, czasami potrzebował mnie...

- Oczywiście. A Milly znalazła sobie inne tereny łowieckie?

- O, pani ma na myśli Symeona? Tak, Milly upadła skandalicznie nisko. Ale to także była z jej strony zemsta. Bo nasza siostra, kapitanowa, również robiła do niego słodkie oczy.

Boże drogi, pomyślała Taran. Cóż za obyczaje! Zemściła ją od tych wynurzeń o zdradach i zemście. Nie była przyzwyczajona do czegoś takiego.

- Staram się zrozumieć pani sytuację, panno Lilly - powiedziała Taran łagodnie. - I w żadnej mierze pani nie oskarżam. O nic.

Lilly popatrzyła na nią z wdzięcznością.

- Tak, chciałam tylko, byście państwo wiedzieli, że to nie ja przyczyniłam się do rozpadu małżeństwa mojej siostry. Kristoffer sam mnie chciał.

W jej głosie brzmiała źle ukrywana nuta dumy.

Taran zamyśliła się. Załóżmy, że Lilly mówi prawdę, ale to przecież nie zmienia faktu, że nienawidziła kapitanowej. Gdyby udało się usunąć z drogi tę znienawidzoną siostrę, to może mogłaby w końcu odzyskać swoją młodzieńczą miłość?

A Milly? Ta mała, słodka, pulchna niczym cherubinek Milly? Jak ona w tym wszystkim się odnajduje? Porzucona przez kapitana po żałośnie krótkim flircie? Stojąca wobec perspektywy, że już nigdy za mąż nie wyjdzie, podczas gdy najstarsza siostra ma taką możliwość?

Rozważania Taran przerwał prefekt, który właśnie wszedł do biblioteki. Za nim podążał Villemann, blady i poruszony. Obaj mieli ubrania mocno poplamione ziemią.

- Gdzie jest kapitan von Blancke? - zapytał prefekt ostro. - Uważam, że wszyscy powinniście pójść z nami do piwnicy. Nie, to znaczy tylko mężczyźni. Uriel, zajmiesz się, paniami, żeby im się nie stała jakaś krzywda, a wszyscy panowie proszę za mną.

Dolg szedł pogrążony we własnych myślach. Przeczuwał, że niebezpieczeństwo zagraża przede wszystkim Taran, a właśnie Taran była mu najbliższa.

Danielle, Villemann, Taran... Właściwie każde z tej trójki mogło się stać kolejną ofiarą nieznanego zabójcy. Wszak kapitanowa von Blancke została już zamordowana... Kto jest do tego stopnia szalony, by dążyć do zgładzenia czterech osób nie mających ze sobą żadnych widocznych powiązań?

A może wszyscy goście mają zostać usunięci?

Nie, w to Dolg nie mógł uwierzyć. W końcu nie widział tu żadnego potwora, żywił więc w głębi duszy nadzieję, że już nikt więcej nie zginie.

I tu popełniał błąd.

15

Znajdowali się w piwnicy. Posuwali się wzdłuż długich ciemnych korytarzy, przy których widzieli leżące wina oraz skrzynie pełne warzyw. Villemann niósł latarkę i oświetlał wszystkim drogę. W pewnym momencie prefekt rzeki, jakby chcąc się wytłumaczyć:

- Nie spodziewaliśmy się, oczywiście, znaleźć tu niczego szczególnego, ale skoro przeszukaliśmy dokładnie cały dom, należało też przyjrzeć się piwnicy. Zabraliśmy ze sobą Nera i w pewnej chwili pies zaczął okropnie warczeć. Potem zniknął w ciemnym korytarzu, do którego zaraz dojdziemy, więc ruszyliśmy za nim.

Prefekt umilkł i orszak posuwał się dalej w milczeniu. Oprócz Dolga przyłączył się do nich kapitan, na którego natknęli się w hallu, oraz pułkownik, który wrócił już od proboszcza. Kobiet nie było, natomiast prefekt zażądał, by poszedł też Symeon.

Rafael wrócił ze spaceru z Wirginią właśnie w momencie, kiedy grupa zaczęła schodzić do piwnicy, i Villemann zapytał:

- No, i jak poszło?

- Zgodziła się uciec z nami dzisiejszej nocy - szepnął z wielkim zadowoleniem Rafael, nie spuszczając z Wirginii pełnego zachwyty spojrzenia. Ona tymczasem po

kryjomu przemknęła się do swego pokoju, powiedziała, że chce zapakować najpotrzebniejsze rzeczy. Rafael poszedł za Villemannem i resztą do piwnicy.

Zgodnie z życzeniem prefekta Dolg wziął Nera na smycz. Pies dygotał na całym ciele. To był jego wielki wyczyn, jego odkrycie, które bardzo chciał wszystkim pokazać.

Prefekt zatrzymał się przed niewielkimi, niemal niewidocznymi drzwiami.

- Kiedy przyszliśmy tu po raz pierwszy, drzwi były zamknięte - powiedział głosem tak cichym, że wszyscy zaczęli się zastanawiać, czy po tamtej stronie nie znajdują się przypadkiem jacyś ludzie. - Pies się jednak szarpał i bardzo chciał tam wejść... No już, już dobrze, jesteś bardzo dobrym pieskiem - rzekł do Nera, który domagał się pochwal. - Wyważyliśmy więc drzwi i... Zresztą zobaczcie sami.

Otworzył jak szeroko, a Villemann uniósł w górę latarkę.

Ukazało się niewielkie pomieszczenie, w którym najwyraźniej przechowywano opał, ale musiało to być bardzo dawno temu, bo teraz izdebka wyglądała na zapomnianą.

- Nawet nie wiedziałem, że coś takiego tu jest - mruknął kapitan. - Ale... Mój Boże, co to?

Wszyscy odskoczyli w tył, gdy w kręgu światła ukazało się coś leżącego na zaśmieconej glinianej podłodze.

Jakiś czas temu musiała to być istota ludzka. Kiedyś, ale niezbyt dawno. Sądząc po resztkach ubrania, był to miody chłopiec, na szyi miał grubą linę zadziergniętą w pętlę.

Pułkownik jęknął.

- To przecież nie może być...

- Owszem - przerwał mu kapitan głuchym głosem. - To Frantzl.

- Tak właśnie myśleliśmy - rzeki prefekt sucho. Rafael był wstrząśnięty.

- Ale Wirginia powiedziała, że on... Nie, niczego takiego nie mówiła. Wspominała tylko, że go już nie ma, a chodziło jej z pewnością o to, że zniknął.

Przy wejściu rozległ się straszny pisk. Nikt się nie spodziewał, że Wirginia zejdzie do piwnicy.

- Frantzl? Wspominaliście tutaj Frantzla? Czy to prawda? - zawodziła rozpaczliwie.

Rafael natychmiast się odwrócił i przytulił ją mocno do siebie.

- Wirginio, nie powinnaś była tutaj przychodzić! Dziewczyna wybuchnęła histerycznym płaczem.

- Frantzl! O, Frantzl, mój ukochany przyjaciel, czy on został tutaj zamknięty i nikt nie słyszał jego wołania?

- Nie, to nie było tak - zaprzeczył Villemann. - Rafael, zabierz ją stąd natychmiast, bardzo źle się stało, że to usłyszała.

Wirginia nie przestawała krzyczeć. Szarpała i kopała, chcąc się wyrwać z objęć Rafaela, który starał się ją podnieść. W pewnym momencie podszedł pułkownik i wymierzył wnuczce siarczasty policzek tak, że dziewczyna straciła dech i zamilkła przerażona.

Rafael chciał powiedzieć brutalnemu dziadkowi: „Tak silny cios nie był chyba konieczny”, ale zaraz przekonał się, że chyba jednak był. Wirginia uspokoiła się i już nie protestowała, gdy ją wynosił z piwnicy. Płakała tylko cicho z twarzą ukrytą na jego piersi.

- Kapitanie von Blancke, co panu wiadomo o zniknięciu tego chłopca? - zapytał prefekt.

- Nic więcej poza tym, że nieoczekiwanie przestał się pokazywać - odparł kapitan zgnębiony. - Bywał przecież częstym gościem w naszym domu jako kolega mojej córki, ale nigdy bym nie przypuszczał, że znajdziemy go tutaj!

- Pułkowniku von Blancke, a co panu o tym wiadomo?

Nic - odparł z widocznym wysiłkiem. - Bo, rzeczywiście, jak powiedziano, często odwiedzał Wirginię, ale ja, niestety, wiem bardzo niewiele o dzisiejszej młodzieży.

- Kiedy on właściwie zniknął? - zapytał Dolg.

- No właśnie, kiedy to było? - poparł go prefekt. - Czy to czasem nie zimą? Jakies trzy kwartały temu?

Stali w milczeniu, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. W końcu odezwał się Villemann:

- Został uduszony, dokładnie tak jak pańska małżonka, kapitanie. Sznur na szyi. Wciąż tam jeszcze jest. Węzeł prymitywny, ale skuteczny.

- Tak jest.

Wszyscy goście myśleli to samo: Chłopiec musiał zginąć, ponieważ - tak jak znacznie później żona kapitana - odkrył, co naprawdę dzieje się w tym domu. Ktoś się postarał, by chłopiec zachował milczenie.

I znowu cios najboleśniej dotknął małą Wirginię. Utraciła towarzysza zabaw, potem zaginęła matka, teraz okazało się, że oboje nie żyją.

Trzeba ją zabrać z tego domu, zanim jej się też coś przytrafi. Żeby tylko Dolg znalazł tę nieszczęsną książkę, to znikną stąd wszyscy jak najszybciej. Nawet by nie czekali do nocy!

Prefekt uznał, że ma teraz aż nadto spraw do wyjaśnienia. Małżonka kapitana i chłopiec z sąsiedztwa zostali zamordowani. Ktoś podjął też próbę zamordowania dwojga gości, Taran i Villemanna. Villemann był co prawda znakomitym asystentem, lecz prefekt czuł, iż musi sprowadzić posiłki.

Bonifacjusz Kemp? To bardzo zdolny człowiek. Z pewnością uda się go wypożyczyć na parę dni. Kapitan von Blancke jest przecież przyjacielem komendanta garnizonu.

W tym właśnie momencie prefekt podjął niewłaściwą decyzję. Poślaniec, którego pchnął do koszar, niebacznie wspomniawszy komendantowi o tym, jakich to kapitan ma gości. Był ktoś, kto usłyszał te słowa.

Nareszcie, nareszcie jakiś ślad rodziny czarnoksiężnika, która przepadła jak kamień w wodę!

Popołudnie. Wilgotny, zupełnie zaskakujący jak na tę porę roku, dławiący upał ogarniał miasto.

Dom pogrążony był w ciszy, niektórzy drzemali po obiedzie, inni wrócili do własnych zajęć. Wirginia poszła do swego pokoju, skąd przez jakiś czas słychać było jej rozdzierający płacz. Potem jednak wszystko umilkło, być może zasnęła.

Rafael błądził niespokojnie po ogrodzie, raz po raz spoglądał w stronę okna Wirginii, ale nie chciał przerywać jej snu, którego z pewnością bardzo potrzebowała. W końcu Taran, nieco zirytowana, poprosiła go, żeby przestał tak krążyć w kółko jak mężczyzna oczekujący na rozwiązanie swojej żony, wobec czego urażony Rafael poszedł do biblioteki i usiadł w kącie.

Tutaj panował spokój. Dolg nieustannie szperał pośród tysięcy tomów tego niezwykle bogatego księgozbioru, nadal jednak nie wiedział, czego tak naprawdę szuka. Danielle też tutaj była, spała na kanapie, Villemann natomiast wciąż dotrzymywał towarzystwa prefektowi podczas przesłuchań służby.

Domownicy wycofali się do swoich pokoi.

Do biblioteki przyszli Taran i Uriel.

- Czy nie możesz szybciej szukać tej przeklętej książki, żebyśmy mogli się stąd ulotnić? - spytała Taran niecierpliwie. - W tym domu z każdego kąta wieje grozą.

- A nie chcesz poprosić duchów o pomoc? - podsuwał Uriel.

- Nie wolno mi - odparł Dolg. - Cień powiedział, że z tą sprawą dam sobie radę sam, skoro mam takie dobre... - zamilkł na chwilę, a potem dokończył stłumionym głosem:
- ... narzędzia.

Patrzyli na niego zdziwieni.

- Do jakiego stopnia właściwie człowiek może być głupi - rzeki Dolg z wyrzutem pod własnym adresem. - Zapomniałem, co dokładnie Cień powiedział.

- Co masz na myśli? - spytał Rafael, który na ten moment zapomniało uwielbianej Virginii.

- No tak, książka ma coś wspólnego ze Świętym Słońcem. Podobnie jak nasze kamienie. Villemann! Gdzie jest Villemann?

Nikt nie wiedział. Wszyscy oprócz Dolga pobiegli go szukać.

Po chwili przyszedł razem z prefektem i tymi, którzy go szukali, to znaczy z Taran, Rafaelem i Urielem. Danielle obudziła się i też przyłączyła do towarzystwa. Z gorącą pot perlił się na jej czole.

- Proszę mi wybaczyć, panie prefekcie - rzekł Dolg.

- Nie chciałem pana obarczać naszymi prywatnymi zmartwieniami, ale skoro pan tu jest... Proszę mi tylko obiecać, że zaraz pan zapomni o tym, co tu widział.

Prefekt słyszał co nieco o niezwykłych zdolnościach Dolga i Móriego, ale szczerze mówiąc, nie bardzo w nie wierzył. Obiecał więc, lekko rozbawiony, że oczywiście, o wszystkim zapomni.

- Villemann! - Dolg niecierpliwie strzelił palcami.

- Wyjmij niebieski kamień! Szybko!

Villemann natychmiast zaczął wyjmować klejnot z woreczka u paska.

- A dlaczego nie czerwony? - spytała Taran cicho.

- Nie, nie tutaj - uciął. - To znalezisko, jeśli oczywiście znajdziemy książkę, będzie oznaczało krok naprzód - dodał Dolg. - Danielle! Stań przy drzwiach i pilnuj, żeby nikt tu nie wchodził!

Nareszcie Villemann zdołał wydobyć kamień i promienny blask rozjaśnił pokój.

- Panie Jezu! - szepnął prefekt. - Co to jest?

- Jeden ze świętych kamieni Lemurów - powiedział Dolg sucho.

Tyle szacunku żywili dla prefekta, że zdecydowali się powiedzieć mu prawdę.

Kamień lśnił i mienił się intensywniej niż kiedykolwiek. Fale światła popłynęły na pokój, kiedy Dolg uniósł klejnot w górę.

- Dobrze, ale co to za kamień? - pytał prefekt Taran. - Wygląda jak wspaniały szafir.

- Tak, bo to jest szafir. Równego mu nie ma na ziemi.

- Rozumiem - odparł prefekt głucho. Wpijał się wzrokiem w niebieską kulę.

Powoli promienie układały się w wiązkę skierowaną na jedną z dłuższych ścian sali.

- No! To przynajmniej wiemy, gdzie nie powinniśmy szukać - ucieszył się Dolg. - Jestem tylko wściekły sam na siebie, że prędeż na to nie wpadłem. Ciężko powiedział mi przecież wyraźnie, ale ja musiałem widocznie myśleć wtedy o czym innym.

- A poza tym nie powinieneś nadużywać kamieni - próbował go usprawiedliwiać Uriel.

- Tak, masz rację. Ale w tym przypadku...

Rafael sprawiał wrażenie wdzięcznego za całe to opóźnienie. Dzięki temu mógł dłużej być z Wirginią, miał czas przekonać ją, by razem z nimi opuściła dom.

Danielle traktowała swoje zadanie z największą powagą. Co parę minut informowała, że nikt nie nadchodzi.

W milczeniu patrzyli, jak wiązka niebieskich promieni kieruje się ku wysokiej szafie.

- Ale tam chyba nie ma żadnych książek - rzekł Villemann.

- Tego nie wiemy - odparł Dolg.

Podszedł do szafy i przekręcił mały kluczyk w zamku.

W środku na półkach stało kilka statuetek, z pewnością bardzo wartościowych, duży wazon i miseczka. Na samym dole leżał plik jakichś pism oraz zawinięta w papier niewielka paczka.

Dolg trzymał w uniesionych dłoniach szafir tak, by wiązka promieni mogła wskazać właściwy kierunek.

- To paczka - stwierdził Rafael cicho.

- Tak, bez wątplenia. Została zaadresowana do... Zdumiony patrzył na otaczającą go gromadkę.

- Do pani pułkownikowej!

Danielle wtrąciła cieniutkim głosem:

- To możliwe, ja w wielu książkach widziałam jej nazwisko i ekslibrisy.

- Aha, a więc w tej rodzinie ona reprezentowała intelekt - mruknął Dolg. - Ale co zrobimy z tą paczką? Poprosimy panią pułkownikową o pozwolenie?

- To niemożliwe - stwierdził prefekt kompletnie oszołomiony tym, co się rozgrywało przed jego oczyma. - Pan Villemann i ja próbowaliśmy ją przed chwilą przesłuchać, ale śpi jak zabita, w ogóle nie ma kontaktu z rzeczywistością.

Wszyscy zaczęli się zastanawiać, co ją wprawiło w ten głęboki sen. Zbyt duża dawka alkoholu, z pewnością tak, ale może też ktoś chciał usunąć ją sprzed oczu obcych. Nie bardzo przecież było co pokazywać.

Dolg podjął decyzję.

- Panie prefecie, nie mamy czasu do stracenia. Czy zechce nas pan potem wytłumaczyć przed panią pułkownikową?

- Chętnie to zrobię. A teraz proszę otworzyć! Sam jestem bardzo ciekaw.

Złamali pieczęcie i przecięli sznurek.

Tak jak się spodziewali, w paczce były książki. Dwie. Wysłane przed paroma miesiącami z Monachium.

- Nic dziwnego, że nie mogliśmy w bibliotece znaleźć właściwej książki - mruknął Dolg. - Szukaliśmy tylko na półkach.

Jedna z książek to był zbiór psalmów w tłumaczeniu jakiegoś współczesnego poety. Nie sądzili, by miały one jakikolwiek związek z poszukiwaniami Świętego Słońca.

Natomiast druga... Bardzo ładnie wydana. Hiszpańska. Coś o „Baltico”.

- O czym to jest? - Rafael nie zrozumiał.

- Wygląda na jakieś studium historii Morza Bałtyckiego.

- Znowu Morze Bałtyckie! - wykrzyknęli Taran i Villemann niemal równocześnie.

- Znowu - przyznał Dolg cicho.

Kartkował wolno książkę.

- Wygląda na bardzo solidne dzieło. Trudny język To praca naukowa. Panie prefekcie, to nie jest książka do czytania po obiedzie. Zwłaszcza jeśli się nie zna hiszpańskiego.

Podał książkę prefektowi, który zaczął ją oglądać na wszystkie strony.

- Ma pan rację, nie rozumiem ani słowa. Naprawdę, trudna sprawa. Co pocniemy z tym fantem?

- Może należałoby spytać kapitana o radę? - zastanawiał się Dolg. - Albo pułkownika. Nam jednak ta książka jest strasznie potrzebna. Wskazuje na zainteresowanie Cienia. Może moglibyśmy ją odkupić? A przynajmniej pożyczyć.

- Spróbujemy się dowiedzieć - rzeki prefekt. - A tymczasem proszę ją zatrzymać...

Nie dokończył, bo Danielle podbiegła do nich na palcach, jakby po kryjomu, nie wiadomo czemu wytrzeszczając oczy.

- Idzie kapitan von Blancke - szepnęła.

- Dziękuję, Danielle - powiedział Dolg. Już jakiś czas temu schował szafir. - Kapitan miał bardzo trudne zadanie do wykonania, musiał mianowicie pójść do sąsiadów i powiadomić, że znaleziono ciało ich syna. Dobrze, że jest już z powrotem, będziemy go mogli zapytać o książkę.

Kapitan von Blancke wszedł do biblioteki z ponurą miną, a pytania gości zaskoczyły go. Szczerze mówiąc było im go żal. Stan matki, utrata żony, a teraz jeszcze znalezienie w jego domu zwłok chłopca, wszystko to musiało go przygnębiać. Już dawno uświadomili sobie, jak bardzo był niegdyś przywiązany do matki, zdaje się, że nadal żywił dla niej bardzo ciepłe uczucia mimo jej upokarzającego stanu.

- Książka mojej matki, która została tu przysłana? Nic wiem - bąkał bezradnie, nie pojmując, o co chodzi. - Może powinniśmy zapytać ojca...

- To już chyba raczej pytanie do pańskiej matki - prze rwał prefekt szorstko. -
Ponieważ jednak ona odpowiadanie może, zwracamy się do pana, kapitanie von
Blancke.

- Tak, oczywiście, ja...

Nadal nie był w stanie rozwiązać problemu.

Dolg starał się mu pomóc.

- Czy wie pan, dlaczego pańska matka zamówiła akurat tę książkę? - zapytał
łagodnie. - Książkę o Morzu Bałtyckim. Leży ono przecież daleko stąd, a sądząc po
zawartości całej biblioteki, znajduje się poza kręgiem zainteresowań pani
pułkownikowej. Czy pańska matka czyta po hiszpańsku? Nie? Tak też myślałem.

Kapitan bezradnie zamachał rękami.

- Ach, moja droga matka była zawsze taka impulsy-w na. Zdarzało się, że zobaczyła
coś przypadkowego i natychmiast musiała to mieć. Tak też mogło być z tą książką o
pięknej ilustracji na okładce. A potem zapomniała o niej. To naprawdę nie musi
znaczyć nic więcej.

Zwrócili uwagę, że mówiąc o matce, używa czasu przeszłego, jakby już nie żyła.
Sprawiało to wyjątkowo tragiczne wrażenie, prawdopodobnie dlatego, że wciąż ją
kochał.

Taran próbowała jakoś załatwić sprawę.

- Kapitanie von Blancke, my mieszkamy przecież nie tak strasznie daleko stąd. Czy
mógłby nam pan pożyczyć książkę na parę miesięcy? Potem ją odeślemy. Pańska
matka dostała paczkę już dawno temu i nawet jej nie rozpakowała, więc to dzieło
pewnie nie było jej takie potrzebne.

Kapitan wyraźnie odczuwał ulgę, że ktoś przejął inicjatywę. Co też z niego za
dowódca, pomyśleli goście.

- Wspaniale! Jak tylko matka wyzdrowieje, natychmiast dam jej znać, co się stała.

Pułkownikowa nie wyzdrowieje nigdy, pomyślała Taran zgnębiona. Ale zachowaj
iluzje, mój chłopcze. Ona z pewnością też żywi swoje złudzenie.

A może nie. Mówiła coś na schodach. Zdaje się o grzechach przodków. Nie, chyba
odwrotnie... Taran nie pamiętała.

Może ona wie, co się dzieje w tym domu? Może zdaje sobie sprawę z tego, że syn
jest kompletnie pozbawiony charakteru i zasad moralnych? Wszystko zdaje się na to

wskazywać. A to musi ją bardzo ranić. Chyba jednak nie do tego stopnia, by starała się topić zmartwienia w alkoholu.

Jeśli to nie ona jest największym wstydem tego domu... Może jednak stara dama jest wszystkiemu winna? Czyżby rozwiązanie było aż tak proste?

Niebywale inteligentne rozważania Taran zostały przerwane. Podczas gdy prefekt rozmawiał z kapitanem, von Blancke w drugim końcu pokoju, Dolg westchnął i powiedział do swoich przyjaciół

- A zatem mamy książko. Teraz pozostaje tylko sprawa Wirginii. Nie będziemy czekać do jutra. Znikamy teraz, natychmiast, mam wrażenie, że czas nagli.

Wszyscy przyznawali mu rację.

- Zaraz sprowadzę dziewczynę - rzeki Villemann z za pałem.

- Nie. Ja to zrobię - przerwał mu Rafael. - I natychmiast potem opuścimy ten dom.

- Tak powinniśmy postąpić - potwierdził Dolg powoli., jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Ale.. Wszyscy patrzyli na niego z zaciekawieniem.

Milczeli dość długo, jakby nagle ogarnęły ich niezrozumiałe wątpliwości.

- Nie wiem, dlaczego - wycedził w końcu Dolg przez zęby - ale wydaje mi się.; że Rafael nie powinien tam chodzić. Rafael protestował gwałtownie:

- Wirginia jest kobietą mego życia i miałbym stać na uboczu, kiedy chodzi o ratowanie jej?

Dolg potrząsnął głową.

- Myślałem tylko, że Villemann jest od ciebie silniejszy, i fizycznie, i psychicznie. Przecież te straszne baby na górze mogą starać się wam przeszkodzić. Może one pilnują także Wirginii, nie tylko pani pułkownikowej.

- Dlaczego, na Boga, miałyby to robić? Idę.

Wybiegł z pokoju i kilkoma susami pokonał schody.

- Idź z nim - polecił Dolg bratu, który stał, nie wiedząc co robić. Teraz ruszył za Rafaelem. - A my przygotujemy się do opuszczenia tego domu. Musimy się spieszyć.

- Dlaczego? - zapytała Taran.

- Bo czuję silne pulsowanie czerwonego farangila - od parł Dolg. - To ostrzeżenie.

- Rozumiem - pokiwała głową Taran. - Chodź, Arielu!

W tym momencie przy bramie rozległo się pukanie.

Kapitan, który odpowiadał na pytania prefekta, urwał w pół słowa.

Kamerdyner wyszedł, by otworzyć. Wszyscy zebrani w bibliotece mieli z okna widok na podjazd i mogli obserwować największe entree tego dnia.

W bramie ukazała się ubrana na biało kobieta. Bardzo piękna, choć w jakiś szczególny sposób, i niezwykle elegancko ubrana. Włosy miała upudrowane i upięte wysoko według najnowszej mody. Czarne oczy i czerwone wargi były jedynymi barwnymi plamami na tle bieli całej postaci.

- Ciekawe, dlaczego na jej widok pomyślałam o kanibalu - mruknęła Taran. - Ona ma uśmiech jak tygrys ludojad.

- Och, nic podobnego - szepnął Uriel. - Kochanie, dlaczego ty zawsze musisz sobie wyobrażać takie makabryczne rzeczy?

Kapitan pospieszył przywitać gościa. Niemal mogli zobaczyć, jak życiowe soki zaczynają w nim buzować.

Nie usłyszeli, co, powiedziała piękna pani, lecz jego odpowiedź dotarła do nich wyraźnie:

- Tak, to ja jestem kapitanem von Blancke. Pozdrowienia od mego przyjaciela Gerta? O, jak mi miło! Oczywiście, że znam Gerta! Proszę wejść, bardzo proszę!

- Na Boga, gdzie ja już widziałem tę twarz? - powiedział cicho Dolg.

16

Dom płał się w upale. Powietrze było rozedrgane od gorąca, ciężkie i dławiące, ludzie z trudem oddychali.

Villemann i Rafael weszli do hallu na piętrze, koszule lepiły im się do ciała, spocone włosy przywierały do karków. Obaj dyszeli ciężko.

Rafael na próżno starał się ukryć irytację, że Villemann mu towarzyszy. Chciał, by to on sam, Rafael, mógł uratować małą Wirginię, wyrwać ją z tego straszego domu, od tych niemoralnych ludzi i ich obrzydliwego zachowania. Musieli ją stąd zabrać, to najważniejsze ze wszystkiego!

- Wiesz, w którym pokoju ona mieszka? - zapytał Villemann.

Rafael miałby tego nie wiedzieć?

- Oczywiście, że wiem - odparł. - Po drugiej stronic. w głębi korytarza.

- No to chodź!

Znaleźli właściwe drzwi. Rafael głęboko wciągnął powietrze, po czym zapukał.

- Wirginio - powiedział cicho. - Musimy iść. Zaraz! Czekali.

Słyszeli ze środka jakiś odgłos, stłumiony, przeciągły.. który mógł przypominać śmiech. Ale równie dobrze mógł to też być płacz. Na tę myśl włosy im się zjeżyły na głowach.

Odgłos umilkł i zaległa kompletna cisza.

- Wirginio - powiedział Villemann ostrzejszym tonem.

Po krótkiej chwili dal się słyszeć jej głos:

- Nie teraz. Przyjdę niedługo, ale tymczasem wracajcie na dół!

Chłopcy spoglądali po sobie. Usłyszeli, że wewnątrz ktoś przeciąga po podłodze jakiś ciężki mebel, a potem rozległo się głośnie uderzenie w drzwi.

- Zdaje mi się, że coś tu nie jest tak jak powinno - szepnął Villemann.

Nasłuchiwali przestraszeni. Cisza.

Nie, znowu jakieś przyciszone glosy. Jęki. Coraz głośniejsze, pospieszne głębokie sapanie, przechodzące w głuchy skowyt.

Nic nie rozumiejąc, patrzyli na siebie.

- Mój Boże - wyszeptał Rafael. - Zdaje mi się...

- Tak - jęknął Villemann. - Ją chyba ktoś gwałci! - O Boże, Boże, nie! - zawodził cichutko Rafael.

- To na pewno ten chłopak z ogrodu! - stwierdził Villemann.

- Tak. O Boże! O Święta Mario, Matko Boża! Rafael łomotał rozpaczliwie w drzwi.

- Wirginio! Wirginio!

Znowu dal się słyszeć jej głos, ale taki zdławiony, jakby jej ktoś zatykał usta:

- Idźcie stąd! Idźcie! Uciekajcie!

Rafael całym ciałem napierał na drzwi, ale nie ustępowały. Nie były zamknięte na klucz, stało za nimi coś ciężkiego.

- Nie mogę otworzyć - żalił się zrezygnowany.

- Wybiegnę na dach do okna. Przy jej pokoju dach jest płaski i ma ten sam gzyms, co przy pokoju Danielle - wykrztusił Villemann.

- Tak, tak! Idź, a ja będę próbował otworzyć z tej strony. O, moja biedna dziewczynka!

Villemann zniknął za zakrętem korytarza.

Rafael zmagął się z mosiężną klamką. Po drugiej stronie rozległ się dziwny odgłos, jakby ktoś naga stopą kopnął jakiś mebel.

Miał ochotę krzyknąć: „Zostaw ją, ty potworze”, ale nic był w stanie wydobyć głosu z krtani. Dławiły go rozpacz, desperacja i wściekłość, jakich nigdy przedtem jeszcze nie przeżył. Mógłby zabić tego nędznika gołymi rękami, mógłby...

Nie, w ten sposób niczego nie osiągnie.

Przez dłuższą chwilę stał, nie wiedząc, co począć. Może powinien zbiec na dół, żeby zawołać na pomoc Dolgi i prefekta?

Nie, nie chciał, żeby upokorzona Wirginia musiała patrzeć na obcych ludzi.

W końcu odzyskał zdolność działania. Villemann. Po winien pobiec za Villemannem. Trzeba wybić okno! Pomknął jak szalony.

W pół drogi spotkał białego jak kreda Villemanna.

- Słuchaj, musimy...

Villemann chwycił go za ramię.

- Nie idź tam, Rafaelu! Na Boga, rób, co chcesz, ale nie idź tam!

- Ale my...

- Musimy uciekać z tego domu jak najszybciej. Zaraz! Chodź!

Rafael próbował mu się wyrwać.

- Czyś ty zwariował? Nie możemy wyjechać bez tej nieszczęsnej dziewczyny! Mamy ją tak zostawić własne mu losowi?

Nareszcie udało mu się wyszarpnąć. Villemann próbował złapać go ponownie, ale nagle zgiął się w pół i chwycił obiema rękami za żołądek.

- O Boże! Mdli mnie! Jestem chory!

Zataczając się zbiegił po schodach na dół.

Rafael stał nie dłużej niż kilka sekund, potem z wściekłością potrząsnął głową i wszedł na ciągnący się pod oknami gzyms, starając się jednocześnie policzyć, które okno może należeć do Wirginii.

Mała, nieszczęśliwa Wirginia. Moja najdroższa, już do ciebie idę, przy mnie nie będziesz się musiała niczego wstydzić, nie będziesz musiała cierpieć, ja wiem, na co zostałaś narażona. Już jesteś uratowana, dziecinko, mój mały elfie.

Zatrzymał się przy oknie do jej pokoju.

Dzikię wino go osłaniało, ze środka nikt nie mógł go zobaczyć.

On jednak widział. Widział i z początku niczego nie pojmował.

Stał na krawędzi gzymsu jak słup soli, utracił zdolność ruchu, zdolność myślenia, jakiegokolwiek działania.

Cała scena trwała jeszcze kilka minut, on miał jednak wrażenie, że to wieczność.

Pierwsze, co zobaczył, to dwa wielkie, gołe męskie kolana, szeroko rozstawione tak, że widać było spoza nich owłosione uda. Siedziała na nich okrakiem naga dziewczyna twarzą zwrócona ku oknu, a oboje znajdowali się w dużym fotelu, oparciem odwróconym do drzwi. To jednak nie fotel je przytrzymywał, tylko niska drewniana szafa czy może raczej kredens. Dziewczyna kołysała się, lekko machając nogami, i od czasu do czasu jedna jej stopa uderzała o szafę.

Niemy krzyk narastał w Rafaelu, miał wrażenie, że za chwilę serce mu pęknie, rozerwie się na kawałki, a on umrze. Dziewczyną była Wirginia.

Młody romantyk Rafael, w dalszym ciągu skamieniały z wrażenia, patrzył na jej oczy, które lśniły pod na pół przymkniętymi powiekami.

Przez moment nad szczupłym ramieniem dziewczyny widział krótko ostrzyżone włosy pułkownika. Kościsty kolana mogły należeć tylko do niego.

Pułkownik mruczał cicho:

- Zaczynają ci rosnać piersi! Mój mały żołnierz nic powinien mieć czegoś takiego.

- To nic groźnego - odpowiedziała z uśmiechem. - Większych mieć nie będę. Piję zioła, które sprawiają, że nie rosnę, więc na zawsze pozostanę „małą Fritzl”.

Pułkownik burknął gniewnie:

- Oni znaleźli Frantzla.

- Wiem o tym.

- Czy to ty go udusiłaś? - wykrztusił.

Zmrużyła oczy i patrzyła na niego z niewinną minką.

- No nie, dziadku, jak w ogóle możesz coś takiego mówić?

Rafael i słyszał, i widział, że dziewczyna kłamie.

- Naprawdę? Byłem tego pewien. Musiała to zrobić ta moja szalona baba - westchnął uspokojony. - Nie szkodzi, zamiast Frantzla dostałem ciebie. A ty jesteś dużo lepsza. Teraz ty jesteś małym chłopczykiem dziadka!

Rafael próbował się poruszyć, bo jego ciało i dusza buntowały się przeciwko temu, co widział i słyszał, a wszystkie członki miał jak skamieniałe i ciężkie niczym z ołowiu.

Pułkownik mówił dalej:

- Chyba już sobie stąd poszli ci dwaj. Czego ty chcesz od tego słabeusza, Rafaela?

Niczego, chciałam go tylko trochę podrażnić. Zobaczyć, jak się zachowuje zakochane cielę. Co za idiota! Czy ty wiesz, że on mi czytał wiersz? Najśmieszniejszy wiersz świata, nigdy przedtem nie słyszałam takiego bełkotu. O świetle księżycy i zachodzie słońca i takie tam rzewne bzdury... On ma nadzieję, że ja z nimi ucieknę, ale się przeliczy. I to bardzo!

Rafael ocknął się z transu. Wycofał się z gzymsu, potem długo stał u szczytu schodów. Czuł, że na świecie istnieje tylko pustka. Potworna bolesna pustka, która tak dławiała go w piersiach, że pragnął przestać żyć.

Marzenie. Oszałamiające szczęście, że znalazł ją, tę jedyną. Co się stało z tym wszystkim?

To potwór!

O śmierci, zabierz mnie stąd! Uwolnij mnie! Otocz mnie swoim ramieniem i sprowadź na mnie wiekiuste zapomnienie! Pozwól mi pograć się w nirwanie, gdzie nie ma ludzi i nie ma zdrajców.

Bo dla mnie nie istnieje już żadna przyszłość.

Z bolesnym jękiem rozejrzał się wokół, postarał się ja- kog opanować i potykając się zbiegi w dół po schodach, a potem wypadł z domu.

Biegł długo. Zatrzymał się dopiero wówczas, gdy zabrakło mu sił.

CZĘŚĆ CZWARTA

WŚCIEKŁOŚĆ

17

Pajęczycza, Marie-Christine Galet, rozglądała się wokół przenikliwym wzrokiem.

A więc tutaj jest ten syn czarnoksiężnika! Aż zadrżała na jego widok, nie spodziewała się bowiem, że będzie wyglądał tak niezwykle, tak mistycznie, czy może raczej: mitycznie. Pospieszne spojrzenie, jakie mu posłała przy pierwszym spotkaniu na skraju drogi, nie było, jak widać, wystarczające. Teraz mogła się przyjrzeć lepiej.

Nie podobał jej się ten jego badawczy wzrok. On mnie rozpoznaje, przemknęło jej przez myśl. Chociaż może niedokładnie, to jednak wie, że już gdzieś mnie widział, ale nie może sobie przypomnieć, gdzie.

Ten śmieszny kapitan coś do niej mówił, wiele innych postronnych osób witało ją jak gościa, ale ona nie miała dla nich czasu. Mechanicznie odpowiadała coś kapitanowi, tak dokładnie, jak mogła, ale, nawet jeśli spoglądała też w innych kierunkach, cała jej uwaga koncentrowała się na synu czarnoksiężnika.

Zaprowadzono ją do niezwykle wytwornego pokoju, do którego weszła z wyszukaną elegancją. Pomyślała z wisielczym humorem: Oni powinni zobaczyć moją chałupę w górach, czarną od sadzy, wypełnioną wonią trujących ziół, jak siedzę z rokraczonymi nogami i ogryzam z kości na wpół surowe mięso.

Ale umiała też wczuć się w rolę eleganckiej damy, gdy chciała. Tak jak teraz. Wiedziała, że biel jest piękna i chłodna, ale dzisiaj spod pudrowanej peruki pot sływa strumieniami, a piękna suknia lepila się do ciała pod pachami i na plecach. Na razie niczego nie było widać, ale musiała się spieszyć.

Gdzieś na piętrze rozległy się jakieś hałasy, Trzaskanie drzwiami, wzburzone glosy.

- Co to za niepokój? - zapytała z rozbawioną miną.

- O, to tylko moi bracia - odparła ta młoda dama, której Pajęczycza tak nienawidziła. Nienawidziła bowiem wszystkich młodych i ładnych dziewcząt, a Taran była poza tym, jej zdaniem, wyjątkowo niebezpieczna.

Hałasy na górze ucichły i w pięknym pokoju można było powrócić do rozmowy. Strzępienie języka bez żadnej wartości, myślała L'Araignee niecierpliwie. Muszę zostać sam na sam z synem czarnoksiężnika! Nie mogę mieć świadków, kiedy będę go zabijać i odbiorę mu te magiczne kamienie!

Zalała ją fala niepokoju. Przeczuwała, że to nie będzie łatwe starcie.

Ale co tam! Czyż ona nie jest największą, czarownicą na świecie? Co on mógł jej przeciwstawić?

Nic. Może jakieś drobiazgi. Nieważne głupstwa!

Na górze znowu wszczęto harmider. To okropne, w tym domu człowiek nie może spokojnie pomyśleć!

Ktoś w wielkim pędzie zbiegł ze schodów. Młody blondyn, aha, to ten! Pamiętała go z pierwszego spotkania. Nikt ważny.

Ta pyskata dziewczyna chciała go zatrzymać, ale wy rwał się jej.

- Muszę wyjść! - wykrztusił. - Muszę na powietrze! Pozostali patrzyli po sobie.

- Co się Villemannowi stało? - dziwiła się ta, którą nazywano Taran.

Nikt nie potrafił jej odpowiedzieć.

Widzieli go przez okno. Stał przy schodach i wciągał głęboko powietrze aż ciężkie przed burzą. Twarz miał białą, wargi pobladłe.

Ta śmieszna mała gąska imieniem Danielle wstała, by do niego pójść.

- Zostaw go na chwilę w spokoju - powstrzymała ją ta cała Taran. - Zrobiło mu się niedobrze od gorąca. Wyjęła chusteczkę i wachlowała nią twarz.

Pajęczycza bardzo by chciała móc się zachowywać tak samo swobodnie, ale, niestety, musiała odgrywać dystygowaną damę.

Dziwny błysk pojawił się w oczach syna czarnoksiężnika. Dolg miał na imię. Co oznacza to jego pospieszne spojrzenie?

Nietrudno zgadnąć. Rozpoznał ją! Wie, że to ją spotkali na drodze. Zdradził ją chyba ten wyraźny francuski akcent. Nie... Przecież wtedy udawała Niemkę. Miała też na sobie podróżny kostium.

Głupstwa! Nawet jeśli była teraz inaczej ubrana, to i tak nie miało to wielkiego znaczenia.

Tamta śmieszna gęś wróciła na swoje miejsce, niepewna i przestraszona.

Mon Dieu, co też ten kapitan bredzi! Czy nie mógłby przestać jej uwodzić? Nie miała teraz czasu na takie głupstwa, zwłaszcza że on nie przedstawia dla niej żadnej wartości.

To Dolga pragnęła zdobyć. I to z wielu powodów. Chciała kochać się z nim. Potem go zabić. Ukraść mu szlachetne kamienie. Wyciąć wiele organów z jego ciała, mogły się okazać nieocenione!

Ech, Dolg stał wciąż w drugim końcu pokoju i nie by-la w stanie w żaden sposób go dosięgnąć!

Ale...

Mogła przecież posłać jedno ze swoich zaklęć wraz z demonicznym spojrzeniem, o którym mówiło wielu jej kochanków... Na chwilę przed śmiercią.

Jak postanowiła, tak zrobiła.

Natychmiast odwrócił ku niej głowę, ale wyraz jego oczu sprawił, że kolana się pod nią ugięły ze strachu, jakiego nigdy jeszcze nie przeżyła.

Musiła pospiesznie odwrócić wzrok.

O, do diabła, co to za mężczyzna? Jego niebywale czarne oczy płonęły, ciskały w jej stronę błyskawice tak intensywne, że potworny, nieznany dotychczas lęk chwycił ją za gardło. Mimo woli ręka czarownicy uniosła się do talizmanu, który nosiła na piersi pod bluzką. On dostrzegł ten ruch, zmrużył oczy tak, że zostały z nich tylko szparki.

O co mu chodzi? Czy wie, co ona ma pod bluzką? To niemożliwe! Nie mógł przecież nawet się domyślać, że za brała talizman martwemu rycerzowi, czy kim ten frajer był.

Znowu przerwano jej rozmyślania. Nie, to nie kapitan, w ogóle nie słuchała, co on gada, to jeszcze jeden młody człowiek zbiegł w ogromnym pędzie po schodach.

O ile tamten był blady jak ściana, to ten musiał by, szalony! Gnał niczym ścigane zwierzę, wypadł z domu za trzaskującą za sobą drzwiami i pobiegł ku bramie.

Cała ta sytuacja zaczynała być w najwyższym stopniu interesująca.

Rozpoznawała młodzieńca. To ten romantyk z głową w chmurach.

Do pokoju dotarł głos Villemanna:

- Rafael! Dokąd biegniesz? Wracaj!

Tamten jednak nie słuchał, pędził dalej i po chwili zniknął im z oczu.

Wszyscy w pokoju wstali i wyszli na dwór do Villemanna.

- Co się z wami dzieje? - zapytała Taran lekko zniecierpliwiona. - Dostaliście biegunki czy raczej...?

- Nie żartuj, Taran - przerwał jej Villemann udęczonym głosem. - Musimy powstrzymać Rafaela, zanim zdąży zrobić sobie krzywdę.

- Jak mamy go powstrzymać, poleciał przecież niczym wicher - mówiła Taran jak zwykle beztrąsko, ale widać było, że teraz jest naprawdę przestraszona. - Co z nim?

Z tobą zresztą też.

Villemann nic tym razem nie powiedział. On też zdawał sobie sprawę z tego, że nie zdołają dogonić Rafaela. - Poślijmy Nera - zaproponował Dolg.

- Oczywiście! Nero! Szukaj! Idź do Rafaela! Szybko, idź! Rafael! Gdzie on jest?

Pies wpatrywał się uważnie w Villemanna. Zadanie? Hurr!a!

Z nosem przy ziemi zwierze, ruszyło tropem Rafaela i wkrótce zniknęło na ulicy.

- Jeśli ktoś może przywołać go do rozsądku, to jest to z pewnością Nero - powiedział Villemann.

- Do rozsądku? Dlaczego Rafaelowi brak rozsądku? -zdziwiła się Taran coraz bardziej zniecierpliwiona. - Czy możesz nam to nareszcie wytłumaczyć?

- Teraz nie mogę - uciął jej brat. - Muszę najpierw dojść do siebie.

Villemann zrobił się nagle bardzo dorosły. Nie był to już ten radosny chłopiec, który kołysał się na sznurze na kościelnej dzwonnicy z rozwianym włosiem, roześmiany od ucha do ucha ze szczęścia.

Teraz był to mężczyzna. W dodatku głęboko Wieszczę- śliwy i zatroskany o swego przyjaciela.

I o coś jeszcze, o czym jednak nie chciał mówić. Pajęczyca stała z tyłu za wszystkimi i czuła, że wybrała jak najgorszy moment. Nikt nie miał dla niej czasu. Wszyscy tłoczyli się wokół tego młodego blondyna imieniem Villemann.

Ona zaś nie przywykła, by ją ignorowano.

Czy nie powinna teraz zawyc jak prawdziwa wiedźma? Czy też musi wykrzyzczyć wiązanekę okropnych przekleństw, żeby zwrócić na siebie ich uwagę?

W tej właśnie chwili po schodach dosłownie spłynęła jakaś istota o anielskim wyglądzie, ubrana, o zgrozo, od stóp do głów na biało, tak jak Pajęczycyca, tylko że tę małą opromieniał jeszcze blask młodości.

Villemann spojrział w stronę hallu i drgnął na widok przybyłej, jakby chciał uciekać.

- Pójdę poszukać Rafaela - mruknął.

Pajęczycyca zauważyła, że Dolg miał ochotę mu towarzyszyć, ale z łatwością odczytała niepokój w jego wzroku, który skierował najpierw na nią, a potem na swoich towarzyszy.

Nie chciał, by zostali tu z nią, sami.

Ukryła uśmiech zadowolenia. Co on sobie wyobraża? Dla niej ta cała reszta jest bez znaczenia. Chce tylko jego. I teraz jest już blisko celu.

Istnieje tylko jedna przeszkoda: Otacza ich zbyt wielu ludzi.

Jak to zrobić, by znaleźć się z nim sam na sam? Myśl, Marie-Christine, myśl!

Rafael otrząsnął się z największego szoku. Dotarł do rzeki i całkiem pozbawiony sił osunął się na ziemię, bardzo daleko od tego potwornego domu.

Nie był w stanie myśleć. Odpędzał od siebie każdą myśl, jaka pojawiała się w jego głowie.

Rzeka ciągnęła go z nieprzepartą siłą. Wabiła. Wiedział, że nigdy nie potrafi zapomnieć tego, co zobaczył.

To prawda, że znalazł ją zaledwie drugi dzień, ale przecież była odpowiedzią na jego marzenia...

Gwałtownie wciągał powietrze. Znowu osaczyły go złe myśli.

Rafael czuł się strasznie, wciąż bardzo głęboko oddychał, to trochę pomagało. Wszystkie jego marzenia legły w gruzach, wszystkie, wszystkie! Nie, nie myśl o tym, nie wracaj do tamtego!

A mimo to potworne obrazy przesuwwały się przed oczyma... Nie, zniknijcie!

Rzeka... Szemrząca, tocząca się woda.

Zapomnienie na zawsze. Nirwana pozbawiona wszelkich wizji, bez ponurych obrazów pod powiekami.

Drgnął gwałtownie, gdy mokry pysk wsunął mu się pod pachę.

Nero.

Uszczęśliwiony i dumny, że go znalazł, Nero tulił pysk do policzków Rafaela. Wysoko uniesiony ogon pracował radośnie, a różowy jęzor zwisał niczym krawat.

Wtedy Rafael się załamał, otoczył ramionami kudłaty kark i wybuchnął rozpaczliwym szlochem. Nikt by go tu nie usłyszał, bo rzeka zagłuszała płacz, nikt też go nie widział.

Z wyjątkiem Nera, ale ten przecież niczego nie rozpowie.

Po dłuższej chwili wstał i obaj z Nerem ruszyli w drogę powrotną. A kiedy zobaczyli zdążającego ku nim Villemanna, Rafael pomachał do przyjaciela.

Najgorszy kryzys miał za sobą. Obaj z Villemannem uzgodnili, że niczego nie należy ukrywać.

18

Burza od dawna krążyła po okolicy, wciąż jednak omijała miasto. Powietrze było nieznośnie gęste i wilgotne, wisało nad ziemią jak lepka chmura, przesłaniając oko liczne wzgórza.

Kiedy Villemann i Rafael wrócili, goście nadal siedzieli w salonie i prowadzili uprzejmą rozmowę. Pajęczycyca była wściekła, wciąż przybywało ludzi, pojawił się na przykład starszy oficer aż kipiący zmysłowością, która, co gorsza, nie do niej była skierowana. Z tym samcem chętnie by spędziła parę chwil.

Z prefektem natomiast nie, źle znosiła jego obecność. A jeszcze gorzej obecność dwóch podstarzałych panien, które też nie wiadomo skąd się pojawiły. (Jakoś nie brała pod uwagę, że sama jest mniej więcej w tym wieku, co obie siostry. Jej się, wydawało, że „jest wiecznie młoda”).

Czy powinna poprosić tego Dolga, by towarzyszył jej do gospody, w której się zatrzymała? Może powiedzieć, że obawia się napadu? Albo że boi się burzy. Na dworze pociemniało przecież i gdzieś ponad górami raz po raz rozlegał się daleki grzmot.

Akurat wtedy weszli obaj młodzieńcy z bardzo zgnębionymi minami. Czyżby coś wiedzieli?

Nie, to upokarzające, ale żaden nie spojrział ani razu w jej stronę.

Rafael stał w milczeniu biały niczym kreda. Pierwszy, zaczął mówić Villemann.

- Kapitanie von Blancke - powiedział. - Bardzo nam przykro, że musimy pana zranić, ale poznaliśmy tę złą siłę w pańskim domu.

Kapitan zamrugał gwałtownie i otworzył usta, żeby zaprotestować, lecz Villemann zdążył się już zwrócić w inną stronę.

- Panie prefekcie, wiemy, kto zamordował Frantzla. A idąc tym tropem zdołamy też pewnie rozwiązać zagadkę śmierci. małżonki pana kapitana.

- Tak, myślę, że tak. Ale coście odkryli? Czy to ma jakiś związek ze stanem szoku, w jakim obaj młodzi panowie dopiero co nam się ukazali?

- Ma, i to wielki. Byliśmy świadkami czegoś... niepojętego. Czegoś tak obrzydliwego i odpychającego, że trudno znaleźć słowa.

Twarz pułkownika zrobiła się purpurowoczerwona. Rozglądał się za jakąś możliwością wyjścia, siedział jednak na kanapie za stołem i po obu stronach miał kogoś, więc trudno byłoby mu się wydostać. Wirginia natomiast poderwała się bezszelestnie ze swojego miejsca, lecz Villemann zdołał ją zatrzymać. Zmusił dziewczynę, by na powrót usiadła.

Zebrani nie rozumieli niczego.

- Kapitanie von Blancke - rzekł Villemann. - Pańska matka mówiła o „pojawieniu się kłuszącej żmii”. My sami rozmawialiśmy o tym, jak trudne musiało być pana życie pod dominacją takiej silnej osobowości jak pański ojciec.

- Nonsens - burknął pułkownik. - Chłopak był po prostu niemiłosiernie rozpieszczony. Na tym polega nieszczęście.

Villemann udał, że tego nie słyszy. Spojrzał tylko na kapitana, któremu dziwnie poczerwieniały uszy.

Mówiliśmy, że dziecku, które ma dominujących rodziców, trudno jest rozwinąć własną osobowość, ale że w następnym pokoleniu znowu może się ta siła odrodzić. I śmialiśmy się na myśl, że to mała Wirginia miałaby być tą osobą obdarzoną silną wolą.

Wirginia prychnęła po dziecinnemu, jakby ta myśl wy dała jej się wyjątkowo głupia.

Wszyscy milczeli. Nawet Pajęczycza słuchała z uwagą Villemann mówił dalej:

Trudno nam było znaleźć jakieś powiązania między wszystkimi zbrodnicznymi poczynaniami: zamordowanie pańskiej małżonki, Frantzla, ataki na Danielle, Taran i mnie. Teraz wszystko zaczyna się układać w całość, gdyż znaleźliśmy, jeśli tak moge powiedzieć, wspólny mianownik.

Umilkł, bo zrobiło mu się niedobrze. Popatrzył błagalnie na Rafaela, ale nie otrzymał od niego żadnej pomocy.

- Proszę mówić dalej - poprosił prefekt bezbarwnym głosem.

Nieszczęsny Villemann westchnął.

- Naszym zdaniem motywy były dwa. Pańska małżonka, panie kapitanie, musiała umrzeć, ponieważ odkryła, co się dzieje w tym domu. W pozostałych przypadkach motywem była zazdrość.

- Co? - zawołała Taran. - Teraz to ja niczego nie rozumiem. Zazdrość? Przecież w grę wchodzi dwie kobiety i dwóch mężczyzn, jak to możliwe? Nie, to się nie trzyma kupy!

Nagle przerwał im zachrypnięty i bardzo zmęczony głos dochodzący ze schodów.

- Owszem, ten miody człowiek ma rację.

- Mamó! - poderwał się kapitan. - Nie powinnaś tutaj przychodzić!

Pułkownik również starał się wstać z kanapy z jakimś nieartykułowanym krzykiem, ale Villemann popchnął go tak, że starszy pan opadł znowu na miejsce.

- Tak jest, mój chłopcze - rzekła pułkownikowa do swego syna. - Teraz prawda wyjdzie nareszcie na jaw. Tak się dobrze składa, że jestem akurat dość trzeźwa, chociaż głowa mi pęka. Ale nie będę już dłużej znosić w milczeniu wszystkich strasznych tajemnic tego domu! Nie możecie mnie na zawsze zamknąć w pokoju ani utopić w alkoholu.

Chwiejnym krokiem podeszła do stołu. Uriel podsunął jej swoje krzesło, na które opadła ciężko.

- Opowiadaj dalej, mój chłopcze - powiedziała do Villemanna. - Ja będę w razie potrzeby uzupełniać.

- Nie musimy tu siedzieć i tego słuchać - oznajmił pułkownik. - Głupie wymysły wysane z palca!

Villemann ignorował go.

- Żeby od czegoś zacząć, chciałbym się posłużyć słowami pani pułkownikowej: „Mam tylko jednego syna. Pan nie chciał dać mi więcej dzieci”. Sądziłyśmy wtedy, że chodzi o Stwórcę, gdy tymczasem pani miała na myśli swego ziemskiego pana, czyli męża, czyż nie?

- Słusznie mówisz, mój piękny chłopcze.

- No i co z tego? - ryknął pułkownik - jakie to może mieć znaczenie, że nie chciałem w domu więcej bachorów i ich krzyków?

- Zdaje się, że nie taki był powód. Proszę mi powiedzieć, pułkowniku von Blancke, jak to było z pańską dymisją ze służby? Twarda ręka wobec podwładnych to w armii nic nadzwyczajnego. Nie dymisjonuje się za to w atmosferze skandalu. Tu w grę wchodziło coś więcej, prawda?

Pułkownik poczerwieniał z wściekłości.

- Ty smarkaczu! Jak śmiesz...?

- Tak jest, było coś więcej, - potwierdziła jego małżonka.

- Zamknij się, babo! - wrzasnął, a zebrani mieli wrażenie, że za chwilę dostanie wylewu. Zerwał się gwałtownie, o mało nie wywracając stołu, i rzucił się do ucieczki. Nikt go nie zatrzymywał, nikt się w ogóle nie ruszył, z wyjątkiem Dolga, który stanął na straży przy drzwiach wejściowych. Widząc, że nie uda mu się wymknąć, pułkownik odwrócił się na pięcie i pobiegł na piętro.

- Czy tamtędy można się wydostać z domu? - zapytał prefekt.

- Nie - odparła pułkownikowa zmęczonym głosem. - Nigdzie stamtąd nie wyjdzie.

Taran nie była w stanie dłużej milczeć.

- Myślicie, że ten stary, śmierdzący kozłem samiec...

- Zaraz się o tym dowiemy - powiedział prefekt tak spokojnie i cicho, że słuchającym ciarki przeszły po plecach. - Prawda, pani von Blancke?

- Owszem, zaraz się dowiecie - potwierdziła.

- Babciu, ja muszę wyjść, mam pilną sprawę - wtrąciła Wirginia ochryplym głosem.

Tvoja sprawa może poczekać - ucięła starsza pani tak ostrym tonem, że wszystkich to zdumiało. To znaczy wszystkich z wyjątkiem Rafaela i Villemanna. - Na czym to skończyliśmy? Aha, na tak zwanej dymisji mego męża, dymisji w niełasce, dodajmy. Otóż on chciał mieć syna, do tego właśnie celu byłam mu potrzebna. Kiedy już dostał, czego pragnął, nigdy więcej nie odwiedził mojej sypialni. A przecież urodziłam dziecko jakiś czas temu... Zabawiał się natomiast z młodymi, czternaste-, piętnastoletnimi żołnierzami, pozostającymi pod jego komendą. Jeśli o mnie chodzi, to mógł sobie spokojnie robić, co chciał, byle tylko ci chłopcy nie byli tak strasznie młodzi! Ale starsi go nie interesowali. Zresztą pewnie bał się ich zaczepiać.

I tak to trwało aż do chwili, gdy któryś z tych chłopców, powiedziałabym: małych dzieci, nie chciał się poddać jego zabiegom. Malec został zachłostany na śmierć, z wściekłości, lecz także ze strachu, że teraz prawda wyjdzie na jaw. Ale prawda została ujawniona i tak; po czym mój mąż został zdymisjonowany.

Po tych słowach zaległa ciężka, przygnębiająca cisza. Wielu ze słuchających miało łzy w oczach. Pułkownikowa podjęła swoją opowieść:

- Jak większość takich zdarzeń w armii, sprawa została zatuszowana. Mój mąż natomiast chodził po domu jak zwierzę w klatce, najwyraźniej męczył się dużo bardziej niż ja, która w tym czasie zostałam zamknięta w pokoju. Czy ktoś mógłby mi podać jakiś kieliszeczek?

Kapitan wstał.

- Już, już, mamó - rzekł głosem jakby nabrzmiałym od łez.

Wszyscy się zastanawiali, ile ten człowiek wiedział już przedtem. Z pewnością w garnizonie słyszał rozmowy na temat sprawy pułkownika, ale może wolał przymykać oczy na tę hańbę? Chodziło przecież o jego własnego ojca, którego on się poza tym strasznie bał. Teraz kapitan z wyraźną niechęcią słuchał opowiadania matki.

- Po jakimś czasie odkryłam, że on musztruje chłopca z sąsiedztwa i naszą wnuczkę Wirginię. Nazywał ich Franta i Fritzl. Robił to przez kilka lat, niby to w zabawie. Ale chłopiec zaczął mu się wymykać z rąk, nie chciał tu więcej przychodzić, płakał i protestował za każdym razem, kiedy rodzina zmuszała go, by szedł się bawić z Wirginią. Aż pewnego dnia...

Umilkła na chwilę, po czym podjęła ochrypłym głosem:

- Pewnego dnia nakryłam Wirginię. Stała i jak nieprzytomna wpatrywała się w okno pokoju mego męża z jakąś odpychającą, pełną błogości, a zarazem wściekłą, miną. To było okropne.

- Babciu, co ty wygadujesz? To przecież kłamstwo - wyszeptała Wirginia przerażona.

- Ohyda! - wykrzyknęła Milly.

- Nie większa niż zachowanie twoje i twojej siostry. Sypiacie z moim synem, ze służącymi, pożarłybyście każdego chłopca, jaki tylko się napatoczy - wybuchnęła pułkownikowa.

- Nigdy w życiu nie słyszałam podobnych obelg!

- Ciocia Milly ma rację - wtrąciła Wirginia. - Nie można wierzyć słowom pijanych ludzi. Wszyscy wiedzą przecież, że ja trzymam się z daleka od wszelkiej niemoralności...

- Nie jestem pijana - rzekła pułkownikowa stanowczo.

- No więc kiedy Wirginia zobaczyła mnie tam przy oknie, natychmiast spłoszona uciekła...

- Wcale nie, mnie tam wcale nie było, nie wiercie jej! - wykrzykiwała Wirginia gorączkowo.

Babcia zdawała się jej nie słyszeć.

- Podeszłam do okna i zobaczyłam mego męża inflagranti z nieszczęsnym chłopcem, który płakał rozpaczliwie. Ale akurat wtedy przybiegły moje okropne opiekunki i zabrały mnie do... więzienia - zakończyła z goryczą.

Wirginia załamywała ręce. Choć to może nie do wiary, udało jej się wycisnąć z oczu kilka łez.

- O, Rafaelu - zwróciła się błagalnie do skamieniałego młodzieńca. - Rafaelu, ty wiesz, że nie mogłam być zamieszana w coś tak okropnego jak to, o czym opowiada moja nieszczęsna, nieobliczalna babcia. Ty przecież wiesz, Jaka czysta i niewinna jest twoja przyjaciółka Wirginia.

Rafael odwrócił się od niej z niechęcią.

- Przestańcie się zajmować tą okropną dziewczyną!

- wybuchnęła Taran. - Powiedzcie nam raczej o atakach na nas! I o tym, co się stało z żoną kapitana.

- O tym właśnie mówię - oświadczyła pułkownikowa.

Wirginia wpadła w histerię.

- Ja nie chcę tego słuchać! - krzyczała, próbując się wyrwać Taran i Urielowi, którzy musieli mocno ją trzymać. Kiedy zrozumiała, że jej się to nie uda, starała się zagłuszyć słowa babki, wołając: - Ona kłamie, to nieprawda, ona wszystko zmyśliła!

W końcu Taran musiała usiąść dziewczynie na kolanach, Uriel i Villemann trzymali ją za ręce i nogi, a prefekt zakrywał ręką jej usta.

Głośny grzmot jeszcze powiększył zamieszanie. Kiedy w końcu wszystko umilkło, pani pułkownikowa von Blancke podjęła opowiadanie śmiertelnie zmęczonym głosem.

- Wkrótce po tych wydarzeniach młody Frantz zniknął. Wirginia chodziła i powtarzała wszystkim, że uciekł, a uczynił to z nieodwzajemnionej miłości do niej. Nie wierzyłam

w tę miłość wtedy-i nie wierze, teraz. W jakiś czas potem jednak, niezbyt długo po zniknięciu chłopca, mego męża ogarnął jakiś wielki spokój. Przestał chodzić nocami po pokoju tam i z powrotem, A Wirginia... Tak, ona była tą małą, cnotliwą, niewinną panienką, którą mieliście dopiero co okazję poznać. Chociaż zdawało mi się czasami, że gdy jej nikt nie widzi, miewa ona minę zadowolonego kota. Nie rozumiałam tego. Nie domyślałam się niczego aż do chwili, kiedy przyszła do mnie synowa i opowiedziała mi., co przypadkiem zobaczyła.

- Proszę nie mówić, co widziała pani synowa - rzekła Taran sucho. - Spróbuję zgadnąć. Nieboszczka kapitanowa widziała z pewnością to samo, co dzisiaj musieli zobaczyć Rafael i Villemann, prawda?

Prawdopodobnie - starsza pani skinęła głową. - Ja jednak nie mogłam nic zrobić. Odkryłam na przykład truciznę na szczury w swoim jedzeniu, byłam strzeżona pilnie jak nigdy przez te dwie megie, którym dzisiaj zdołałam się wymknąć, bo się akurat zdrzemnęły po obiedzie i udało mi się ukraść im klucz. Dosłownie topili mnie w alkoholu, a ja nie miałam siły powiedzieć nie. Ale to tak nawiasem. No, w każdym razie nigdy nie trafiła mi się możliwość przekazania komuś informacji na temat, co się w tym domu dzieje. Czy mogę dostać jeszcze wódki?

Prefekt podał jej bez słowa kieliszek. Opróżniła go kilkoma dużymi haustami, a po jej policzkach spływały łzy.

- Chwileczkę, chwileczkę - wtrąciła Taran. - Siedzę tu i przez cały czas wyobrażam sobie, że to pułkownik jest odpowiedzialny za wszystkie morderstwa i próby morderstwa. Ale to przecież nie tak. Czy to przypadkiem nie... Au, ty mała wściekła jaszczurko! Ugryzłaś mnie, masz źle w głowie czy jak?

- Proszę, niech pani dokończy - rzekła pułkownikowa spokojnie. - To są właśnie słowa prawdy. Ale nieszczęsna miała po kim odziedziczyć złe skłonności. Zarówno po stronie matki, jak i po stronie ojca można znaleźć osoby głęboko dotknięte, jeśli chodzi o erotyczną stronę życia. Jej rodzony dziadek i ojciec oraz te dwie rozpustnice, siostry matki...

Musiała przerwać, bo zagłuszały ją gwałtowne protesty. Uniosła rękę.

- Chociaż byłam zamknięta przez wiele miesięcy, a nawet lat, nie jestem ślepa i dobrze widziałam, co się dzieje. Moja synowa popełniła straszny błąd, że was tu sprowadziła, do tego zapaskudzonego gniazda, jakim się stał nasz dom. Musiała tego żałować wielokrotnie. Kiedy jednak przyparła swoją córkę do muru oskarżeniami o kazirodztwo, zachowała się nieostrożnie. Dopiero teraz to zrozumiałam, bo teraz wiem, że to Wirginia zamordowała swoją, matkę.

Dziewczyna zdołała się na chwilę wyrwać trzymającym ją i wrzasnęła:

- Kłamstwo! Ja przecież zawsze byłam ukochaną owieczką babci, więc dlaczego teraz?

W tym momencie prefekt znowu położył jej rękę na ustach.

- No tak - westchnęła Taran. - Teraz rozumiem, czemu Danielle, a potem ja i wreszcie Villemann staliśmy się obiektami gniewu Wirginii. Danielle, pułkownik musiał cię chyba jakoś adorować, prawda?

Danielle zastanawiała się. Sprawiała wrażenie głęboko wstrząśniętej, ale należała chyba do tych, którzy najmniej pojmowali z tego, co tutaj mówiono o potwornościach tego domu.

- Nie, chyba nie, pocałował mnie tylko w rękę i powiedział, że jestem bardzo ładna. Nie potraktowałam tego poważnie, bo miałam wrażenie, że brzmiało nieszczerze.

Taran skinęła głową.

- Mnie też adorował, wiecie państwo, tak po staroświecku. I podarował mi różę. Ale to najwyraźniej wystarczyło, by ta głupia kukła poczuła się zazdrosna. Gorzej jednak było z Villemannem, młody chłopak, urodziwy blondyn!

- Chyba rzeczywiście - westchnął Villemann. - Pułkownik zapraszał mnie nawet do swego pokoju, bo chciał mi objaśnić różne zasady musztry - dodał z drzeniem.

W tym momencie Wirginia wybuchnęła niczym beczka prochu.

- Wcale tego nie zrobił, kłamiesz! Mój dziadek nigdy by cię nawet nie dotknął!

Kiedy uświadomiła sobie, jak podejrzliwie jej się wszyscy obecni przyglądają, uspokoiła się natychmiast i znowu powróciła do roli niewinnej panienki. Ponownie próbowała przeciągnąć na swoją stronę Rafaela.

- Rafaelu, mój drogi, ty, który napisałeś dla mnie taki piękny wiersz. Ty wiesz, że to wszystko to tylko złośliwe kłamstwa, skierowane przeciwko niewinnemu dziecku. Ty wiesz, że jestem czysta jak śnieg, jak promień księżycy, prawda? Rafaelu... mój najdroższy...

Nie był w stanie patrzeć jej w oczy, kiedy mówił cichym głosem:

- Widzieliśmy dzisiaj ciebie i pułkownika. I słyszeliśmy również, ja i Villemann. Ja sam słyszałem, jak wyszydzałaś mój wiersz. Widziałem też, że chętnie godzisz się na to. I nie wymiguj się teraz, nie jesteś żadnym niewinnym dzieckiem, jesteś dorosłą, świadomą wszystkiego, wyrachowaną kobietą. Jesteś najbardziej odpychającą istotą, jaką kiedykolwiek spotkałem.

Te słowa wywołały kolejny wybuch dziewczyny, którą wciąż trzeba było siłą utrzymywać w miejscu. Kapała, bila i gryzła, miotła najokropniejsze przekleństwa, a w końcu krzyknęła:

- Dziadek wam wszystkim za to odpłaci., zobaczcie, on was powystrzela, bo się nade mną znęcacie!

Nie wiadomo, co by jeszcze powiedziała, gdyby prefekt jej ponownie nie zatkał ust.

Kiedy się znowu uciszyło, Taran rzekła:

- My wszyscy troje byliśmy dla niej niebezpieczni, Danielle, Villemann i ja. Pułkownik mógł wybrać któreś z nas! Prefekt jednak kręcił głową.

- I tu Wirginia popełniła błąd. Pułkownik nigdy by pani nie wybrał, panno `Taran, bo pani jest dojrzałą kobietą.

- Tak jest - przyznał Villemann. - Danielle też by nie chciał, bo ma zbyt wyraźne kształty.

Danielle drgnęła i patrzyła na niego wytrzeszczonymi oczyma. Co Villemann chce przez to powiedzieć?

- Natomiast ty, Villemannie, pasowałeś znakomicie - wtrącił Uriel. - Może tylko trochę za stary, ale poza tym niezwykle pociągający. On wybrał Wirginię dlatego, że jest fizycznie tak mało rozwinięta, taka dziecinna, a przy tym taka chętna. Poza tym było mu tak wygodnie. Mogła odgrywać rolę młodego żołnierzyka, sama zaś była oczarowana jego ponurą zmysłowością.

- I na tym nie koniec - rzekł Villemann cierpko.

- Tak jest - potwierdziła Taran. - Zastanawiałam się tylko, dlaczego ona była taka zaszokowana wiadomością o śmierci matki. Przecież już o tym słyszała. Kiedy byliśmy tu z Urielem po raz pierwszy, słuchała nas uczepiona poręczy schodów. Teraz wiem, że jej łzy z powodu, jak nam się wydawało, śmierci matki i Frantzla, to nie były łzy żalu. Płakała z wściekłości., że ciała pomordowanych zostały odnalezione.

- I to my je odnaleźliśmy - rzekł Villemann ponuro. - Jakże ona musi nas nienawidzić!

Rozmawiali tak, jakby Wirginii nie było w pokoju. Ale ona była. Znowu zaczęła się szamotać.

Na dworze rozległ się kolejny grzmot. Nie zagłuszył jednak odgłosu przypominającego strzał, który dał się słyszeć na piętrze.

Wszyscy zamarli. W tym momencie trzymający nieco rozluźnili chwyt i Wirginia zdołała im się wyrwać. Wtedy dopiero w pokoju zapanował chaos.

19

Podczas tej wielce nieprzyjemnej rozmowy Dolg zachowywał się niezwykle pasywnie, Jego przyjaciele dobrze wiedzieli, dlaczego tak jest. Komplikacje erotyczne nigdy go nie interesowały. Natomiast nie spuszczał z oka obcej damy. Przez cały czas.

Ona również odnosiła się do wydarzeń z dystansem. Nie przeszkadzała tym dziwnym ludziom w załatwianiu swoich ponurych spraw. Poza tym w czasie burzy czuła się zwykle nie najlepiej. Była zbyt wrażliwa, zbyt podatna na energię, którą uwalniały wyładowania atmosferyczne. Przytłaczało ją to niczym potężna fala, działało jej na nerwy, była ociężała i zmęczona.

To niedobry stan.

Pajęczyca czekała jednak na swój czas. Teraz postanowiła, że dość, dłużej czekać już nie może.

Wirginia jak szalona pomknęła schodami na górę, lecz Villemann i prefekt rzucili się za nią i zdołali ją pochwycić za nogi. Dziewczyna zsunęła się po schodach, krzycząc przy tym przejmująco.

Z góry wołały obie amazonki:

- Słyszałyśmy strzał!

Pułkownikowa, opróżniając drugi kieliszek, powiedziała ironicznie:

Tego było trzeba, żeby was nareszcie obudzić.

Strażniczki rzuciły się na nią i zaczęły ją ciągnąć za sobą. W najmniejszym stopniu nie zainteresowały się tym, że siedzi przy stole i właśnie pije. Chodziło im tylko o to, że wyszła ze swego pokoju i znajduje się na wolności.

Kapitan siedział w kącie i głośno zawodził. Obie jego szwagierki, korzystając z okazji, próbowały wybiec z domu.

Ale Pajęczyca była szybsza, zwinnie niczym gronostaj skoczyła ku drzwiom.

- Teraz moja kolej - oznajmiła słodko.

Nawet Wirginia, przytrzymywana przez prefekta i Villemanna, zamilkła na dźwięk jej głosu. Panowie podnieśli ją z podłogi i stała teraz pomiędzy nimi. Nie spuszczała oczu z Francuzki.

- Miejcie się na baczności! - ostrzegł Dolg swoich przyjaciół. - Ta kobieta to nie amatorka jak Wirginia, ona jest o wiele groźniejsza.

- Skąd wiesz? - zapytała Taran.

- Ta kobieta ma na sobie znak rycerskiego zakonu, znak Słońca.

Czy on naprawdę widzi mnie na wylot? pomyślała Pajęczycza.

Dolg oczywiście nie miał takiej zdolności, jednak ostrzeżony przez czerwony kamień doszedł do właściwego wniosku.

Na moment w hallu zaległa kompletna cisza.

- Bardzo bym teraz chciał mieć mój ognisty miecz - mruknął Uriel do ucha Taran, ale oboje stali bez ruchu.

- Tak - odparła równie cicho. - Naprawdę szkoda, że zostałeś pozbawiony anielskości. Można tak powiedzieć? Pozbawiony anielskości?

- Raczej pozbawiony świętości - zachichotał.

- Nigdy chyba nie byłeś świętym - szepnęła i uszczypnęła go w udo. Taran nie potrafiła zachować powagi nawet w najbardziej dramatycznych sytuacjach. I teraz też przecież naprawdę nie było się z czego śmiać.

Dziewczyna na schodach znowu zaczęła krzyczeć. Pajęczycza uciszyła ją jednym gestem ręki tak, że Wirginia zleciała po stopniach, pociągając za sobą trzymających ją mężczyzn. W ostatniej sekundzie Villemann zdołał się złapać poręczy, ale hałas i tak zrobił się nieznośny.

Dolg zrozumiał, że francuska wiedźma dysponuje wielką siłą. Szepnął po norwesku do Uriela i Taran:

- Zabierzcie ze sobą pozostałą trójkę i wymknijcie się po kryjomu do kuchni, a ja tymczasem skupię jej uwagę na sobie.

- Czy nic ci nie grozi?

- Dam sobie radę - powiedział, dotykając wymownym gestem biodra, na którym nosił pulsujący teraz mocno czerwony kamień - farangil.

- Oczywiście - skinął głową Uriel.

- Prefekt zajmie się rodziną, ja będę miał i tak dość kłopotu z tą kobietą.

Rozumieli to bardzo dobrze.

Skończyli rozmowę. Dolg podszedł do Villemanna i prefekta, którzy właśnie zeszli na dół. Wyjaśnił im krótko, co powinni zrobić.

Prefekt w lot pojął sytuację.

- Panna Taran mogłaby zaprowadzić swoich kuzynów do domu Bonifacjusza Kempa
- szepnął.

- Znakomicie! Villemann, zabierz ze sobą książkę! I Nera, tutaj mogłoby mu się coś stać.

Za plecami całej rodziny i obu strażniczek pułkownikowej pięciorgu młodym udało się wymknąć do kuchni. Wychodzili po kolei, by się to za bardzo nie rzucało w oczy.

Dolg i prefekt zostali sami z całym ambarasem.

Podczas gdy prefekt starał się związać Wirginię, w czym, w imię złe pojętej lojalności wobec panienci, bardzo mu przeszkadzały obie strażniczki, Dolg zwrócił się do Pajęczycy. Hałas panujący w hallu ranił mu uszy.

Nawałnica, która się właśnie rozpętała na dworze, sprawiła, że w hallu było jeszcze ciemniej niż zwykle. Moi przyjaciele przemokną do suchej nitki, pomyślał. Ale jakoś to muszą znieść. Istnieją większe nieszczęścia niż ulewny deszcz.

Napotkał wzrok obcej kobiety w tym samym momencie, gdy prefekt mówił do prawdziwej gospodyni tego domu:

- Nie martwi się pani o swego męża, pani von Blancke? Ten strzał...

Bełkotliwy głos pułkownikowej świadczyło tym, że dama znowu jest pijana. Ludzie nadużywający alkoholu nie potrzebują wiele, by pojawiły się symptomy upojenia.

- Nic podobnego - odparła obojętnie. - Za chwilę mój szanowny małżonek pojawi się na schodach i zacznie wykrzykiwać: „Czy w tym domu nikt się nikim nie przejmuję? Nie słyszeliście huku? Ja się zastrzeliłem!”

Wybuchnęła histerycznym śmiechem, który po chwili przeszedł w szloch.

Dolg podszedł do obcej, która w dalszym ciągu pilnowała wejściowych drzwi.

- Nie wiem, kim pani jest ani skąd pani przychodzi. Proszę jednak, dla jej własnego dobra, by pani zaniechała służby dla rycerzy Słońca. Jeśli nie, sprowadzi pani na siebie jedynie zło.

W jej oczach zabłysło okrucieństwo.

- Ja się bardzo dobrze czuję w służbie zła. Nigdy jeszcze nie miałam okazji służyć mu tak dobrze jak teraz.

- Czego pani szuka? - zapytał Dolg, choć rozumiał, o co jej chodzi.

- Szukam wiele, moje małe złotko! O wiele więcej niż mógłbyś przypuszczać!

- Ja natomiast wiem, czego szuka zakon Słońca - oznajmił chłodno. - Zakon chce zdobyć szlachetne kamienie, pragnie również życia mego ojca i mego. Czy to by wystarczyło?

Na twarzy obcej kobiety pojawił się wyraz przebiegłości.

- Ja pragnę więcej. Ale odejźmy od tych awanturników, tutaj nie można spokojnie porozmawiać, człowiek nie słyszy własnego głosu.

Co prawda, to prawda. Obie siostry wykrzykiwały coś histerycznie, kapitan głośno płakał, Wirginia miotała przekleństwa, które bardziej by pasowały jakiemuś żołdakowi w koszarach niż panience z dobrego domu. Nietrudno się domyślić, kto ją tego nauczył. Strażniczki starały się zagłuszyć wszystko swoimi dudniącymi głosami.

Biedny prefekt, pomyślał Dolg.

Skinieniem głowy przyjął propozycję obcej pani i wyszli oboje na wspaniały taras o łukowatych sklepieniach, otwarty w stronę ogrodu. Nie należało mieszać postronnych osób w sprawę zakonu, z tym Dolg musiał uporać się sam.

Na dworze deszcz lał strumieniami, żłobiąc głębokie kanały w ziemi, woda rozpryskiwała się na wszystkie strony. I wtedy od strony ogrodu przybiegł Symeon, służący do wszystkiego, przemoczony, z ubraniem przyklejonym do ciała.

- Co się tutaj dzieje? - zapytał. - Słyszałem strzały.

- Proszę iść i pomóc prefektowi - rzekł Dolg. - To najlepsze, co możesz zrobić dla wszystkich i dla siebie również. Nie przeszkadzaj mu jak te szalone strażniczki i kilka pokojówek. To źle pojęta lojalność.

Chłopak zniknął za drzwiami.

Tymczasem Pajęczycza gorączkowo się zastanawiała, co robić dalej. Bardzo chciała się kochać z tym Dolgiem. Dlatego, że był niezwykle pociągający i taki tajemniczy, niemal mistyczny, a także dlatego, że po wszystkim pragnęła zdobyć jego organy. Z pewnością byłyby niebywale przydatne dla jej czarodziejskich wywarów.

W końcu postanowiła zaatakować, ale uciekła się do podstępów. Przez dłuższą chwilę stała jakby pogrążona w myślach, a wreszcie rzekła stanowczo:

- No cóż. Zdaje mi się, że postawiłam na niewłaściwego konia. Teraz myślę... że bardziej by mi się opłacało, gdybym się przyłączyła do ciebie.

Dolg spojrział na nią w zadumie. Farangil ostrzegał intensywnie. Co ona knuje?

- Tylko że ja źle się czuję w służbie zła - rzekł spokojnie.

- Ja też - uśmiechnęła się bezradnie. - Tak tylko plotłam przed chwilą, ale to nieprawda. Prawdą jest natomiast, że posiadam czarodziejskie zdolności...

- Zauważyłem.

- I bardzo bym chciała zobaczyć te szlachetne kamienie, o których tyle gadają rycerze zakonni.

- Straciłaś już okazję obejrzenia szafiru - rzekł Dolg cierpko. Nie miał do niej ani odrobiny zaufania. - Klejnot jest w drodze, został stąd wyniesiony.

Na moment zacisnęła wargi, ale zaraz powiedziała bardzo łagodnie:

- Ale czerwony masz ty?

- Czerwony byłby odpowiedni dla ciebie, jesteś bowiem przesycona złem.

Aha, więc on jednak ma ten kamień, pomyślała Marie-Christine Galet, uśmiechając się ukradkiem. Już ja go teraz wyciągnę. Taki bajeczny mężczyzna, jeśli tylko człowiek zdoła się przyzwyczaić do jego niezwykłych oczu. Chcę, ponad wszystko chcę mieć go w łóżku!

- Skąd ty wzięłeś te swoje oczy? - zapytała kokieteryjnie. - Jesteś trollem czy strzygą?

- Ja wiem, skąd pochodzą moje oczy - powiedział, uśmiechając się tajemniczo. - Ale to moja prywatna sprawa. Nie jestem ani trollem, ani strzygą, jestem dzieckiem moich rodziców, nic więcej. Mam tylko w sobie odrobinę obcej krwi.

Pajęczycza starała się nadać swojej twarzy sympatyczny wyraz.

- Musisz się czuć okropnie samotny...
- Mam wielu bliskich, wspaniałą rodzinę. Wszyscy oni są też moimi przyjaciółmi.
- Mogłabym się jednak założyć, że ukochanej nie masz?
- Ukochanej? A cóż ja bym z nią robił?
- O, to cudowna sprawa, mieć przyjaciela od serca! Chyba jednak kobiety z tego świata boją się ciebie, lękają się rysów twojej twarzy. Ale ja nie jestem tchórzliwa, panie Dolgu. Mogłabym zostać twoją najlepszą przyjaciółką, u której mógłbyś zawsze znaleźć wytchnienie.

Dolg patrzył na nią rozbawiony. Uśmiechał się przyjaźnie, choć jego uśmiech był chyba przesadnie uprzejmy i dlatego bardziej upokarzający, niż Pajęczycy byłaby skłonna tolerować. Nigdy w swoim dość już długim życiu nie została tak obrażona przez mężczyznę!

Wcale też nie poprawił sprawy fakt, że Dolg ponowił prośbę, by wróciła do domu i zapomniała o zakonie rycerskim oraz o szlachetnych kamieniach. Powiedział, że nie życzy jej niczego złego, ale że ma wiele innych spraw, nad którymi musi się zastanowić, będzie więc dla wszystkich najlepiej, jeśli ona usunie mu się z drogi.

Te słowa zirytowały ją ponad wszelką miarę. Zrobiła teraz dokładnie to, czego w żadnym razie nie powinna była robić wobec kogoś takiego jak Dolg, ale nie знаła przecież jego siły.

Spontanicznie wyciągnęła ku niemu palec wskazujący i z wściekłością w głosie wypowiedziała zaklęcie:

- W imię mego własnego diabła nakazuję ci, byś natychmiast, w tym momencie, padł przede mną martwy!

Dolg błyskawicznie uniósł dłoń wewnętrzną stroną ku Pajęczycy i tym samym zasłonił się przed zaklęciem. Wiedźma L'Araignée zatoczyła się do tyłu i runęła w swojej pięknej, białej sukni na plecy, wymachując bardzo brzydko nogami i obcierając sobie łokcie. Natychmiast jednak się zerwała, przeklinając po francusku tak okropnie, że Dolg dziękował Bogu, iż w tym języku niewiele rozumie.

Kiedy musiała przerwać dla zaczerpnięcia powietrza, rzeki spokojnie:

- Nie chcę cię zabić, zresztą dopóki nosisz na piersiach znak Słońca, nie mógłbym tego zrobić, ale...

Zamilkł. Jej szczere zdumienie przekonało go, że nie zdawała sobie sprawy z siły talizmanu. Musiała go ukraść jakiemuś zakonnemu bratu i Dolg zastanawiał się, w

jaki sposób do tego doszło. Ów brat z pewnością już nie żyje. Dolg przeklinał swoją lekkomyślność. Dlaczego nie wziął pod uwagę możliwości, że ona niewiele wie o zakonie? Zrobił poważny błąd, potwierdzał to teraz jej szeroki uśmiech, wyrażający zadowolenie.

Wyciągnął rękę.

Będzie najlepiej, jeśli mi ten znak oddasz.

- I ty w to wierzysz? - parsknęła ze złością, starając się oczyścić z kurzu suknię. Straciła bezpowrotnie całą elegancję, psychicznie też nie czuła się już tak znakomicie jak zaraz po przyjściu tutaj. Głowa pod peruką pocila się niemiłosiernie, więc Pajęczycza drapała się raz po raz, peruka się przekrzywiła i wyłaziły spod niej czarne włosy. Pajęczycza była czerwona z gorąca i złości, suknię miała przepoconą, całą w plamach, pochłapaną zacinającym na taras deszczem.

Prawdziwe ja Pajęczycy uwidaczniało się coraz wyraźniej. Zmieniła taktykę.

- No dobrze, oddam ci talizman, jeśli w zamian dostanę ten czerwony kamień. Czy to rubin?

- Nie - odparł Dolg wyraźnie poirytowany. miał naprawdę tak dużo innych spraw, a stoi tu i traci czas. - Oddaj mi znak Słońca dobrowolnie, bo w przeciwnym razie unicestwię go, a to nie będzie dla ciebie przyjemne.

Pajęczycza zaczynała sobie uświadamiać, że nigdy nie zwabi tego mężczyzny do swojego łóżka. W takim razie pozostaje jej zdobyć kamień. Kamienie. Bo przecież ten niebieski też istnieje. Musi go mieć któryś z krewnych Dolga. Może więc powinna zostawić tego uparciucha i skoncentrować się na innych, słabszych?

O, nie! Nigdy w życiu nie doznała jeszcze takiej porażki i teraz też na to nie pozwoli. Co on sobie wyobraża?

- Wiesz przecież, że mam dość siły, by cię unicestwić - zaczęła.

- Naprawdę?

- Tak. A dopóki mam ten talizman, nie można mi zrobić nic złego. Zapamiętaj sobie, nigdy nie będziesz mógł się czuć bezpiecznie! Mogę cię otruć w przyszłości, której nie będziesz w stanie przewidzieć, mogę sprowadzić na ciebie przekleństwo, kiedy będziesz spał, mogę to uczynić nawet z bardzo daleka, tak że nie będziesz wiedział, jak się bronić, mogę...

- Zapominasz o jednym - przerwał jej. - Zapominasz, że moja ochrona jest silniejsza od twojej.

- A to jakim sposobem? - wybuchnęła, nie panując nad sobą.

- Ech, nie ma o czym mówić. Oddaj mi talizman, to pozwolę ci odejść i zachować wszystkie twoje niebezpieczne umiejętności.

- Więc przyznajesz, że jestem niebezpieczna? - zapytała zadowolona.

- Tak. Dlatego, że jesteś taka głupia.

- Co?!

- Oddaj mi znak. Dobrowolnie. Nie mam ochoty robić ci krzywdy.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz? - rzuciła z taką wściekłością, że słowa aż zaświszczały w powietrzu. W tej samej chwili rozległ się hałas. To prefekt prowadził do wyjścia związaną Wirginię, a wielu nie rozumiejących sytuacji domowników podążało za nimi, krzycząc jedno przez drugie.

Dolg nie miał czasu do stracenia.

- No to ratuj się teraz sama!

Uniósł w górę czerwony farangil. Pajęczycza nie zdążyła nic powiedzieć, wciągając powietrze wydała z siebie przeciągły jęk, po czym promienie niesamowitego światła trafiły w jej pierś, wypaliły dziurę w sukni i poczęły stapiać złoty talizman Słońca.

Pajęczycza krzyczała przeraźliwie. To cud, że nie straciła przytomności z bólu, miała jednak tyle rozumu, że zdarła z szyi znak i rzuciła go na kamienną posadzkę. Potem z dzikim wrzaskiem wybiegła na deszcz, przyciskając ręce do zranionej piersi, i po chwili zniknęła na ulicy.

Dolg dokończył dzieła zniszczenia, kierując wiązkę promieni na talizman, i trzymał kamień dopóty, dopóki ze znaku Słońca nie została dymiąca kupka pyłu. Szepcząc ciche podziękowanie schował na powrót kamień do woreczka. W tej samej chwili drzwi domu się otworzyły i stanął w nich orszak z prefektem na czele.

- O, tutaj pan jest! - ucieszył się prefekt. - Proszę mi pomóc przemówić tej rozhisteryzowanej gromadzie do rozsądku!

Dolg miał ochotę również ku nim skierować pulsujący farangil, zwłaszcza przeciwko tym dwóm podnieconym siostram, nieustannie coś wykrzykującym strażniczkom, niczego nie rozumiejącym pokojówkom, a przede wszystkim przeciwko pochlipującej dziecinnie Wirginii, ale się opanował. Służący Symeon starał się bez powodzenia uspokoić całe towarzystwo, w głębi hallu mignęła sylwetka pułkownikowej z kieliszkiem w ręce. Tylko kapitan wciąż siedział na swoim miejscu w kącie.

Dolg był śmiertelnie zmęczony.

Pomógł na ile mógł prefektowi, po czym zatrzasnął drzwi za wszystkimi rozkrzyczanymi kobietami.

- Dziękuję panu - powiedział prefekt. - A gdzie to się podział nasz gość?

- Musiała już iść - mruknął Dolg z nadzieją, że prefekt nie zauważy kupki wciąż dymiącego pyłu. Nad podłogą unosiła się i już tylko delikatna, ledwo widoczna spirala dymu, która wkrótce całkiem się rozwiała. - Ja sam też będę się już musiał żegnać. Rodzina na mnie czeka. Dziękuję panu za wsparcie!

Rozstali się. Dolg poszedł w swoją stronę, nie zważając na ulewny deszcz. Nie wiedział wprawdzie, gdzie mieszka Bonifacjusz Kemp, nie wątpił jednak, że któreś z jego przyjaciół czeka, by pokazać mu drogę.

I rzeczywiście. Wkrótce zobaczył wysoką sylwetkę Uriela, jego blond włosy ociekające wodą szczelnie oblepiały głowę.

Pomachali sobie na powitanie.

Dolg wiedział, że obca kobieta mimo wszystko nie zamierza się poddać. Prędzej czy później pojawi się znowu i wtedy to nie on stanie się obiektem jej ataku, lecz ktoś z jego bliskich. Jedno z najsłabszych. Był bowiem pewien, że zamierza ona teraz szukać niebieskiego kamienia.

20

Danielle usiłowała nadażyć za Villemannem, który trzymał ją za rękę, gdy biegli przez zalane deszczem ulice. Za nic na świecie nie zgodziłaby się puścić jego ręki.

Podziwiała go bezgranicznie. Villemann był taki męski, taki silny. W tym strasznym domu, z którego dopiero co wyszli, to on przejął przywództwo, nie Dolg. Dolg nie zrobił niczego. Villemann był, jej zdaniem, niczym wódz. Był bohaterem!

Próbowała mu o tym powiedzieć. Uriel zatrzymał się, by poczekać na Dolga, który nie znalazł drogi, natomiast Taran z Rafaelem biegli na samym przedzie. I Nero także. Nero nienawdził deszczu i próbował chronić się gdzieś na suchszym terenie pod dachami domów, ale nieustannie ktoś go przywoływał.

Villemann zwolnił nieco biegu, za co Danielle była mu szczerze wdzięczna. Z trudem łapała powietrze, nogi się pod nią uginały.

- Czy ty zawsze musisz mieć bohatera, Danielle? - wykrztusił zdyszany. - Czy nie mogłabyś kiedyś lubić po prostu normalnego człowieka?

Zastanawiała się nad jego słowami, gdy podążali teraz już nieco wolniej w ulewnym deszczu, oboje tak samo przemoczeni.

- Byłam głupia, Villemannie.

- Skąd? Wcale nie!

- Owszem, przez tyle lat byłam zakochana w Dogu.

Chociaż sama nie wiem, czy to miłość. To chyba raczej uwielbienie dla kogoś, kogo się podziwia.

- Bardzo dobrze to rozumiem. Ja także go podziwiam. Nie ma na ziemi drugiego takiego człowieka jak on. Ojciec mógłby być taki, ale ojciec nie ma tej wyjątkowej dobroci Dolga. Ojciec też jest sympatyczny, ale dużo bardziej surowy.

Skinęła głową.

- Villemann... Czy ty się naprawdę zakochałeś w tej dziwnej dziewczynie? Ja nie bardzo zrozumiałam, co ona takiego zrobiła, ale to było coś strasznego, prawda?

- Nic strasniejszego niż to już nie mogło się stać - rzekł z drżeniem. - Pamiętaj, że ona próbowała zamordować pięcioro ludzi i że w dwóch przypadkach jej się to udało!

- Ale zrobiła coś jeszcze, prawda?

- Tak, o to jednak nie powinnaś pytać. Jeszcze nie teraz, może za parę lat.

Danielle była urażona. Czy on musi traktować ją jak dziecko?

Ale Villemann miał rację, Danielle zachowywała się przecież bardzo dziecinnie.

Tylko tym razem nie chciała ustąpić.

- Nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

- Jakie pytanie? Aha! Nie, oczywiście, że nie zakochałem się w niej. Uważałem tylko, że jest bardzo ładna.

Danielle okazała się na tyle dorosła, by nie spytać: „Ładniejsza ode mnie?”

On jednak zrozumiał, dlaczego umilkła, i uśmiechnął się, jakby chciał jej dodać odwagi.

- Ale nikt nie jest taki ładny jak ty, Danielle. Zawsze miałem do ciebie słabość, choć nie zdawałaś sobie z tego sprawy.

- Owszem, w ostatnim czasie wiele zrozumiałam. A kiedy myślałam, że jesteś zajęty tą, co to wiesz, było mi bardzo przykro.

- To dobry znak, Danielle - powiedział z uśmiechem. - Przemyśl to sobie przy sposobności, a potem zobaczymy, co z tego wyniknie.

Uśmiechnęła się za plecami Villemanna uszczęśliwiona. Mocno uściśnęła jego dłoń, a on odpowiedział tym samym. Dobrze, że miała trochę czasu na zastanowienie. Nie była jeszcze na tyle dojrzała, by wiedzieć już teraz, czego tak naprawdę chce, ale widziała, jaki ten Villemann jest przystojny! Te szerokie ramiona i szczupłe biodra. Że też ona wcześniej tego nie zauważała! Twarz też miał bardzo ładną, a ona także tego dotychczas nie dostrzegała!

Nie, Danielle nie dorosła jeszcze do miłości. Wciąż była zbyt dziecinna.

Życzliwy Bonifacjusz Kemp przeprowadzał ich pod osłoną nocy przez góry na austriacką stronę.

Wypoczywali w jego domu ponad dobę i teraz, pełni sił, mogli wyruszyć w drogę.

Pożegnali się z Kempem w położonym wysoko górskim wąwozie i raz jeszcze upewnili się, czy Bonifacjusz nie będzie miał ze strony zwierzchników jakichś nieprzyjemności za życzliwość, jaką okazał austriackim podróżnym. Tłumaczył, że wszystko zorganizował najlepiej jak można i że żadne podejrzenia nie powinny na niego paść. Już wcześniej zameldował, że księżna Theresa, jej córka i zięć, niestety, zmarli w więzieniu. Komendant przyjął to do wiadomości. A co Bonifacjusz robi w swoim czasie wolnym, nikogo nie powinno obchodzić.

Theresa wynagrodziła go sownie, natomiast Móri udzielił mu rad, jak pielęgnować chorego synka, który zresztą po zabiegach czarnoksiężnika zaczynał już dochodzić do zdrowia.

W końcu nasi wędrowcy mogli odetchnąć swobodnie. Znajdowali się w Austrii i nikt już nie mógł przerwać ich drogi do domu.

Kiedy tak wszyscy stali, patrząc na górskie doliny i szczyty pokryte świeżym białym śniegiem, Dolg odszedł na bok. Widział wielką sylwetkę Cienia, który najwyraźniej na niego czekał.

Podłoże było nierówne, pokryte szronem i śliskie. Dolg musiał się poruszać bardzo ostrożnie.

Cień uśmiechnął się powściągliwie.

- Dobra robota, Dolg!

Młody człowiek odpowiedział gniewnie:

- Czy to było konieczne, żeby z powodu tej książki wplątywać nas w takie niesmaczne afery, jak w rodzinie pułkownika?

- To bardzo ważna książka!

- Możliwe. Spójrz jednak, co się stało z Rafaelem! On się nigdy po tym nie pozbiera. Powiedział mi wczoraj, że już nigdy nie zaufa żadnej kobiecie, skoro najpiękniejsza i najdelikatniejsza z nich mogła się okazać takim potworem!

- Czy on musi zwracać aż taką uwagę na urodę? Może powinien też dostrzegać duszę kobiety?

- Rafael podziwia to, co piękne. Wszyscy o tym wiedzą.

- Dusza też może być piękna. Pewnego dnia Rafael to zrozumie.

- Ale myśmy wszyscy cierpieli i wszyscy zostali w jakiś sposób okaleczeni przez to, co się stało. Uriel nie może jeść, bo zobaczył tyle ohydy, natomiast mała Danielle niczego nie rozumie i nikt nie jest w stanie jej wytłumaczyć, co to było.

- Danielle z pewnością da sobie radę.

- Nie byłbym tego taki pewien. Tylko wsparcie Villemanna może przywrócić jej równowagę ducha. Czuje się głupia i pomijana, bo nikt nie chce jej powiedzieć prawdy. A jak mamy to zrobić?

- Będzie jej lżej, jeśli o niczym się nie dowie. Może należałoby jej przedstawić jakąś bardziej złagodzoną formę wydarzeń?

- Nie uwierzy. Reagowaliśmy tak gwałtownie, że żadne ugłaskane opowiadanie jej nie zadowoli.

- W takim razie musicie wybierać. Sami zdecydujcie, co ją mniej okaleczy. Poznanie prawdy, czy też poczucie, że jest zbyt głupia, by ją poznać. I pamiętajcie, że to dziecko już się zetknęło ze złem.

- Tak jest, w dzieciństwie - skinął głową Dolg. - W Virneburg. Omówię to z Taran. W końcu to i tak ona będzie musiała Danielle wszystko wyjaśnić. Żaden z nas się tego nie podejmie. Pomyślę o tym.

- Znakomicie!

- No ale żeby zmienić temat: Jesteśmy na właściwej drodze?

- Do domu?

- Nie, nie. Do rozwiązania zagadki Świętego Słońca - rzekł Dolg z uśmiechem.

- Rozwiązanie jest coraz bliższe, tak bliskie, że i ja, i wszyscy oczekujący zaczynamy się bardzo niecierpliwić. Niestety nie możemy wam pomóc ani niczego przyspieszyć.

- Kierujcie nas tylko od czasu do czasu na właściwe tory, a wszystko będzie dobrze. Trudno mi jednak zrozumieć, dlaczego wplątaliście nas w te ostatnie wydarzenia. Nie chciałbym powiedzieć nic złego na temat świń, ale wpakowaliście nas w niezłe świństwo.

- Wiem o tym. I bardzo przepraszam, mój drogi protegowany, czego jeszcze nigdy dotychczas nie zrobiłem!

- Dzięki! W końcu jeśli tylko mogliśmy się przydać do czegoś tym ludziom...

- Przydaliście się, i to bardzo. Pułkownik odebrał sobie życie, choć jego małżonka nie była skłonna w to wierzyć. Przeniknięta złem dziewczyna znalazła się w izolacji, a jej ciotki się wyprowadziły. Myślę, że w tej sytuacji starsza pani niedługo odzyska równowagę. Kapitan znajdzie przy niej spokój.

- Co się stanie z dziewczyną?

- Nie powinieneś pytać.

- Rozumiem. A kim jest ta nieznajoma kobieta znajdująca się na czarach?

- To wiedźma, zresztą naprawdę bardzo groźna, całkowicie wyzbyta szacunku dla ludzkiego życia. Nie bez powodu zyskała przydomek Pajęczycy. Macie szczęście, żeście jej się usunęli z drogi. A teraz jak najszybciej przeczytajcie książkę, bardzo się już niecierpliwimy.

Dolg skinął głową.

- Jeszcze tylko jedno pytanie: Co z wyprawą do Karakorum?

- Powinniście ją odbyć. Odpocznijcie parę tygodni w domu, a potem wam pomożemy.

- W jaki sposób się tam dostaniemy?

Cień przechylił głowę na bok i patrzył na niego spod oka.

- Dolg, mój drogi! Nie przyswoiłeś sobie umiejętności poruszania się elfów? Czy one cię niczego nie nauczyły?

- Owszem. I tym razem też tak będzie?

Potężny uśmiechał się cierpko.

- My również się czegoś nauczyliśmy od naszych przyjaciół elfów.

- Znakomicie - roześmiał się Dolg. - Trochę mnie niepokoiła ta podróż na Wschód. Nie sama wyprawa, mamy do was zaufanie, tylko że kiedy moja rodzina podróżowała do Tiveden, musieli zejść do wnętrza ziemi, a to było niezwykle męczące...

- No, no - przerwał mu Cień. - Wtedy podróżowali również w czasie. Tym razem będzie to tylko podróż w przestrzeni.

- Oczywiście, rozumiem. Czy myślisz, że znajdziemy dodatkowe ślady, które mogłyby nas doprowadzić do Świętego Słońca?

- Właśnie dlatego będziemy wam pomagać. Tam i do czterech nieszczęśliwych Madragów, rzecz jasna. Gdybyście jeszcze zdołali dopaść tego Sigiliona i unieszkodliwić go na zawsze, to zasłużycie sobie na nasz szczerzy podziw. Dolg wiedział, że Cień nienawidzi Sigiliona. Byli wrogami od tak dawna, że nawet nie miał odwagi sobie tego wyobrażać. I chyba nigdy się to nie zmieni, przyjaciółmi w każdym razie nie zostaną.

- W jaki sposób znajdziemy ślady prowadzące do Słońca? - Nie, nie, Dolg! Dobrze wiesz, że z tyra musisz sobie poradzić sam.

- Nie powiem, żebyście nam za bardzo pomagali - rzekł Dolg ponuro. - Obiecujemy jednak zrobić, co się da. - To bardzo dobrze.

Cień uniósł dłoń na pożegnanie i rozpląnął się w powietrzu. Dolg wiedział, że na nic się nie zda prosić go, by pozostał jeszcze trochę. Cień przychodził i odchodził wyłącznie wedle własnego życzenia.

Dolg musiał się rozstać z przyjacielem, choć bardzo by chciał zadać mu jeszcze kilka pytań. Wolno wrócił do swoich.

Następnego wieczora, kiedy nocowali w dużej chłopskiej zagrodzie, Dolg wyjął książkę o Morzu Bałtyckim. Większość członków rodziny już spała, zajmowali mniejszy dom w zagrodzie, w głównym domu mieszkalnym gospodarze też już poszli spać. Czuwała tylko matka Dolga, Tiril, i jego babka, księżna Theresa. Obie przeglądały bardzo zniszczoną po długich miesiącach podróży odzież rodziny.

Dolg westchnął ciężko.

- Jak, na Boga, zdołamy zrozumieć treść tej książki? Nikt z nas nie zna na tyle języka hiszpańskiego. A do tego to jakiś bardzo trudny, naukowy język!

Obie panie podeszły bliżej.

- Nauczyłam się trochę po hiszpańsku w więzieniu w Pirenejach - rzekła Tiril niepewnie. - Ale to chyba akurat nie ta forma języka, która byłaby w tym przypadku potrzebna.

Theresa zastanawiała się głośno:

- W Wiedniu musi pewnie znajdować się wielu Hiszpanów. Co prawda obiecałam sobie, że będę się trzymać z daleka od tego miasta, ale dla ciebie, Dolg, zrobię oczywiście wyjątek.

- Dziękuję, babciu, to będzie chyba najlepsze rozwiązanie.

Zaczęli przeglądać książkę. Została napisana przez niejakiego hrabiego Yoldi i na pierwszej stronie nosiła dedykację: „Dla mojego syna, w podziękowanie za jego zainteresowanie dla mych nieśmiałych prób badawczych”.

- Cóż za fałszywa skromność - rzekła Tiril z uśmiechem. - I ten pompatyczny styl!

Próbowali określić, które partie są najważniejsze, lecz nie było to proste. Trudno będzie czytać tę książkę nawet rodowitemu Hiszpanowi. Dolg i obie panie nie rozumieli prawie nic.

- Wygląda na to, że Morze Bałtyckie w okresie ostatniego zlodowacenia nieskończoną ilość razy zmieniało kształt - stwierdziła Theresa po godzinie poszukiwań.

- Tak jest - przyznał Dolg. - Ale dodatkową trudnością jest to, że niektóre kraje i miejscowości wokół Morza Bałtyckiego w różnych częściach książki nazywane są różnie. A wszystko to mówi o muszlach!

- Tak, i w dodatku ten naukowy, wyszukany język, jakim się autor posługuje, będzie dla czytającego nieznośną próbą. Hrabia wziął sobie najwyraźniej za punkt honoru pokazać, jak wiele zna trudnych słów i pojęć.

Dolg siedział ze zmarszczonym czołem.

- Co może znaczyć to słowo lub nazwa „Tethys”, która się tu pojawia bez żadnych objaśnień? To zdaje się w ogóle nie mieć żadnego związku ze sprawą.

- „Tethys” - powtórzyła Theresa. - Nigdy nie słyszałam, żeby ktoś mówiło czymś takim. Nie, jak tylko wrócimy do domu, trzeba niezwłocznie zatrudnić tłumacza. Dolg zamknął książkę. Dom. Cóż za rozkoszne słowo! Jaka przyjemność móc się znowu wyspać we własnym łóżku!

Wyciągnął rękę i poklepał Nera po wielkim łbie.

- Już niedługo będziesz mógł gonić koty, mój przyjacielu. Ponieważ wiem, że i ty, i one uważają to za świetną zabawę i nic więcej, życzę ci udanych łowów! Tethys?

Trzeba będzie się dowiedzieć, co znaczy to dziwne słowo.

21

Jeszcze dwoje ludzi nie spało tego wieczora, ale o tym wiedzieli tylko oni sami.

Taran i Uriel nie mieli w ostatnich dniach zbyt wiele czasu dla siebie, tak przynajmniej im się zdawało. Ukradkiem wymknęli się więc teraz do stajni, gdzie nikt tak późno nie przychodził, a gdzie konie stwarzały poczucie bezpieczeństwa i bardzo przytulny nastrój.

Taran stała i głaskała kark swego wierzchowca, zaś Uriel pieścił Taran i rozmawiali oboje o nic nie znaczących sprawach.

Nagle Taran skrzywiła się.

- Do diabła, ta przeklęta Wirginia wszystko mi popsowała. Uriel pospiesznie zdjął rękę z jej ramienia.

- Jak to?

- Zniszczyła, powiedziałabym: zbrukała, wszystko, co w miłości. piękne. Nie, nie chodzi mi o erotykę. Mam na myśli tę łagodność i tkliwość, którą oboje z tobą odczuwaliśmy... Teraz wciąż stoi mi przed oczyma ta okropna scena z dziadkiem.

- Przecież ty tego nie widziałaś!

- Nie, ale mam wyobraźnię. Jak my po tym wszystkim się będziemy mogli kochać, kiedy już się nareszcie pobierzemy?

Uriel nie odpowiedział. Częściowo przyznawał jej rację. Tyle zostało dosłownie utaplane w błocie przez tę okropną dziewczynę. Uriel się bał. Wspomnienie tamtych spraw nie mogło kłaść się cieniem na stosunki jego i Taran, musi odbudować tę piękną atmosferę, jaka przedtem między nimi panowała, ten subtelny nastrój...

Kiedy się lepiej zastanowił, uznał, że to nie jest właściwe określenie. Podczas podróży przez Norwegię ich wzajemny stosunek przybrał na intensywności, stało się to wyraźne zwłaszcza teraz, kiedy już wracali do domu, i tak było do chwili, gdy przytrafiła się ta okropna historia w domu von Blancke.

Wstrętne dziewczusko! Kiedy uwolnią się od pamięci. o niej?

Taran zasługiwała na najczulszą miłość. Była najpiękniejszą dziewczyną, jaka...

Jak zdoła jej przywrócić dawną naturalność i ciepło? Powinien się postarać, by coś innego, o wiele silniejszego i piękniejszego przesłoniło tamte wspomnienia. Gdyby tylko on sam nie był taki niedoświadczony... Jego jedyną dziewczyną była Taran, a przecież wszystko między nimi rozwijało się wyjątkowo niewinnie. Nie miał też pojęcia, co kobiety wiedzą o mężczyznach i ich zachowaniu. Taran z radością przyjmowała jego pieśczoły, ale on nigdy przecież nie był natarczywy. To co działo się między nimi było takie piękne i cnotliwe, oboje bowiem obiecali jej babci, księżnej Theresie, że Taran włoży do ślubu wianek z czystym sumieniem.

I oboje starali się dotrzymać obietnicy, to sprawa honoru. Choć, oczywiście, on czasami bardzo się męczył, Taran nie wiedziała nawet, jak bardzo.

- Delikatnie dotknął jej włosów, umytych przed chwilą tak, że jeszcze nie całkiem zdążyły wyschnąć. Woń stajni tłumiła ich zwykły zapach, ale i tak dotykał ich chętnie, bo to wywoływało takie rozkoszne uczucie w całym ciele.

Taran stała obok konia pogrążona w myślach, nie reagując na jego delikatne zaloty. Uriel szepnął jej do ucha:

- Ale to, co jest między nami, najdroższa, to zupełnie inna sprawa.

Odwróciła się niecierpliwie, nie ku niemu, lecz w odwrotną stronę, plecami oparła się o koński bok. Uriel przyglądał jej się nie bardzo wiedząc, co począć.

Po chwili ujął jej rękę, bardzo ostrożnie. Przysuwał się do niej coraz bliżej.

- Nie jestem w nastroju, Uriel. Nie teraz!

- Owszem, teraz - powiedział stanowczo. - Teraz powinniśmy zrobić coś, żeby zatrzeć nieprzyjemne wspomnienie. W przeciwnym razie ono zacznie kierować naszym życiem. Teraz trzeba je zastąpić czymś pięknym, a jeśli nawet nam się to nie od razu uda, to będziemy później próbować od nowa i od nowa.

- Ona sprawiła, że wzajemne pożądanie kobiety i mężczyzny stało się czymś ohydny.

- Więc musimy zrobić tak, by znowu stało się, piękne. Taran w półmroku wytrzeszczała na niego oczy.

- Ale my chyba nie możemy...?

- Nie, oczywiście, że nie możemy. Miłość nie sprowadza się przecież do tego, by iść ze sobą do łóżka. Oboje bardzo dobrze o tym wiemy.

Odetchnęła głęboko.

- Oczywiście! Wybacz mi! Obejmij mnie mocno, Urielu! Jego ramiona oplótł ją, dając ciepło i poczucie bezpieczeństwa. Spostrzegł jednak, że ukochana nie bardzo się temu poddaje. Zmęczona oparła ręce na jego barkach, ale myślami błądziła gdzie indziej.

Uriel delikatnie dotknął wargami jej policzka. Przesuwał dłonie od karku wzdłuż pleców, przytulił ją mocno do siebie, a potem uniósł włosy tak, by móc całować jej szyję poniżej ucha.

Nadal nie było żadnej reakcji poza tym, że jej dłoń odnalazła drogę do jego karku i tam spoczęła bez ruchu.

Taran, Taran, otrząśnij się, proszę w duchu. Nie pozwól, by jakaś rozpustnica miała na ciebie wpływ.

- Kocham cię, Taran - szepnął tak cicho, że musiała zapytać, co mówi. Powtórzył wolno.

- I ja ciebie kocham, wiesz o tym przecież - rzekła ze smutkiem. - Ale dzisiaj nie bardzo o tym mogę mówić, wciąż nie potrafię odzyskać radości życia.

Uriel poczuł, że jego ciało reaguje na bliskość Taran, a to przecież nie było zbyt pożądane w tej sytuacji. Odsunął się więc odrobinę, by odzyskać nad sobą kontrolę.

Wtedy jednak Taran chwyciła go mocno i przytrzymała. Żle go zrozumiała, sądziła, że poczuł się urażony jej słowami. Przytuliła się do niego i szeptała, jakby chcąc się usprawiedliwić:

- Ja tak nie myślałam, Urielu, moi najdroższy, zrozum mnie!

- Taran, ja...

Nie mógł jej przecież tego powiedzieć, ale przytuliła się do niego tak mocno, że sama się domyśliła.

- O, Urielu Ech, rozmawiałam dzisiaj z Danielle i mogę cię zapewnić, że to nie była łatwa rozmowa! Ona po prostu nie była w stanie zrozumieć, że dziadek pułkownik...

Taran nie pojmowała swojej własnej reakcji. Wydawało jej się, że po tym, co usłyszała o Wirginii, nawet dotknięcie Uriela sprawi jej przykrość. Tymczasem jej ciało było chyba odmiennego zdania.

Gorący prąd przeniknął ją od stóp do głowy i wypełnił rozkosznym cierpieniem. Nigdy przedtem czegoś podobnego nie doznawała. Cudowna błogość błogość ramionach ukochanego.

Podobnie było z Arielem. Zniknęły gdzieś myśli o rodzinie von Blancke, w ogóle zniknęły wszelkie myśli. Byli teraz dwiema istotami składającymi się z samej tylko czułości, jedyne, czego pragnęli, to być jak najbliżej siebie.

Uriel całował ją tak jak nigdy przedtem, mocno, cudownie, dawał jej nie znane dotychczas poczucie bezpieczeństwa.

- Przytulaj mnie - szeptała.

- Tak, kochanie. Ja też tylko tego pragnę.

- Urielu - wykrztusiła. - Nie wolno nam. Nie wolno...

- Wiem, najdroższa - odpowiedział szeptem. - Nie chcę ci zrobić nic złego. Musisz tylko wiedzieć, że obronię cię zawsze przed złem tego świata.

- Tak, wiem.

Konie rżały cichutko i przestępowały z nogi na nogę. Unosił się nad nimi obłok ciepła. Taran nie pomyślała ani przez chwilę, że jej ubranie mogło się ubrudzić o ścianę stajni, to nie miało najmniejszego znaczenia, teraz żyła tylko dla Uriela i tego cudownego uczucia, które dojrzewało między nimi.

Przenikały ją dreszcze, ale nie było w tym nic ze zmysłowości, jaka tak często dawała o sobie znać, kiedy Uriel był blisko niej.

- Nigdy mnie nie opuścisz, prawda? - szepnęła. - Zawsze będziesz przy mnie...

- Zawsze. I nie pozwolę, by ktoś cię skrzywdził. Zarzuciła mu ręce na szyję.

Uriel zaczął się cicho śmiać i zaraził ją tą wesołością. Nigdy jeszcze nie byli tacy szczęśliwi.

Cień rodziny von Blancke prawie się rozwiął.

W kilka dni później Villemann, który jechał na przedzie, zawołał ze wzgórze:

- Widzę! Widzę, tam!

Pospieszyli do niego wszyscy i zatrzymali się wzruszeni. Theresenhof.

- OOOO! - zawołała Tiril - O, cudowny widoku!

Wszyscy podzielali jej przekonanie, również Dolg i Móri, którzy odmiennie rozumieli, co to znaczy być w domu. Zostawili swoje serca na Islandii, a Norwegia również była im bardzo bliska. Ale oczywiście, bardzo dobrze było znaleźć się w domu po wielu miesiącach podróży.

- Czekają nas wyprawy na Wschód czy nie - powiedział Móri - dobrze będzie posiedzieć parę dni w domu. Poucztować trochę! I wyprawić wesele!

- Tak jest! - zawołał Villemann. Złapał Danielle w pól i kręcił się z nią jak szalony. - Tym razem kolej na Taran i Uriela, ale potem zobaczymy!

Inni młodzi poszli za jego przykładem. Utworzyli krąg i tańczyli po świeżym śniegu w obłądnym, ekstatycznym szczęściu, zaś ośnieżone szczyty Alp spoglądały na nich jakby z naganą i niedowierzaniem.

Oni się tym jednak nie martwili! Teraz na jakiś czas można było zapomnieć o troskach. Teraz nadeszła pora świętowania!

Nawet Rafael uśmiechał się blado i włączył się w radosny taniec.

To najbardziej ucieszyło całą rodzinę.

UWAGA NA ZAKOŃCZENIE

Po milionach lat, wiosną roku 1993, zawalił się kamienny most ponad Ofwufoss na Islandii. Margit Sandemo była jedną z ostatnich, którzy ten most widzieli, i opisała go w dziesiątym tomie „Sagi o Czarnoksiężniku” zatytułowanym „Echo”, w którym ów most odgrywa ważną rolę.

Pisarka jednak nigdy nie stanęła na tym naturalnym kamiennym moście, więc nie należy jej winać za katastrofę. Należy natomiast pamiętać, że Ófærufoss leży w centrum trójkąta, jaki tworzą trzy niebezpieczne wulkany: Hekla, Lakagigar i Katta. Straszący od stu lat wulkan Katta przebudził się ostatnio i zaczyna być aktywny, wybuch może nastąpić w każdej chwili, najpóźniej w ciągu dziesięciu lat. Katta jest to tak zwany jokulhlaup, co po islandzku oznacza wulkan, który pokryty jest czapą lodowca. Jest to ponadto tak zwany wulkan łańcuchowy, ma liczne szczyty, a to znaczy, że przez wiele kilometrów ciągną się wulkaniczne kraterki pokryte lodem. W razie wybuchu wulkanu lód gwałtownie topnieje, masy wody większe niż Amazonka w wielkim pędzie spływają w dół, zalewają doliny u podnóża Katli, zabierając wszystko co po drodze i znosząc to do morza. W wyniku tego po każdym wybuchu Katli Islandia od południa powiększa się co najmniej o kilometr kwadratowy. A wybuchy zdarzają się stosunkowo regularnie co sto lat. Kattę uważa się za jeden z najbardziej niszczycielskich wulkanów na świecie. W ostatnich latach rzeki w okolicy wezbrały, czarne szczyty wystają spod czap lodu i raz po raz zdarzają się trzęsienia ziemi. Wszystko to oznacza, że lodowiec Katta zaczyna topnieć. Z

pewnością jedno z takich trzęsień ziemi przyczyniło się do zawalenia kamiennego mostu.

Pisarka odwiedzała tę okolicę ostatnio w latach 1992 i 1993.

Równie groźny epizod wydarzył się po napisaniu tomu numer osiem „Droga na zachód”. Miejszem zdarzenia była wtedy biblioteka Hofsburg w Wiedniu. Wkrótce po napisaniu książki cała fantastyczna biblioteka spłonęła. Dziwne wypadki miały miejsce również po napisaniu niektórych tomów „Sagi o Ludziach Lodu”. Pisarka nie jest pewna, czy powinna nadal lokować akcję swoich książek w istniejących realnie miejscach...